

WŁODZIMIERZ JAROSZ i ADOLF KARGOL

OPOWIADANIA Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH

DLA VI KLASY SZKÓŁ POWSZECHNYCH

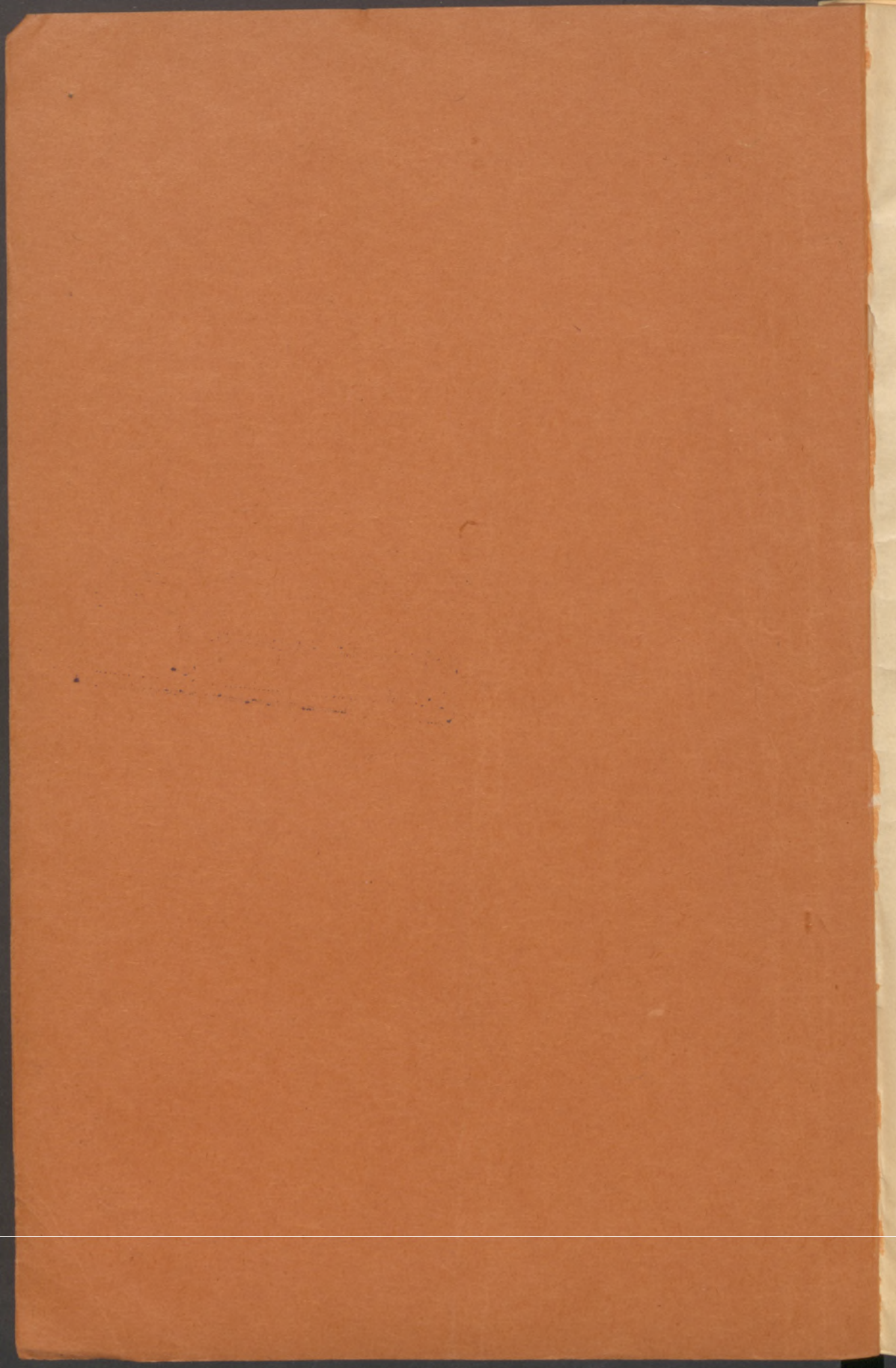
wydanie II

uzupełnił
Łukasz Kurdybacha



INTERIM TREASURY COMMITTEE
FOR POLISH QUESTION — EDUCATIONAL BRANCH

Jerozolima 1946



WŁODZIMIERZ JAROSZ i ADOLF KARGOL

OPOWIADANIA Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH

DLA VI KLASY SZKÓŁ Powszechnych

wydanie II

BIBLIOTEKA
SEKcji WYDAWNICZEJ
JEDNOSTEK WOJSKA NA ŚR. WSCH.

uzupełnia

Łukasz Kurdybacha

Nr



INTERIM TREASURY COMMITTEE
FOR POLISH QUESTION — EDUCATIONAL BRANCH

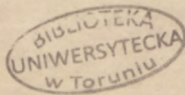
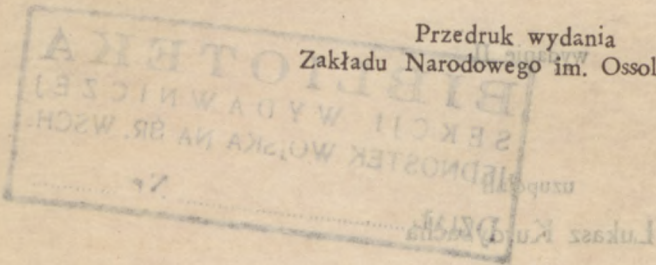
Jerozolima 1946

WŁODZIMIERZ JAROSZ I ADOLF KARCOŁ

OPOWIADANIA Z DZIEŁÓW OLCZYSTYCH

DLA VI KLASZ SZKÓŁ POWSZECHNYCH

Przedruk wydania
Zakładu Narodowego im. Ossolińskich



AE
1388288

FOR POLISH QUESTION — EDUCATIONAL BRANCH
INTERIM TREASURY COMMITTEE

Torun 1948

1. OPLAKANE CZASY

Zmierzch polskiej potęgi. Wkrótce po śmierci sławnego na cały świat króla Jana III Sobieskiego pokazało się, że Rzeczpospolita przestała być potęgą, którą była od 300 lat, tj. od czasów grunwaldzkiej bitwy, a nawet, że stawała się zależną od coraz potężniejszych sąsiadów.

Nie mało zawinili w tym następcy Jana III, dwaj królowie S a s i, tj. księżęta niemieckiej Saksonii, A u g u s t II, i jego syn, A u g u s t III, ale więcej jeszcze winy ponosiła szlachta, bez której nic ważnego w kraju stać się nie mogło.

Sejm. W sejmie wodzili rej możni panowie, nasyłając doń swoich stronników wybranych na sejmikach. Bo szlachta nie służyła już Ojczyźnie, ale bogatym i potężnym możnowładcom, a służyła za „czapkę i papkę”, tj. za pański ukłon, za uścisk ręki i za ucztę albo inne wynagrodzenie. Tak wybrani posłowie zjeżdżali się na Sejm. Obradował on zwyczajnie w Warszawie, na Zamku, w wielkiej sali obwiedzonej z trzech stron galerią, jakby kościelnym chórem, gdzie gromadziła się publiczność, aby przysłuchiwać się obradom.

Nie było w nich ładu ni składu. Każdemu posłowi wolno było mówić, o czym mu się podobało. Kiedy więc np. Izba radzi o podatkach, jakiś poseł zaczyna rozwodzić się nad tym, że ktoś tam na jakiejś rzeczce zahamował żeglugę, wybudowawszy tamę dla swego mlyna.

— Ależ mówmy, Miłośniwi Panowie, o skarbie, od któregośmy zaczęli! Nie podobna radzić o wszystkim razem! — woła marszałek Izby.

Zrywanie Sejmów. Na próżno. Poseł musi się wygadać. A Sejm obraduje tylko przez sześć tygodni i to tylko co dwa lata. W dodatku zwykle bywa zrywany. Wystarczy, gdy jeden poseł zawoła: „nie pozwalam!” albo po łacinie: „veto!” — a wszystko, co przez parę tygodni z mozołem uchwalono, staje się od razu nieważne.

Dawniej wyrzucono by takiego posła z sali, ale za Sasów zawsze w Izbie było dość posłów, którzy takiego kolegę brali w obronę. Udawali, że bronią prawa: ponieważ prawo wymaga jednomyślnej zgody na ustawę, a jeden z posłów nie pozwala obradować, tedy zmuszali marszałka, by ogłosił Sejm za nieważny. Tak im bowiem rozkazał pan, za którego „papkę” wybrano ich na posłów; ten zaś czynił to już to z polecenia obcego rządu, który mu za to płacił, już to jedynie po to, aby nie dopuścić, by kto inny, a nie on, zasłużył się około dobra Rzeczypospolitej.

Pewien holenderski komediant pokazał raz na przedstawieniu w teatrze, jak wygląda polski Sejm: rozwiązał wór, pefen drobnego ptactwa, które poświegotało stukając wyjścia ze sali i wreszcie drzwiami i oknami rozleciało się na wszystkie strony. Tak Sejm, pogadawszy sobie, rozjeżdżał

się do domu, a kraj pozbawiony skarbu i wojska, stał bezbronny wobec potężnych sąsiadów.

Król. Sejm „niemy”. Cóż jednak czynił król? August II myślał tylko o tym, jakby zaprowadzić w Polsce samowładne rządy, nakładać dowolnie podatki i wydawać je, jak francuski Ludwik XIV, na dworski przepych, na zabawy i zwycięskie wojny. W tym celu saskie wojska, które przebywały w Polsce, zaczęły popełniać gwałty, rabując szlacheckie wsie i dwory i nie cofając się nawet przed rozlewem krwi. Działo się to z porady jednego z saskich generałów. — Niech tylko szlachta porwie za broń — mówił do króla — wtedy Wasza Królewska Mość stłumi bunt i zacznie rządzić wedle własnego upodobania.

Ale do tego nie chciał dopuścić car Piotr Wielki, pierwszy z carów, który się zwał cesarzem Rosji. Ofiarował więc szlachcie swą pomoc, a gdy do Polski weszło jego wojsko, wtedy August II pogodził się ze szlachtą. Stało się to na Sejmie zwanym „niemy”, którym posłowie, nie obradując, uchwalili żądania cara, by król powtórzył przysięgę, że będzie szanował prawa Rzeczypospolitej, i by Polska zmniejszyła ilość swego wojska do 24.000.

Odtąd car, pod pozorem obrony szlachty przed królem, miał prawo utrzymywania w Polsce znacznej siły zbrojnej.

Upadek oświaty Cudzoziemszczyzna. Lekarz Augusta II, Niemiec, który jął się wydawania drukiem dawnych, po łacinie pisanych, kronik polskich, musiał zaprzestać tej pracy, ponieważ mało kto kupował wydawane przez niego książki.

Zapewne więc czytano książki pisane w polskim języku? I to nie. Szlachta przestała ciekawić się nauką: w szkołach, przeszło 100 lat nie ulepszanych, uczono mało i źle, a do zagranicznych szkół dzieci nie wysyłano, gdyż w Polsce wierzono, że wszelkie urządzenia Rzeczypospolitej są najlepsze w świecie.

Mimo to weszło wtedy do Polski wiele cudzoziemskich zwyczajów, co prawda, mało przynoszących krajowi pożytku. Przede wszystkim za



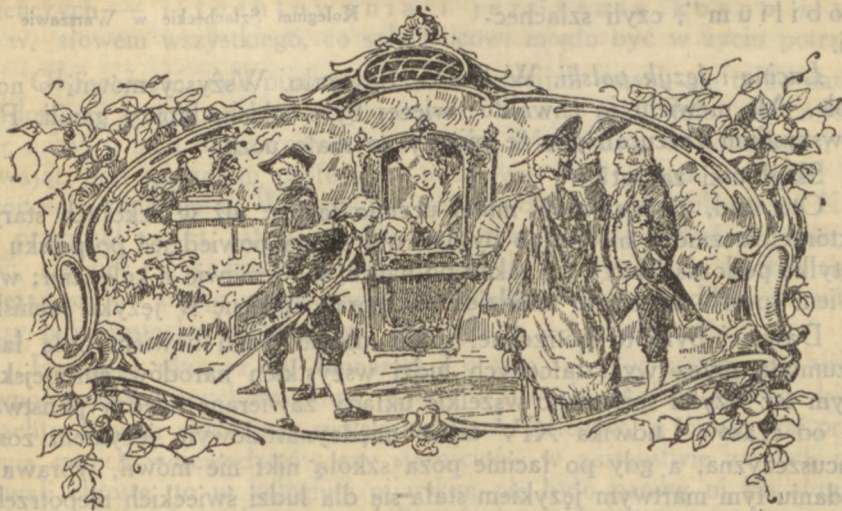
Król August II

przykładem królewskiego dworu zaczęto się ubierać po francusku, który to strój w Polsce nazywano niemieckim. Nosił zaś francuski



Stroje francuskie

elegant płytke buciki i pończochy, wąskie, krótkie spodniki i frak albo kaftan do stanu, ze złocistymi galonami, tj. naszyciami — do boku przypasywał prostą, cienką szpadę, którą szlachta pogardliwie zwała „rózmem”, a na głowę nakładał perukę z cudzych włosów i trójgraniasty kapelusz. Jeszcze chętniej niż mężczyźni, nosiły się po francusku kobiety: na głowę nakładały wysoko utrefione i na biało upudrowane peruki i ubierały się w „rogówki”, tj. szerokie, rozpięte na rogowych obręczach szódnice.



Scena z życia Sasów

Za króla Sasą. Gorzej było, że w Polsce stały się głośnie pijatyki. Które urządzano na królewskim dworze. Urządzano tam nawet tzw. „pu-

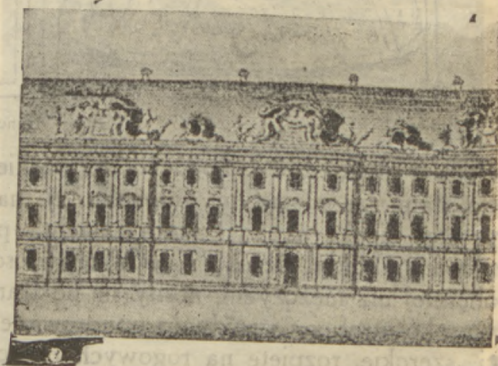
charowe wyścigi”: w kraju opowiadano, że kto prędzej i więcej wypić otrzymał od króla starostwa, pensję, a nawet order. Więc za przykładem dworu wielu panów i szlachty wstydzilo się wstrzemięźliwości, a ubiegało się o sławę pucharowego zwycięzcy.

„Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa” — mawiano wtedy w Polsce i jedzono też, a jeszcze więcej pito i bawiono się, nie bacząc na coraz głębszy upadek Ojczyzny.

2. ŚWIATŁO WŚRÓD MROKÓW

Kasztelanica nauczycielem. Niezwykły dla senatorskiego syna zawód obrał sobie kasztelanica Stanisław Konarski. Skończywszy szkołę u pijarów wstąpił za pozwoleniem ojca do tego zakonu. Zostawszy księdzem wyjechał na dalszą naukę do Rzymu, potem badał pilnie szkolne urządzenia we Francji, a wreszcie po powrocie do kraju jał się wykonania dzieła, które od dawna obmyślał.

Oto, słusznie uważając, że kraj nie łatwo podniesie się z upadku, jak długo szlachta będzie się wychowywała w zastarzałych, złych szkołach, nakłonił swój zakon do tworzenia nowych szkół, zwanych kolegiami „nobilium”, czyli szlacheckimi.



Kolegium Szlacheckie w Warszawie

Łacina i język polski. W Polsce zawrzało. Wszyscy mówili o nowej szkole. Ale niewielu ją chwaliło: więcej było takich, którzy ganili. Przede wszystkim zarzucali jej, że pijarzy za mało uczą.

Skąd taki zarzut?

Oto stąd, że u pijarów mniej uczono łaciny, niż w szkołach starych, w których uczniowi nie wolno było nawet słowa powiedzieć po polsku i to nie tylko podczas lekcji, ale także po nauce, w rozmowie z kolegami; w ten bowiem sposób zmuszano młodzież do wprawiania się w języku łacińskim.

Dawniej było to potrzebne, przez długie wieki bowiem była łacina zrozumiałą przez wykształconych ludzi wszystkich narodów europejskich: w tym też języku spisywano wszelkie układy zawierane między państwami. Ale od czasów Ludwika XIV takim międzynarodowym językiem została francuszczyzna, a gdy po łacinie poza szkołą nikt nie mówił, wprawa we władaniu tym martwym językiem stała się dla ludzi świeckich niepotrzebna. Jakoż w kolegiach „nobilium” uczniowie nie tylko mówili swobodnie po polsku między sobą, ale i na lekcjach: nawet bowiem gramatyki łacińskiej uczyli się z podręcznika, ułożonego po polsku przez ks. Konarskiego —

a w końcu, co stronnicy dawnych szkół uważali za niepotrzebną stratę czasu, pijarzy zadawali uczniom domowe pisemne ćwiczenia w ojczystym języku.

Tak więc ks. Konarski, chociaż nie przeznaczał dla polskiego języka osobnych lekcyj, jako dla przedmiotu nauki, to jednak był pierwszym, który język ojczysty wprowadził do polskiej szkoły.

Inne przedmioty. Ale ks. Konarski nie tylko ukrócił w swoich kolegiach używanie łaciny jako jedynego języka wykładowego i towarzyskich rozmów. Uczynił więcej: odważył się nawet zmniejszyć ilość lekcyj łaciny, a czas w ten sposób uzyskany przeznaczył na naukę przedmiotów, których w starych szkołach albo wcale nie uczono, albo niewiele.

Jakież to były te przedmioty?

Polska nauka była w upadku, a u innych narodów, jak u Francuzów i Niemców, kwitła. Drukowano tam wiele i coraz więcej książek, z których można się było dowiedzieć o tym, o czym w Polsce prawie nikt nie pisał: jak uczeni chcieliby, aby było urządzone państwo? jak za granicą udoskonalono sztukę wojenną? jakie wymyślono przyrządy dla ułatwienia ręko-dzielniczej pracy? Jak to tam gospodarzą na roli, że mają z półtarka więcej zbiorów, niż my z całego łąnu?

Dlatego to ks. Konarski ukrócił naukę łaciny, grekę zupełnie usunął, a kazał uczyć języków żywych, francuskiego i niemieckiego, a nadto fizyki, tj. nauki o przyrodzie i jej życiu; o niebie i ziemi, o powietrzu i wodzie, o burzy i piorunach, o świetle i głosie, o zwierzu i roślinie — i geografii, która opisuje ziemię i życie różnych na niej narodów — i historii, aby młodzież rozumiała, skąd wzięły się dzisiejsze urządzenia, tak własne jak i innych oświeconych narodów — i matematyki, która i w życiu potrzebna i wyrabia bystrość umysłów młodzieńczych — i fechtowania i jeżdżenia konno i tańców, słowem wszystkiego, co szlachcicowi mogło być w życiu potrzebne.

Obyczajność. Ale pijarzy nie tylko rozwijali umysł, nie tylko nauczali wiadomości potrzebnych i pożytecznych: baczyli też pilnie, aby młodzieńiec nabył u nich przyzwoitych obyczajów. Mieszkając w kolegiach i przebywając pod nadzorem profesorów uczniowie brali z nich przykład przyzwoitości i układności. W osobnym statucie dla kolegów ułożonym Konarski przypisał nawet, jak uczniowie mają rano wstawać, myć się, stać, chodzić, siedzieć. Zakazywał biegać po izbach i korytarzach, garbić się lub opierać się — stojąc przed starszym, rozwalać się — siedząc, czynić grymasy lub prostackie ruchy głową czy rękami — śmiejąc się.

Pamiętał również ks. Konarski i o tym, aby w niczym nie uchybić równości między wychowankami. Kiedy w starych szkołach synowie biednej szlachty bywali służącymi swych bogatych kolegów, a nawet za przewinienia swoich wojewodzciców czy starościców w zastępstwie za nich otrzymywali chłostę, to w kolegium pijarskim nie było panów ni ich sług; kto tam wchodził, wiedział, że „wszystkie różnice majątku czy urodzenia trzeba całe za kolegium zostawić i o nich zapomnieć” — jak nakazywały przepisy statutu, czyli ustawy ks. Konarskiego.

Wychowanie obywateli. Najważniejsze jednak było to, że statut ks. Konarskiego, jako najgłówniejszą cnotę, nakazywał uczniom posłuszeństwo, boć bez posłuszeństwa byłby bezrząd na świecie — a dalej żądał, aby uczniowie „często Ojczyznę na pamięć sobie przywozdzili, jej miłością z młodych lat pałac poczynali” i by kształcili się na pożytecznych obrońców i podpory Rzeczypospolitej.

Tak w oplakanych tych czasach u pijarów niejednen panicz pierwszy raz w życiu usłyszał, że ważniejsza jest Rzeczypospolita, niż jego pański ród, że to hańba, kiedy się wzbogaca swój dom, a kraj przyprawia o szkodę — i przeciwnie, że to zaszczyt pracować dla dobra Ojczyzny, nie patrząc własnej korzyści.



Medal na cześć ks. Konarskiego

3. SZKOŁA RYCERSKA J. KR. MOŚCI I RZPLTEJ

Dzieciństwo Tadeusza Kościuszki. W Mereczowczyźnie, powiecie słonimskim, w drewnianym, dochowanym do dziś dworku, urodził się za panowania Augusta III Tadeusz, syn dzierżawcy tej wsi, pana Kościuszki, potomka dawnych ruskich bojarów. Do dziś pokazują tam wielki kamień, koło którego lubili bawić się dzieci dzierżawcy, ubrane skromnie, a odżywiane, jak cały dwór, „żytnimi krupami”, jak czytamy w jednym liście matki Tadeusza. Nauczywszy się w domu czytać i pisać, został chłopiec oddany na kilkoletnią naukę do szkoły pijarów. Ojciec jego zmarł wcześniej; matka, kiedy sierota skończył naukę w kolegium, wystarała się o przyjęcie go do siedmioklasowej Szkoły Rycerskiej Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej, zwanej także Korpusem Kadetów, którą własnym kosztem założył w Warszawie król Stanisław August Poniatowski.

Nowicjat. Rycerska Szkoła mieściła się w pałacu na Krakowskim Przedmieściu w budynku dzisiejszego Uniwersytetu. Tu więc zjawił się pewnego dnia 19-letni Tadeusz Kościuszko, aby przedstawić się komendantowi korpusu, generałowi księciu Adamowi Czartoryskiemu. Następnie obszedł wszystkich oficerów, a potem pokoje zamieszkałe przez 20 kadetów tej brygady, do której go wcielono. Brygad było 4, razem więc

szkoła liczyła 80 uczniów; brygadami komenderowali majorowie zwani brygadierami i ich zastępcy: kapitanowie i porucznicy jako podbrygadierzy.

Po wstępnym egzaminie Kościuszko przyjęty do kl. V otrzymał zwyczajne kadeckie wywianowanie od koszuli aż do koca i wałka, tj. walcowatej poduszki, długiej na szerokość łóżka. Mundurem na co dzień była pąsowa sukienka kurtka z mosiężnymi guzikami i białymi obszywkami, białe spodnie i trójgraniasty kapelusz ze złotymi galonami i kokardą nad lewą skronią. Młodzieniec cieszył się myślą, że wkrótce za postępy w nauce otrzyma obszyta granatowe, potem mały złoty epolecik (naramiennik) z granatowym paskiem, później srebrny medal z napisem „za pilność”, w końcu złoty z takimże napisem, a po roku nowicjatu włoży paradny kadecki mundur i szpadę.

Dzienny rozkład zajęć. O 6 rano otwierały się wszystkie drzwi na I piętrze. Do sal wchodziłi dwaj żołnierze: jeden uderzał w bęben, drugi grał na piszczałce. Na głos tej pobudki kadeci zrywali się z łóżek i wkrótce ubrani schodzili na dół, gdzie znajdowały się sale szkolne. W największej z nich ustawiali się, każda brygada w osobny rząd. Po przeglądzie dokonanym przez oficera i cichej mszy w kaplicy schodzono do suterren (podziemia), do wielkiej jadalnej sali. Przed każdym kadetem stał w zimie cynowy kubek napelniony grzany piwem, zabelonym mąką, i kawałek chleba, a w lecie chleb z masłem bez piwa.

Po śniadaniu powrót na I piętro i powtarzanie lekcji, a o 8 wszyscy siedzą w salach szkolnych. Prócz języków polskiego, łacińskiego, francuskiego i niemieckiego uczą tu: arytmetyki, geometrii, fizyki, geografii, historii powszechnej i polskiej, filozofii, prawa, ekonomii (nauki gospodarstwa państwowego), architektury, fortyfikacji (budowy twierdz), rysunków i tańców.

Środy były zawsze przeznaczone na wojskowe ćwiczenia.

Z uderzeniem 12. nauka się kończy. Krótka modlitwa i każda brygada zasiada w jadalni razem z brygadierem i jego zastępcą. Talerze cynowe, potrawy trzy: zupa, mięso i jarzyna lub prosta legumina, np. kluski albo kasza; przy obiedzie jeden z kadetów odczytuje głośno gazetę.

Po obiedzie zabawa na placu przed szkołą, potem nauka, o 8. wieczera, a po niej tańce i fechtunek w wielkiej sali na parterze, gdzie się też czasem odbywały taneczne zabawy; przychodziły na nie i rodziny oficerów. O pół do 10. odzywał się bęben: to *cap strzyk* — czas kłaść się do łóżka. O 10. jeszcze raz warknięcie bębna: czas gasić świece.

Katechizm kadecki. „Hymn” Krasickiego. Każdej soboty podbrygadierzy egzaminowali kadetów z tzw. katechizmu kadeckiego, napisanego przez komendanta szkoły ks. Czartoryskiego. Nie był to jednak groźny egzamin; cały katechizm obejmował zaledwie kilka stron druku. Był ułożony w pytania i odpowiedzi na nie; np. na pytanie: „Jak powinien być kadet?” wywołany odpowiadał: „Powinien mieć miłość, bojaźń Boga, powinien Ojczyznę swą kochać i jej dobro nade wszystko, powinien być cnotliwy, pełen poszanowania dla zwierzchnich, dobroczynności i afektu (miłości) dla równych, względu (łagodności) dla niższych”.



Mundur kadecki
1. oficer, 2. kadet

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują Cię tylko umysły pocziweł,
Dla Ciebie zjadł (tj. jadowite) smakuja trucizny,
Dla Ciebie więzy, pęta nie zelżywe (nie są hańbą)...
Byle Cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!

„Oblóczyny”. Po roku nauki i egzaminie został Kościuszko uznany za godnego szpady i paradnego munduru: granatowego fraka z pasowymi obszywkami i mosiężnymi guzikami. W dwa lata po tych oblóczynach, ukończywszy szkołę, zostaje w niej nadal już jako podbrygadier w stopniu kapitana, a potem wyjeżdża na koszt króla na dalszą naukę do Francji.

4. O TADEUSZU REJTANIE

Konfederacja barska. W kilka lat po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta Poniatowskiego gruchnęła po kraju wieść o niesłychanym bezprawiu, dokonanym przez Moskali: trzech senatorowie i jeden poseł, którzy sprzeciwiali się rosyjskim żądaniom, zostali podczas Sejmu porwani i powleczeni w głąb Rosji. To nowe, a boleśniejsze od innych, upokorzenie Rzeczypospolitej i jej praw pobudziło garść gorętszej szlachty do walki z najeźdźcą.

Był w Polsce stary zwyczaj, że w chwili wielkiego niebezpieczeństwa grożącego państwu szlachta tworzyła związki, czyli konfederacje, które obejmowały najwyższą władzę w kraju. Rządy konfederackie były bowiem sprawniejsze od zwyczajnych rządów króla i Sejmu: na radzie konfederacji zapadały uchwały nie jednomyślnie, ale większością głosów. Taki to związek utworzyła śmielsza część szlachty w Barze na Podolu i zaczęła wojnę z Moskwą. Wojna ta trwała lat kilka, ale chociaż Barzanie

Na inne pytanie odpowiadał kadet: „Należy oddawać cześć starszym bez upodlenia siebie samego: bez upadania do nóg, ściskania za nogi, całowania w ręce”, a na pytanie: „Czy może być kadet bojaźliwym, albo tchórzem?” odpowiadał: „Na to nie umiem odpowiedzieć, bo i słowa i rzeczy, które znaczą, są mi nieznanome”.

Jak katechizm, uczył też kadetów miłości Ojczyzny przepiękny wiersz ówczesnego poety, ks. biskupa warmińskiego, Ignacego Krasickiego, pod tytułem „Hymn do miłości Ojczyzny”, wypisany za czasów Kościuszki na ścianie wielkiej sali na parterze:

nie żalowali Ojczyźnie krwi swojej i majątków, to jednak po czterech latach uporczywej, lecz nieumiejętnie prowadzonej walki powstanie upadło, zduszone przez wojska rosyjskie, którym na pomoc przyszli Prusacy, a w końcu i Austria.

Pierwszy rozbiór Polski r. 1772. Zwycięzcy postanowili powiększyć swoje państwa ziemią bezsilnej Polski i dokonali tego w r. 1772. Fryderyk II, król pruski, zagarnął Pomorze; Katarzyna II, cesarzowa Rosji, część Białej Rusi nad górnym Dnieprem i górną Dźwiną, a Maria Teresa, panująca w Austrii, kraj rozciągający się na północ od grzbietu Karpat po Wisłę oraz dorzecze górnego Dniestru i górnego Bugu, czyli tę ziemię, którą później w Austrii nazwano z łacińskiego, od dawnego królestwa halickiego — Galicją.

Jak powstał Sejm rozbiorowy. Dokonawszy grabieży, państwa zaborcze zażądały, aby Sejm oświadczył, że Polska oddaje owe ziemie dobrowolnie. Wiele jednak poczyniono zabiegów, aby Sejm był posłuszny żądaniu wrogów. I tak zaborcy usunęli ze Senatu 4 biskupów, 3 kasztelanów i jednego wojewodę, którzy nie chcieli Ojczyźnie, jak mówili, „kopać grobu własnymi rękoma”, a Izba Poselska została wybrana pod bagnetami rosyjskimi i pruskimi. Zresztą wielu uczciwej szlachty, nie chcąc przykładać ręki do zbrodni rozbioru, usunęło się od wyborów.

Poniński. Ale i ten Sejm nie byłby zatwierdził rozbioru kraju: wszak wystarczało „veto” jednego posła, aby uczynić obrady nieważnymi. Aby do tego nie dopuścić, przekupili zaborcy jednego z posłów, zdolnego i wymownego, ale nieuczciwego, Adama Ponińskiego, aby zawiązał konfederację i zmienił w ten sposób Sejm zwyczajny na konfederacki, który by większością głosów uchwalił potwierdzenie rozbioru.

Posel nowogródzki. Kiedy jednak Poniński ogłosił w Sejmie konfederację a siebie jej marszałkiem, w Izbie ozwały się głosy oburzenia. Jeden z posłów wstaje i woła:

— Ani na marszałka, ani konfederację nie pozwalam! Przyzwani tu jesteśmy przez Jego Królewską Mość na Sejm wolny!

Mówi to Tadeusz Rejtan, poseł nowogródzki, po czym chwyta za łaskę nieobecnego marszałka litewskiego i woła do Ponińskiego:

— Takim ja marszałek, jak ty!

Przy Rejtanie staje 10 jego zwolenników. Wrzawa rośnie. Poniński chce sprawę odwlec. Woła, podnosząc łaskę:

— Odraczam posiedzenie na jutro, na godzinę 9!

— I ja odraczam także — woła Rejtan, podnosząc drugą łaskę — po czym posłowie rozeszli się.

Następnego dnia w czas rano zjawił się w Sejmie Rejtan z garstką zwolenników, a po kilku godzinach nadeszli stronnicy Ponińskiego. Wracają od króla, którego na próżno prosili, aby przystąpił do konfederacji. Znów więc odroczenie obrad do jutra, póki poseł rosyjski groźbami nie przyciągnie łekliwego króla na stronę zaborców. Posłowie ruszają ku drzwiom. Zrywa

się Rejtan i zaczyna ich zaklinać na honor narodu, na miłość Ojczyzny i na ich własną, aby sobie samym krzywdy nie czynili i nie gubili Rzeczypospolitej. Jego mowa wstydi jednych, gniewa innych; wielu rusza obojętnie ramionami. Z galerii schodzi publiczność, a między nią straż kolbami toruje posłom drogę ku wyjściu.

Wtedy Rejtan w uniesieniu rzuca się w drzwiach na ziemię, zaklinając na wszystkie świętości, aby się zatrzymano. Naokoło niego tłum skonfederowanych posłów. Jeden z nich przekracza leżącego, za nim inni. Sala czerńnia się. Zostaje w niej Rejtan przez resztę dnia i całą noc, aby okazać, że nie uznaje rozkazów samowolnego marszałka.

Ale na drugi dzień król ustąpił przed pogrozkami rosyjskimi. Rejtan opuścił Izbę sejmową. Rozbiór Polski został zatwierdzony, a poseł nowogródzki z rozpaczyny wpadł w obłąkanie.

5. BOHATEROWIE DWU ŚWIATÓW

Powstanie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Niedługo po pierwszym rozbiórce Polski wybuchła wojna między Anglią a jej koloniami, które ciągnęły się długim pasem na wschodnich wybrzeżach Ameryki Północnej.



Portret Jerzego Waszyngtona

Kongres, czyli zgromadzenie przedstawicieli tych kolonij, ogłosił ich niepodległość jako wolnego państwa pod nazwą Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wodzem ich wojska został Jerzy Waszyngton, a ich wysłańcy zjednali swemu krajowi pomoc niektórych państw europejskich, zwłaszcza Francji, skąd prócz regularnych wojsk przybywali do Ameryki także liczni ochotnicy.

Kazimierz Pułaski. I Polska dostarczyła ochotników młodej republice (państwu, na którego czele stoi wybierany co kilka lat prezydent). Ruszył więc za Ocean Kazimierz Pułaski, 30-letni szlachcic, najgłośniejszy z wodzów tak niedawnej konfederacji barskiej, wślawiony szczególnie bohaterską obroną Częstochowy przed Moskalami.

Po przybyciu do Ameryki został zamianowany generałem i otrzymał dowództwo nad całą amerykańską konnicą, składającą się zresztą zaledwie z paru pułków, źle uzbrojonych i niewyćwiczonych. Tę to konnicę usiłował Pułaski usprawnić, trópiąc na jej czele wroga i próbując podjazdowej wojny, którą w czasie konfederacji barskiej wobec liczniejszego nieprzyjaciela skutecznie prowadził.

Spotkanie się rodaków. Niespodzianką było dla Pułaskiego zjawienie się pewnego zimowego dnia na jego kwaterze nieznanego mu rodaka. Był to Tadeusz Kościuszko. Wysłany podczas barskiej wojny do Francji na studia inżynierskie powrócił do kraju po rozbiore, a nie znajdując w Ojczyźnie zajęcia wyjechał do Ameryki. Przyjęty do wojska jako pułkownik inżynierii zdołał już oddać sprawie amerykańskiej duże usługi, umocniwszy fortyfikacjami Filadelfię, siedzibę Kongresu, i opracował plan zatamowania Anglikom żeglugi w ujściu wpadającej pod Filadelfię do oceanu rzeki. Dowiedziawszy się o przybyciu sławnego rodaka Kościuszko odwiedził konfederackiego wodza.

„Zdarzyła się nam pociecha — zapisał w pamiętniku pewien towarzysz Pułaskiego.

Tadeusz Kościuszko, będący w obowiązkach inżyniera, przyjechał do nas w gościnę. Nie miał zawieszistej miny jak pan Kazimierz, ale widać było na jego twarzy poczciwość i otwartość szlachecką, a przy tym był człowiek niezmiernie słodki i pełen wiadości. Choć równego wieku z Pułaskim, nie znali się z sobą w kraju, ale tu oto pokochali się mocno, przyjaźń dożgonną sobie obiecując. Po dziesięciu dniach zabawy, podczas których, mimo biedy, wysadziliśmy się na traktament (gościnę) staropolski, odjechał Kościuszko do swego korpusu (oddziału)”.

Śmierć Pułaskiego. Nie opływał bowiem w dostatki Pułaski w Ameryce; toż nie przyjmował nawet płacy generała, aby zaznaczyć, że jest ochotnikiem a nie najemnikiem. Wkrótce pozwolono mu utworzyć z ochotników własny oddział złożony z piechoty i konnych. I chociaż niewielką ich garść znalazł, to jednak niedługo zasłynął jako nieustraszony wódz tego legionu, jak nazwał swój oddział. Bił się naprzód na północy, potem o 1000 km stamtąd na południu, a wreszcie otrzymał rozkaz udania się pod miasto Savannah.

Zamknęło się tam parę tysięcy Anglików z silną artylerią, a opasały ich przeszło dwa razy silniejsze wojska amerykańskie i francuskie. Atak miał zacząć się po północy, ale był już dzień, kiedy Anglicy zobaczyli nadciągających Francuzów i Amerykanów i przyjęli ich ulewą armatnich po-





Kazimierz Pułaski

cisków. Padł francuski wódz; jego wojsko cofa się. Widzi to Pułaski i sam, tylko z jednym kapitanem, pędzi na pole bitwy chcąc swoją obecnością zagrzać Francuzów. Była to jego ostatnia bitwa: padł, rażony kulą działową, a wyniesiony z pola bitwy, trzeciego dnia umarł.

Tak skończył swój żywot Kazimierz Pułaski, bohater dwu światów, tj. starego, Europy, i nowego, Ameryki, a jak go w 130 lat po jego śmierci — odsłaniając jego pomnik w Waszyngtonie, stolicy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej — nazwał prezydent tegoż państwa: „rycerz z krwi i kości, syn rycerskiego narodu, rycerski w postawie i zwyczajach, mężny i nieustraszony, a zarazem pełen kobiecej łagodności i uprzejmości”.

Czyny Kościuszki. Pożegnawszy się owej zimy z Pułaskim, którego już nigdy nie miał zobaczyć, powrócił Kościuszko do swych prac, mniej głośnych od świetnych ataków konfederackiego wodza, ale niemniej korzystnych dla sprawy amerykańskiej wolności. Obwarowywał więc ważniejsze drogi, dokonywał pomiarów rzek i opracowywał plany zdobywania miast. Na wyżynie na północ od Nowego Jorku, w miejscu obwarowanym przez Kościuszkę, stoi dziś pomnik wzniesiony na jego cześć ze składek amerykańskiej młodzieży akademickiej; fortyfikacje zaś, wykonane przez Polaka, były takie silne, że nieprzyjaciel nawet nie próbował ich zdobywać.

Jeden z najbliższych naczelnemu wodzowi generałów takie świadectwo dawał Kościuszce:

„Z niczym nie da się porównać jego gorliwość w służbie publicznej. Niestrudzony żadną pracą, nie lękający się żadnego niebezpieczeństwa, wyróżniał się bezprzykładną skromnością i nieświadomością, że dokonał czegoś niezwykłego”.

Po zwycięskiej wojnie Kongres polecił ministrowi wojny zamianować Kościuszkę generałem.

6. O KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ

Wady szkół zakonnych. Niektóre zakonne szkoły dokonały u siebie poprawy na wzór pijarskich. Ale nie wszystkie. Jeszcze długo po reformie

Konarskiego było np. w P a k o ś c i, w Poznańskim, gimnazjum, w którym nie wolno było uczniom mówić po polsku nawet w domu; „stąd — opowiada w pamiętniku pewien tamtejszy uczeń — w całym mieście, począwszy od kucharek, a skończywszy na szewcu, wszyscy nauczyli się mówić tak zwaną kuchenną (czyli złą) łaciną, tak że cała Pakość była jakby rzymską kolonią”. I nie było na to rady, bo nie było w kraju władzy nad zakonami, które słuchały tylko swoich cudzoziemskich generałów, tj. zwierzchników, zależnych jedynie od papieża.

Złego Sejmu dobry czyn. Wtem po kraju rozszedł się uniwersał, czyli odezwa, Komisji Edukacji Narodowej Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego. Wyszedł on z Sejmu rozbiorowego, tego, jak go nazwał jeden z ówczesnych pisarzy, „najgorszego z Sejmów”, który jednak procz rzeczy złych przecie uchwalił jedną szczęśliwą ustawę.

Zaczyna się ona następującymi słowami:
 „Ustanowienie Komisji, nad edukacją młodzi narodowej, szlacheckiej, nadzór mającej”.

„Ponieważ Ojciec Święty skasował Zakon oo. Jezuitów, którzy w kraju większą część edukacji (szkół) utrzymywali — więc, ażeby Rzplita (Rzeczpospolita) tak co do edukacji młodzi, jako też co do dóbr i majątków pozostałych po jezuitach nie ponosiła uszczerbku, takowe czynimy rozrządzenie:

„Ustanawiamy Komisję w Warszawie odprawować się (urzędować) mającą, do edukacji młodzi szlacheckiej” — po czym uniwersał wymienia nazwiska członków Komisji, między nimi także księcia Adama Czartoryskiego.

„Odtąd — czytamy dalej — wszystkie akademie, gimnazja, szkoły publiczne, żadnych nie wyłączając, pod dozór Komisji tej oddajemy” — a w końcu uniwersał wzywa wszystkich przełożonych szkół, aby nadesłali Komisji dokładne opisy stanu swoich zakładów.

Nowy ustrój szkolnictwa. Tak więc na miejsce zniesionych razem z zakonem szkół jezuickich Sejm 1) polecił utworzyć szkolnictwo państwowe i 2) w tym celu wybrał Komisję Edukacji Narodowej, której władzy poddał wszystkie szkoły, od najniższych do najwyższych, czyli stworzył to, czego wówczas nigdzie w Europie nie było: najwyszszą państwową władzę nad szkolnictwem, więc jakby dzisiejsze Ministerstwo Oświecenia Publicznego, które z dochodów dóbr pojezuickich miało szkoły utrzymywać.

Wiele dobrych ustaw uchwałyły dawne Sejmy polskie przez 300 lat swego istnienia, ale niewiele z nich zostało dobrze wykonanych. Ze jednak ta ustawa stała się dumą Polski, to było zasługą Komisji Edukacji Narodowej, która w kilkunastu zaledwie latach uczyniła daleko więcej, niż zamierzała uchwała Sejmu. Większość sejmowa bowiem nie myślała o przekształceniu szkolnictwa: chciała jedynie przejąć na własność państwa szkoły jezuickie i zostawić je takimi, jak były — a tymczasem Komisja prze-

robiła do gruntu nie tylko te i inne zakonne średnie szkoły, ale również i akademie, a nawet najniższe szkółki, tzw. parafialne. Wszystkie tedy szkoły tego samego stopnia otrzymały jednaką ilość klas, jednolity plan nauk i przepisane przez Komisję podręczniki. Najwyższe, akademie, krakowska i wileńska, miały obowiązek za pomocą wizytacji nadzorować naukę w 6-klasowych szkołach średnich, zwanych wydziałowymi. Tych miało być 10, po jednej w okręgu, zwanym wydziałem. Przełożony, czyli rektor, państwowej szkoły wydziałowej wizytował znajdujące się w jego okręgu 3-klasowe szkoły podwydziałowe, jakby dzisiejsze wyższe klasy szkoły powszechnej. Było ich w państwie przeszło 70, wypadło ich tedy na wydział przeciętnie po 7, a do przełożonych tych szkół należał znowu nadzor nad okolicznymi szkółkami parafialnymi.

Ks. Grzegorz Piramowicz. Najczynniejszym pracownikiem Komisji Edukacji Narodowej był Grzegorz Piramowicz, lwowianin, przedtem jezuita, potem ksiądz świecki. Był on członkiem „Towarzystwa do Książek Elementarnych” które powstało przy Komisji Edukacji Narodowej, aby dostarczyć szkołom dobrych podręczników. Ale ks. Piramowicz oprócz podręczników pisał także książeczki, w których wykładał sposób nauczania w nowej szkole i cel nauki.

Przede wszystkim nawoływał, aby nie bić uczniów, chyba za jakieś nadzwyczajne przewinienie; a tak po tysięcznym panowaniu w szkole różga została z niej prawie wyrzucona.

Starsi podnieśli krzyk:

— Jakże więc młodź będzie słuchała nauczyciela?

— Nauczyciel będzie postępował tak, aby zjednął sobie miłość i ufność dzieci

— znajdowali odpowiedź w piśmie ks. Piramowicza.

Żądał Piramowicz zakładania szkółek na wsi: „Nie masz innego sposobu wyprowadzenia ludu z występków — pisał — jako: nowe pokolenia zaraz w początkach ich życia oświecać, drogę im cnoty ukazywać”.

Ks. Piramowicz pracował nad wychowaniem młodych Polaków tak, „żeby łatwiej było człowiekowi kochać cnotę, a obywatelowi stało się nie podobna nie kochać Ojczyzny”.



Ks. Grzegorz Piramowicz

7. CZWARTKOWE OBIADY

Czwartkowi goście. Do powstania Komisji Edukacji Narodowej przyczynił się wiele król Stanisław August, który żywo zajmował się jej pracami, jak zresztą wszystkim, co miało na celu podniesienie w narodzie oświaty. Otoczył tedy nauki i sztuki piękną opieką, pobudzał utalentowanych ludzi do pisania i nagradzał autorów (twórców) mądrych i pięknych książek. Na rozmowy z nimi przeznaczył jeden dzień w tygodniu i w ten dzień zapraszał uczonych i poetów do siebie na obiad.



Król Stanisław August (portret Bacciarellego)

Jakoż we czwartki około godziny 2 po południu zajeżdżały przed Zamek nie, jak zwykle, pańskie kolasy, obwieszane po bokach i z tyłu świetną służbą, ale zwyczajne dorozki. Wysiadali z nich przeważnie skromnie ubrani goście duchowni i świeccy, ci zwykle we frakach, perukach i przy szpadach, i dążyli do sali na I piętrze, pełnej na ścianach obrazów przedstawiających różne zdarzenia historyczne, i rzeźbionych popiersi sławnych Polaków, umieszczonych na pięknych podstawach pod ścianami.

Król. Wtem otwierały się drzwi i służba ogłaszała gościom nadejście króla.

„Nie jest on wzrostu wysokiego — opisuje go uczestnik jednego czwartkowego obiadu — ale tak szlachetnej postaci, że chociaż strój jego przepychem oczu nie zwraca, natychmiast między dworzanami rozeznąć go trzeba.

Miał na sobie mundur kadecki i order Białego Orła. Dosyć liczny otaczał go orszak: doktor nadworny, adiutant (przyboczny oficer), dwusambelanów (dworskich urzędników) i dwu paziów. Stanęliśmy wszyscy rzędem; król do każdego przystępował, każdemu coś uprzejmego powiedział”.

Tak wyglądał ten pełen najlepszych chęci, lecz słabej woli król, niegodnie ulegający nakazom obcego pła, ale zarazem więcej niż którykolwiek z jego poprzedników na polskim tronie zasługujący na szacunkowe miano opiekuna nauk i sztuk, które też dzięki niemu doszły w czasach stanisławowskich do dawno niewidzianego rozkwitu.

Przy stole. Przywitawszy się z gośćmi ruszał król do sali jadalnej; zaproszeni szli za nim. Przy okrągłym stole stawali obok siedzącego króla i za nim: dwaj szambelanowie, dwaj paziowie i królewski podczasz, ubrany fałdziejcie, po polsku, w przeciwieństwie do wyfraczonych dworzan, podobnie odzianych świeckich gości i duchownych strojów księży. Wśród żywej rozmowy zabierano się do obiadu. Cenili ówcześni smakosze barszcz z uszkami, dumę królewskiego kucharza; po barszczu podawano wędliny, także kiszki i kielbasy — a nadto różne marynowane w occie mięsa i ryby, po czym podczasz nalewał królewski kieliszek winem, przy czym i kieliszki gości były napełniane. Podczas jedzenia rozmawiano przeważnie o nowych budowach w Warszawie i o pracach królewskich gości.

Ks. Naruszewicz. Najznakomitszym uczonym czasów stanisławowskich był ks. Adam Naruszewicz, były jezuita, potem zamianowany przez króla smoleńskim biskupem, autor „Historii narodu polskiego od przyjęcia chrześcijaństwa”. Nakłonił go do pisania tego dzieła król. Kilkaście lat pisał ks. Naruszewicz 7 tomów swojej historii i przedstawił w niej dzieje ojczyste aż do czasów Jadwigi i Jagiełły. Historia jego, w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich, nie uznaje za prawdę pomysłanych opowiadań o czasach przedchrześcijańskich, jak np. podania o Popielu, którego miały zjeść myszy. Podobno dało to raz powód do wielkiej wesołości na czwartkowym obiedzie. Było mianowicie, opowiada pewna znana pisarka, w królewskiej piwnicy stare węgierskie wino zwane przez króla „Popielem”. Otóż kiedy raz jeden z poetów zabierał się do odczytania swego utworu, ucieszony król kazał podać „Popiela”. Ale z Naruszewiczem przekomarzał się: udawał, że nie chce mu dać wina, ponieważ historyk nie uznaje Popiela.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział podobno dziejopis — tego uznaję! — i skosztowawszy „Popiela”, dodał: — Zaiste! Prawdziwy! Jeszcze m y s z k ą trąci! — na co wszyscy wybuchnęli długim śmiechem.

Ks. Ignacy Krasicki. O myszach i bajecznym Popielu pisał także żartobliwą wierszowaną opowieść najslawniejszy poeta czasów stanisławowskich, autor hymnu „Do miłości Ojczyzny”, ks. Ignacy Krasicki, który poezji polskiej przywrócił piękno, utracone po śmierci wielkiego Jana Kochanowskiego. Opisując wesoło wojnę myszy i szczurów z kotami, wyśmiał poeta kłótniwość polskich Sejmów, mianowicie swary między Senatem, tj. szczurami, a Izbą Poselską, czyli myszami.

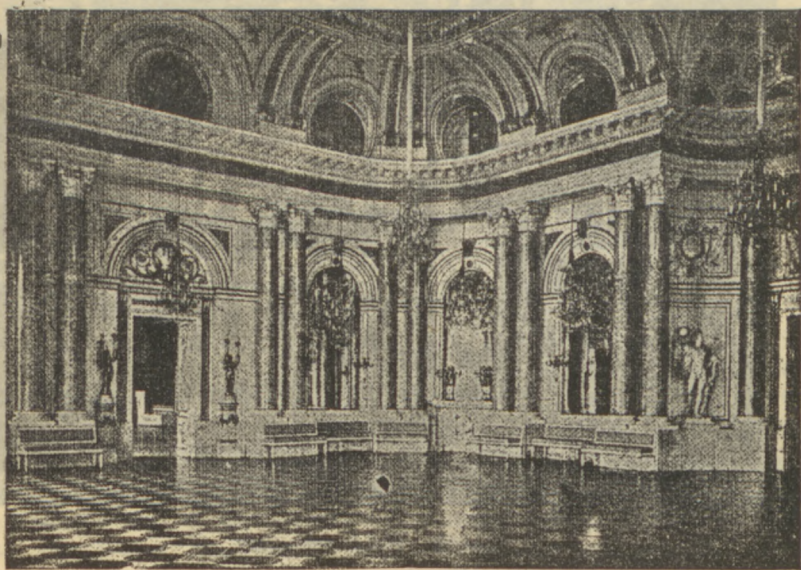
Pisał też Krasicki bajki i zgrabne satyry, w których wyszydzał wady swych bliźnich, nikogo zresztą po imieniu nie nazywając — i stał się nauczycielem swego narodu pisząc powieści pouczające mową niewierszowaną, czyli prozą. W jednej z nich np. uczył, jak powinien żyć i pracować dla Ojczyzny szlachcic, choćby od niej oderwany przez rozbiór kraju.

Młody, dowcipny i mądry ksiądz stał się przyjacielem króla, który go też zamianował biskupem w a r m i ń s k i m i zawsze rad widział u siebie. Ale rozbiór kraju przydzielił warmińskie biskupstwo królowi Prus i odtąd rzadko już przyjeżdżał Krasicki do Warszawy.

8. O STANISŁAWOWSKICH SIEDZIBACH I STOLICY

Królewska „malarnia”. Jak czwartki dla uczonych i poetów, tak środy przeznaczał król na obiady z artystami plastycznymi, tj. malarzami, rzeźbiarzami i architektami. Byli to przeważnie ludzie obcy, sprowadzeni z Włoch i Francji; więcej bowiem jeszcze niż nauka i sztuka słowa były wówczas w Polsce zaniedbane sztuki plastyczne, zwłaszcza przez szlachtę, która nimi pogardzała, uważając je za zwyczajne rzemiosła.

Pomiędzy tymi cudzoziemcami najgłośniejszy był Włoch, Bacciarrelli (Baczarelli), kierownik królewskiej „malarni” na Zamku, czyli szkoły malarskiej, założonej przez króla; kształciło się w niej wielu młodych Polaków, między którymi nieraz godzinami przebywał król, przyglądając się ich pracom, chwalać, ganiać i zachęcając.



Sala balowa na Zamku Warszawskim

Odnowienie wnętrza Zamku. Gdy w parę lat po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta pożar zniszczył wewnętrzne urządzenie Zamku, król przystąpił do odnowienia tej swojej siedziby. Plan nowego urządzenia opracował zdolny włoski architekt, ale trud swój podzielił z królem, który nie mało się natroskał, aby zamierzone dzieło było jak najpiękniej wykonane. „Wybiera, grymasi, poprawia i snuje nowe plany” — skarżyli się na króla malarze i rzeźbiarze, którzy musieli mu przedstawiać coraz to inne projekty, tj. plany obrazów, rzeźb i sprzętów. Toteż nie tylko wszelkie malowidła i rzeźby, ale także kominki, świeczniki, wazony, posadzki, a nawet klamki u drzwi, były starannie obmyślane i najdokładniej wykonane według życzenia króla, który słynął w Europie jako wielki znawca sztuk pięknych. Po kilkunastu latach pilnej pracy został królewski Zamek nie tylko odnowiony, ale i tak upiękuszony, że budził w kraju cgołny podziw.

— Chyba Wersalowi ustępuje wspaniałością — mówili bywali za granicą panowie i mieli słuszość, bo jeżeli Wersal był o wiele większy od warszawskiego Zamku, to piękniej urządzonej królewskiej siedziby trudno było szukać w Europie; nigdzie bowiem wówczas nie zasiadał na tronie człowiek tak zamiłowany w sztukach pięknych i taki ich znawca, jak król Stanisław August Poniatowski.

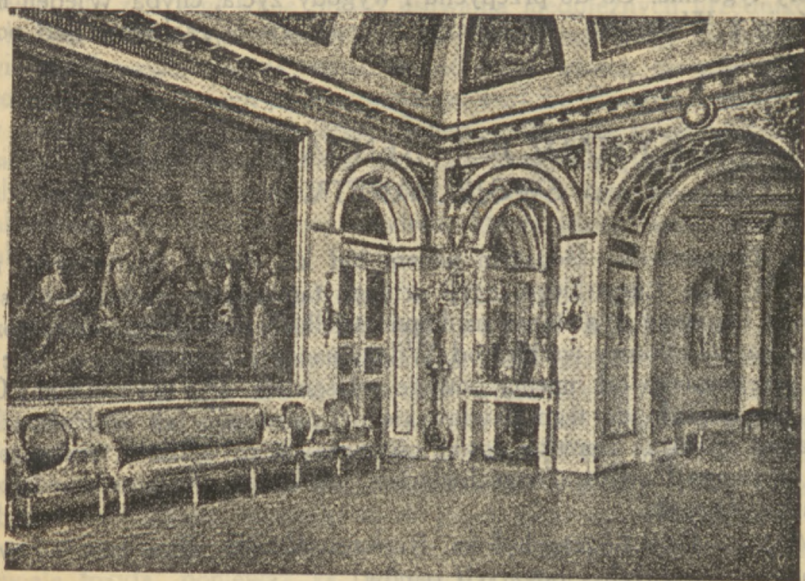
Sala balowa. Owe dwie znane dobrze czwartkowym gościom sale należały do skromniejszych na warszawskim Zamku. Wiele było wspanialszych od nich, jak np. tronowa, ale i tę przewyższała bogactwem i okazałością sala balowa, zwana także kolumnową. Wysoka na dwa piętra, miała w jednej ścianie szereg okien z pięknym widokiem na Wisłę, a w przeciwnej szereg wielkich zwierciadeł. Tak okna, jak zwierciadła i drzwi ujęto w wysokie kolumny: dźwigają one bogato ozdobiony gzyms, nad którym widać sufit wypełniony przez Bacciarellego ogromnym obrazem.



Łazienki. Widok zewnętrzny

Łazienki. Po odnowieniu Zamku zajął się król budową i urządzeniem pałacu w zakupionym od jednego z panów Łazienkowskim parku. Był tam już niewielki budynek; do niego dodał włoski architekt dwa skrzydła, nad wszystkim nadbudował piętro, a nad nim dźwignął mur zwany attyką, zasłaniający dach, podobnie jak to widzimy nad głównym frontem pałacu wilanowskiego. Tak powstał prześliczny pałac, pełen wykwintu a przy tym prostoty.

I tu, jak na Zamku, pracowali liczni malarze i rzeźbiarze. Rozmieszczono tedy wiele rzeźb na szczycie attyki, a także przed pałacem i w parku, wewnątrz zaś ozdobili głównie malarze. Pokryli oni obrazami ściany wielu sal; Bacciarelli — salę Salomona, zwaną tak dlatego, że przedstawił na jej ścianach różne zdarzenia z życia tego króla, któremu dał twarz Stanisława Augusta. Z okien tej sali widać rozległy staw, a za nim pomnik Jana III, przedstawionego jako starożytnego rzymskiego wodza, po parku



Łazienki. Sala Salomona

zaś rozrzucono parę mniejszych pałacyków i aż trzy teatry, a nadto wybudowano ogrzewaną oranżerię dla pielęgnowania krzewów pomarańczowych.

Warszawa. Przykład króla zachęcił panów do budowania w okolicy Warszawy pałacyków otoczonych pięknymi ogrodami, pełnymi umyślnie wykopywanych sadzawek, sztucznie z kamieni budowanych grot, sypanych pagórków, kopanych wąwozów, różnych altan i gajków. Także i w mieście wzrosła liczba pańskich pałaców, a jeszcze więcej mieszczańskich kamienic, których wybudowano w stanisławowskich czasach około 2.000. Bo też na początku panowania Stanisława Augusta liczono mieszkańców stolicy 30.000, a przy końcu prawie 4 razy tyle. Zjawily się okazałe hotele, w których obcy mógł znaleźć pomieszczenie, nie potrzebując go, jak dawniej, szukać w prywatnych domach albo klasztorach, wybudowano pierwszy publiczny, dostępny dla każdego widza, teatr, pokazały się również pierwsze cukiernie. Toteż wiejski szlachcic z podziwem pisał o stolicy: „Miasto wielkie, zastępujące (zasłaniające) brzegi Wisły, jakby jaki las; czerwone dachy, kominy na domach wysokie równo z kościołami, ludzi nie widać boso, każdy z miną wesołą, ubrany, jak u nas w niedzielę”.

Ale i cudzoziemiec wychwalał Warszawę pisząc o niej: „Zdumiewać się można nad mnogością pałaców, ze smakiem (ze znanstwem sztuki) i wspaniale wybudowanych. Są one wielkie, trwałe i piękne: ogrody, ozdoby sal, sprzęty, zbiory obrazów świadczą o bogactwie i zamiłowaniu sztuki ich właścicieli”. A ruch w mieście taki, że „w dniu, kiedy jest posiedzenie Sejmu albo bal, naliczysz więcej powozów w ciągu jednego dnia, niż w Berlinie

za cztery tygodnie. Co do przepychu i wygody życia, chyba Wiedeń może równać się z Warszawą” — kończył Niemiec swoje zachwyty nad polską stolicą.

9. JAK KSIĄDZ REFERENDARZ URZĄDZIŁ SWOJE PAŃSTWO

Ks. Brzostowski. Bogatym panem był ks. Paweł Brzostowski, referendarz W. Ks. Litewskiego, czyli członek tamtejszego nadwornego sądu. Stać było bogatego dygnitarza na kupno wielkich posiadłości, które rozciągały się na południowy wschód od Wilna, naokoło dawniejszego *Merec z a*, przezwanego od imienia nowego właściciela *P a w ł o w e m*. Około 20 wsi należało do tego pawłowskiego „państwa”, jak w Polsce było zwyczajem nazywać ziemskie posiadłości; prawie dwudziestu wsiom rozkazywał ze swego Pawłowa wszechwładny, jak każdy wówczas dziedzic, ks. referendarz litewski.

Możny więc i bogaty był ks. Brzostowski, ale jakże inny od wielu, bardzo wielu możnych i bogatych panów!

Dwa światy. Nigdzie w Rzeczypospolitej nie była dola chłopca równie litości godna, jak na Litwie. Już za ostatniego Jagiellona pewien pisarz, podróżując po ziemiach litewskich, spotkał raz orzącego w niedzielę chłopca, a gdy go, zgorzony, zapytał, dlaczego nie święci dnia Pańskiego, usłyszał odpowiedź: „I w niedzielę jeść trzeba”. Już więc za Zygmunta Augusta były na Litwie okolice, w których chłop odrabiał tyle pańszczyzny, że aby się wyżywić, musiał i w niedzielę pracować. A 200 następnych lat bynajmniej nie przyniosło poddanym polepszenia doli: owszem, pogorszyło ją jeszcze. Toteż, kiedy za panowania w Rzeczypospolitej króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, a za władania w państwie pawłowskim ks. referendarza Brzostowskiego jeździł po Litwie wysłannik Komisji Edukacji Narodowej, wtedy przejechawszy blisko 100 mil po kraju wszędzie widział, jak to potem opisał, „tylko nędzne wałące się chaty i wywędle ludzkie cienie”.

Dopiero gdy wjechał w granice państwa pawłowskiego, od razu, jak opowiada, „okropne nikły widziadła”, tj. zniknęły okropne obrazy. Wokoło zobaczył pola pokryte obfitym plonem, mieszkania czyste, płoty bez dziur, sady pełne drzew owocowych, w Pawłowie murowany ratusz, szpital i szkołę, wszędzie zaś ludzi schludnie ubranych, śmiało spoglądających, tak różnych od innych wieśniaków, jak człowiek wolny, „szczęśliwie żyjący, różni się od jęczącego w więzieniu”.

Pawłowska rzeczpospolita. Cały ten kwitnący stan pawłowskiego majątku był dziełem ks. referendarza. Rozumiejąc, jakim dobrodziejstwem dla Polski mogłyby być jej ustawy, gdyby były należycie wykonywane, przepisał po prostu prawa wielkiej Rzeczypospolitej i nadał je swej małej — pawłowskiej. Tylko wolnego „veto” nie wpuścił do Pawłowa, ani elek-

króla, ani jego bezsilności. Uczynił się dożywotnim wykonawcą praw w Pawłowiu, ale zastrzegł sobie prawo usuwania niedołączonych urzędników, czego król z dostojnikami Rzeczypospolitej czynić nie mógł. Senat w państwie pawłowskim została zwierzchność całej włości, tj. wójt pawłowski, jego zastępcy po wsiach i inni urzędnicy, a „Izbę Poselską” stanowili wszyscy chłopcy z włości. Obrady tego „Sejmu” odbywały się w ratuszu; tam też zasiadał wybrany przez ludność sąd, tam urzędowała komenda milicji, jakby pospolitego ruszenia w Rzeczypospolitej, tam wreszcie było stanowisko maleńkiej pawłowskiej artylerii, której także temu „państwu” nie brakowało.

Gospodarstwo. Jak szlachcic w Rzeczypospolitej, tak w majątności pawłowskiej każdy wieśniak był wolny. Mógł się przenieść, gdzieby mu się podobało, a nawet, odchodząc, mógł sprzedać swoje budynki. Ale nie zdarzało się, aby kto dobrowolnie włość opuszczał, chyba wyrokiem sądu skazany na wygnanie. Bo i po cóż by odchodził? Pańszczyznę ks. referendarz zniósł, a czynsz, na który ją zamienił, był mały: za każdy dzień dawnej pańszczyzny chłop płacił dziedzicowi 8 groszy, które sobie zresztą odbierał z zarobkiem, najmując się do pracy na gruncie dworskim za 10—12 groszy dziennie. W dodatku miał za darmo szkołę i szpital, na które gmina niewiele łożyła, ponieważ ks. referendarz wyposażył je hojnym zapisem 30.000 złotych, z których dochód wystarczał na opłacanie nauczyciela i felczera leczącego chorych w szpitalu i po domach całej włości.

Czy jednak ks. Brzostowski, płacąc więcej najemnikom, niż mu płacili czynszu, nie stracił dochodów ze swoich dóbr?

Bynajmniej. Wolny najemnik pracował za pieniądze ochotniej, niż dawniej poddany za darmo. To jedno. Drugie, że jeszcze ochotniej pracował on na swoim, niż za pieniądze na cudzym. A praca dawała zamożność, a zamożność pragnęła większych wygód, a wygody kosztują. Rósł tedy handel w pawłowskiej majątności, a z jego wzrostem dzierżawcy sklepów płacili dziedzicowi coraz większe czynsze, skąd poszło, że urzędnika ks. Brzostowskiego nie tylko nie pomniejszyły jego dochodu, ale owszem, zwiększyły go o kilka tysięcy złotych rocznie.

W sądzie. W ratuszu odbywa się sąd. Dawniej miał on wiele zajęcia, kiedy szerzyło się w włości pijaństwo i bójki, a po chatach mieszkało po parę rodzin, wśród których wybuchały swary z powodu lada przesunięcia garnka przy ogniu. Ale teraz każda rodzina ma swą własną chatę, a pijaństwo prośbą i groźbą wyplenil mądry ks. referendarz. Kogoż więc i za co ciągną do sądu? Oto jeden z gospodarzy paląc fajkę wyszedł z chaty do obory, co wówczas pociągało za sobą surowe kary.

Ale choć sąd ukarał winnego tylko słowami ks. referendarza, który cielesnymi karami się brzydził a pieniądze polecał nakładać dopiero za uparte powtarzanie przestępstwa, to jednak człowiek, zawstydzony słowami mądrego pana, wystrzeżał się do końca życia wychodzenia z fajką w zębach z chaty.

Tak ks. referendarz wychowywał obywateli pawłowskiego państwa.

10. O „WIELKIM PIECU” PANA PODKANCLERZEGO

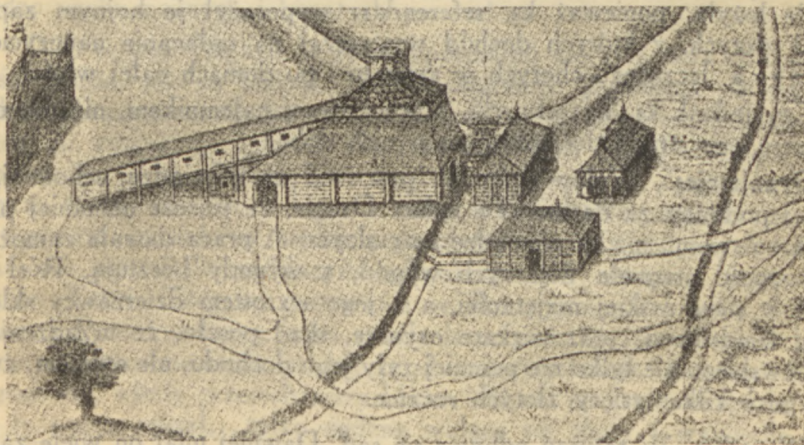
Królewska troska. Traktem, tj. drogą niekopaną rowami, przecinającym powiat chęciński, toczyła się bryczka, na której siedziało dwu szlachty.

— Dwór, a nie dwór — rzekł jeden z nich, obcy w tych stronach szlachcic, wskazując na dalekie przed nimi budynki, między którymi dymił szeroką gardzielą komin.

— To wielki piec w Antoninowie — odpowiedział drugi. — Huta żelazna.

— Czyż to posiadłość?

— To starostwo podkanclerzego koronnego, pana Jacka Małachowskiego. Wielu panów buduje pożyteczne krajowi fabryki. I ksiądz biskup krakowski i kanclerz koronny i podskarbi litewski, pan Tyzenhaus, i inni, a wszyscy za staraniem Króla Jegomości, który ich do tego zachęca, własnego worka nie żałując. Sam, z własnych pieniędzy opłaca uczonych, biegłych w mineralogii, czyli nauce o skałach i corocznie rozda je kilkadziesiąt tysięcy złotych pomiędzy nowe kopalnie, bo wiadomo, że dobywanie kruszców wymaga niemałych wydatków, zanim okażą się zyski.



Wielki piec w Antoninowie

Antoninów. Przejedni nierzadko zatrzymywali się w Antoninowie, aby obejrzeć wielki piec pana podkanclerzego.

Nad stawem wznosił się wielki drewniany budynek z pięterkiem pokrytym glinianą dachówką, z której wystawał szeroki komin, dzień i noc ziejący dymem. Był to właśnie ów wielki piec. Palono w nim węglem drzewnym. Ten wydziela za mało ciepła, potrzebnego do stopienia żelaznej rudy; aby więc otrzymać należyty żar, trzeba było ogień podsycać miechami, bez ustanku dmuchającymi w ognisko wielkiego pieca. Siły potrzebnej do poruszania miechów dostarczał staw: na obrazku powyższym widzimy staw u góry a potok, obracający koło i przez nie poruszający miechy, przepływa pod samą ścianą na prawo od wielkiego pieca.

Jak z prawej strony potok dostarczał miechem siły, tak z lewej, pochyłym pomostem, dostarczano piecowi materiału, tj. węgla, rudy i potrzebnego do wytapiania żelaza wapna. Wędrował ten materiał na piętro do tzw. szychtarki oświetlonej małymi okienkami, widocznymi na obrazku nad dolnym dachem. Było to poddasze o niskich ścianach, pełne zwałów materiału, który zasmoleni robotnicy co pewien czas wsypywali wielkimi kosztami do otworu ziejącego w ścianie komina. Naprzód wsypywali warstwę węgla, na nią drugą — rudy, a wreszcie trzecią — wapna. Uczyniwszy to, robotnicy mówili, że „zrobili szychtę”; takich szycht bywało w ciągu doby ponad 20.

Na dole sapały miechy a prąd powietrza, pędzony przez nie w palenisko, podsyczał i wznagał żar ognia. Obok paleniska tkwiła w ziemi wprawa: długie na 2 metry a parę decymetrów szerokie wgłębienie zbudowane z kamieni, do którego leniwie ściekała rozżarzona do białości płynna ciężka masa.

— A cóż się dzieje — zapytywali zwykle zwiedzający hutę — kiedy się zaprawa wypełni?

— Wtedy powstaje gęś — padała niezrozumiała dla gości odpowiedź, po czym następowało jej wytłumaczenie.

Oto tuż obok bruzda, wysypana mokrym piaskiem, do której spuszcza się z zaprawy płynne żelazo, aby wystygło. W ten sposób powstaje trójgraniasty kawał metalu zwany przez hutników „gęsią”, który następnie wędruje do wagi umieszczonej na dworze, pod pochyłym pomostem, po czym otrzymuje kredą napis, ile waży, i jako gotowy do handlu towar idzie do magazynu.

Przemysł żelazny. Wielki piec w Antoninowie wytapiał około 100 cetnarów żelaza tygodniowo, czyli najwięcej żelaza ze wszystkich pieców w Polsce. Ale pracował, czyli „szedł”, tylko przez trzy czwarte roku; w lecie podczas posuchy, koło na potoku stawało — miechy przestawały pracować i huta odpoczywała. Oprócz antoninowskiego pracowało w Polsce za Stanisława Augusta kilkadziesiąt wielkich pieców. Było nadto w kraju prawie drugie tyle małych dymarek, podobnych do pieców w kowalskich kuźniach; razem wszystkie wielkie piece i dymarki wytapiały rocznie kilkadziesiąt tysięcy cetnarów żelaza, z czego sam Antoninów wytwarzał prawie 15 część.

Tak więc dzięki zachodom troskliwego o przemysł króla niewiele tylko materiału wwoziła Polska dla swych żelaznych fabryk, które wytwarzały w kraju towary dotychczas sprowadzane zza granicy. I król bowiem i panowie pobudowali różne fabryki żelaznych narzędzi, jako to gwoździ, pługów, kos, karabinów, strzelb, pistoletów, szabel i innych wyrobów, za które przedtem corocznie wychodziły za granicę miliony złotych i bogacili cudzoziemskich przemysłowców i kurców.

11. O SEJMIE CZTEROLETNIM

Konfederacja. Nie dożył ks. Konarski tej chwili, kiedy w kilkanaście lat po pierwszym rozbiórce dawni wychowankowie jego szkół, związani w stronnictwo zwane patriotycznym, skorzystali z niezgody wybuchłej między zaborcami i jęli się dzieła naprawy Rzeczypospolitej i uwolnienia jej od rosyjskiej zależności. Aby Sejm, na którym miano tego dokonać, ochronić przed zerwaniem, postanowili go posłowie stronnictwa patriotycznego poddać pod prawa konfederacji. Wiele w tym pomógł im król, którego sobie zjednali; zwolennicy starego bezrządu nie śmieli się sprzeciwić, kiedy Stanisław August oświadczył się za konfederacją wskazując, że nadeszła stosowna chwila do ratowania Ojczyzny.



Stanisław Małachowski

— Czas to jest — kończył swą mowę — daj Boże, żeby nie ostatni, z którego najusilniej korzystać należy, aby siły narodu pomnożyć.

Tak mówił król, po czym zaprosił sejmujących do przystąpienia do konfederacji. Bez sprzeciwu wybrani zostali na marszałków dwaj zwolennicy naprawy: z Korony Stanisław Małachowski, a z Litwy Kazimierz Sapieha — po czym zaczęły się cztery lata trwające obrady wiekopomnego Sejmu, który dlatego zwiemy czteroletnim albo wielkim.

Uchwalenie 100 tysięcy wojska. Na jednym z pierwszych posiedzeń sejmowych pewien senator postawił wniosek powiększenia wojska do liczby 100 tysięcy. Wniosek został natychmiast uchwalony.

— Zgoda! Zgoda! — wołali senatorowie, posłowie, publiczność, zwłaszcza panie, oklaskujące z galerii nową ustawę i wywijające z radości chustkami i szalami.

Z tronu przemówił król. Był wzruszony „zgoda serc i umysłów”, dawno w Sejmie nie widzianą, ale obawiał się czy znajdą się pieniądze na utrzymanie tak wielkiego wojska.

I słuszny był niepokój króla, bo, aby utrzymać tak liczną armię, musiałyby szlachta nie żałować pieniędzy na podatki, większość zaś jej nie miała chęci ponosić tak dużych ciężarów.

Czarna procesja. Szczęśliwiej załatwił Sejm 4-letni sprawę podniesie-

nia z upadku miast. Oto prezydent Warszawy, Jan Dekert, człowiek bogaty, świątły i wytrwały, zwołał przedstawicieli królewskich miast do Warszawy; tu ułożywszy na piśmie żądania swego stanu ruszyli mieszczańskie do króla i sejmowego marszałka. Ów pochód przeszło 250 przedstawicieli miast, ubranych wedle przepisu obowiązującego mieszczan w czarne szaty, nazwano w Warszawie czarną procesją.

Zjawieniem się swoim pod Zamkiem wprawiła procesja w przerażenie zwolenników dawnego bezrządu. W tym bowiem czasie wrzała we Francji krwawa wojna domowa, wszczęta przez mieszczaństwo, zwana wielką rewolucją, i obrońcy polskich przywilejów szlacheckich obawiali się, aby czarna procesja nie stała się początkiem rewolucji na wzór francuskiej. Ale mieszczenie nie myśleli o objęciu władzy w Polsce: prosili tylko o dopuszczenie przedstawicieli miast do Sejmu i przywrócenie im dawnych miejskich praw, a przedłożywszy swoje pismo rozjechali się do domu.

Obrady nad prawami miast. Długo jednak większość posłów, obrońców dawnych szlacheckich przywilejów, nie zgadzała się na przyznanie miastom żądanych praw.

— Królu — wołał jeden z nich — pomnij! Kiedyś był szlachcicem, czy posłował mieszczanin z Tobą? Zostawmy mieszczan w dawnym ich bycie! Niech będzie, jak bywało! Wieki tak Rzeczpospolita przetrwała — wieki podobnież trwać będzie!

Ale przyjaciele miast mówili rozsądniej:

— Trzeba zadowolić miasta — tłumaczył jeden z nich. — Szlachta sama nie obroni Rzeczypospolitej! Gdyby mieszczenie nie byli uciśnieni, staliby zawsze przy nas i ani by pozwolili wywozić z Warszawy biskupów i senatorów!

Inny poseł chciał pozwolić mieszczanom kupować dobra ziemskie.

— Cóż mieszczanin ma uczynić — pytał się — skoro dorobi się fortuny? Chyba za granicę się wynieść! Czyż nie lepiej go zatrzymać i przez posesję (posiadanie dóbr) związać z krajem?

Tak pouczali patrioci starą szlachtę, którą zwali „weteranami”, i wreszcie doprowadzili do uchwalenia tzw. „prawa o miastach”.

Prawo o miastach. Dawało ono mieszczaninowi wolność osobistą: bez wyroku sądu nie wolno odtąd było więzić mieszczanina, podobnie jak szlachcica. Dawne miejskie sądy, wybierane przez mieszczan, zostały przywrócone, tak samo zarząd miasta przez miejską radę. W Sejmach miało odtąd zasiadać 20 posłów z miast, zwanych plenipotentami, którzy mieli prawo głosować we wszystkich sprawach miejskich; przyznano też mieszczanom dostęp do urzędów, do stopni oficerskich i wyższych godności duchownych i prawo posiadania dóbr ziemskich. Prawa te otrzymały tylko miasta królewskie; dola miast prywatnych, tj. szlacheckich, pańskich i duchownych, zależała nadal od dobrej woli ich właścicieli.

Zbratanie stanów. Dzielną przewódca czarnej procesji, prezydent Dekert, nie doczekał się prawa o miastach. Umarł przed jego uchwaleniem i nie on, ale już jego następcą w godności prezydenta stolicy przyjmował marszałka Małachowskiego i wielu innych panów i szlachty, kiedy przybyli do ratusza, by wpisać się do księgi warszawskiego mieszczaństwa.

12. O JULIANIE URSYNIE NIEMCEWICZU

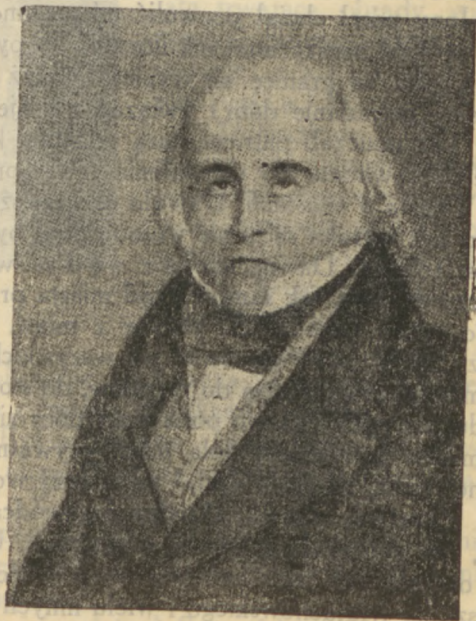
Posel inflancki. Pomiędzy posłami należącymi do stronnictwa patriotycznego znajdował się młody, wybrany przez szlachtę inflancką, Julian Ursyn Niemcewicz. Kształcił się w Korpusie Kadetów, a potem jako adiutant ks. Czartoryskiego zwiedził razem z nim Niemcy, Włochy, Francję i Anglię. Bogactwo tych krajów i potęga niektórych z nich pobudziły go do tym gorętszej miłości jego biednej, osłabionej Ojczyzny; jej służyć wszystkimi swoimi siłami — stało się odąd zadaniem byłego kadeta przez całe 60 lat jego dalszego życia.

Obrońca uciśnionych. Pierwszą większą mowę wypowiedział w Sejmie w obronie chłopów, na których wielu szlachty zwałało obowiązek płacenia podatku uchwalonego na powiększenie wojska. Żądając ustanowienia takich sądów, przed którymi chłop mógłby się skarżyć na pana, mowił:

„Wspomnijmy, jakie były buntów ukraińskich przyczyny! Jeżeli teraz podobne wyniknie nieszczęście — nie chwyci się go czyhający na zgubę nieprzyjaciół? Już tedy samo bezpieczeństwo Rzeczypospolitej klęskom tym zaradzić każe; przydajmy do tego uczucia sprawiedliwości i ludzkości! Zważmy, czym jest stan chłopski, ta szanowna część narodu naszego: sześć milionów ludzi, nie mających własności, nie mogących uciekać się pod opiekę prawa! Wyrzucano mi, że ja chłopom chcę powrócić wolność; bodajbym nigdy na inny nie zasłużył zarzut! Ale wiem, że tak ważna odmiana nie jest (nie może być) dziełem jednego Sejmu, że powoli postępować nam w tym przedsięwzięciu potrzeba. Nie jest to zatem mowa o przywróceniu chłopom wolności, ale o zasłonięciu ich od ucisku!”

Nie zabrakło też inflanckiego posła między obrońcami miast. Mówił, że jeżeli nakłada się na mieszczan podatki, to należy im także przyznać korzyści z podatków. Podatek przeznaczano na wojsko, a czyż mieszczanin może być oficerem? Wołał tedy o sprawiedliwość dla mieszczan, bo inaczej oni sami upomną się o należne im prawa.

Służba piórem. „Wcześniej — pisał Niemcewicz w swoich pamiętnikach — obudził się we mnie smak do poezji, w 16 roku. Od tego czasu zacząłem bazgrać wiersze i nałóg ten nie opuścił mnie przez lat z górą 60”. Pisał



Julian Ursyn Niemcewicz

drobne wierszyki, bajki, wreszcie dłuższe wiersze nazwane „Śpiewami historycznymi”, a wszystko to miało za zadanie nauczyć rodaków miłości Ojczyzny.

„Powrót posła”. Najgłośniejszym dziełem Niemcewicza stała się komedia pt. *Powrót posła*. Wystawiono ją w Warszawie w teatrze niedługo przed uchwaleniem prawa o miastach. Przedstawia ona dwa ówczesne szlacheckie stronnictwa: patriotyczne i „weteranów”. Do pierwszego należy podkomorzy i jego syn, poseł sejmowy, który w czasie przerwy w obradach przyjechał ze stolicy do domu, do drugiego starosta, stary gaduła, skąpiec i samolub. Cały teatr trząsł się od śmiechu, kiedy starosta na scenie płakał za dawnymi czasami:

„Jak to Polak szczęśliwie żył pod Augustami!
Człek jadł, pił, nic nie robił i suto w kieszeni!
Dziś? Wszystko się zmieniło! I bardziej się zmieni!
Zepsuli wszystko! Tknać się śmieli okrutnicy
Liberum (wolnego) veto! Tej to wolności żreńczy!”

Kiedy zaś na zaręczynach podkomorzycy ze starościanką podkomorzy obdarza swoich chłopów wolnością, oburzony starosta krzyczy:

„Potrzebne to rzeczy?
Do czego to znów przypiąć to ich uwolnienie?
To tylko Waćpan robisz dla drugich zgorznień!”

Śmiała się publiczność, widząc w osobie starosty wyszydzonych niektórych gadatliwych posłów, zwolenników starego bezrządu, ale teatr drgał od grzmotu oklasków, kiedy podkomorzy lub jego syn wygłaszali myśli stronnictwa patriotycznego, jak np. „dom zawsze ustępować powinien krajowi!” to znaczy, że korzyść domu, tj. rodu, nie śmie przynosić krajowi szkody. Podobnie też kończy się komedia słowami podkomorzego, który wznosi zdrowie narzeczonych:

„Bodaj byśmy — dzieląc pomyślnie godziny (chwile pomyślności)
Między słodkim staraniem krewnym i domowi (dla krewnych i domu)
A tym, co się należy własnemu krajowi —
Cnotliwie wszyscy w zgodzie i jedności żyli
I na szczęście Ojczyzny i dzieci patrzyli!”

Dziennikarz. W kilka dni potem ci, co nie byli na przedstawieniu, przeczytali w *Gazecie Narodowej* i *Obcej* mowę wygłoszoną w Sejmie przez jednego z „weteranów”, który żądał, by Sejm ukarał autora komedii za wyszydzenie żrenci szlacheckiej wolności. Mowa ta wywołała w Sejmie powszechny śmiech i wślawiła komedię jeszcze bardziej: na dalszych przedstawieniach było pełno publiczności, marszałek Małachowski, który także zjawiał się w teatrze, został przywitany radosnymi oklaskami. Donosiły o tym i inne gazety, ale żadna tak dokładnie, jak „*Narodowa* i *Obca*”. Jej redaktorem bowiem był Niemcewicz, który jął się tej pracy, aby rozpowszechnić program stronnictwa patriotycznego, tj. jego przykazania i cele i zjednywać mu nowych zwolenników.

13. O KONSTYTUCJI 3 MAJA

Śmiała myśl. Już trzeci rok obradował Wielki Sejm, a jeszcze nie usunął największych wad ustroju Rzeczypospolitej: elekcyjności (wybieralności) króla i wolnego „veta”, bronionych zawzięcie przez większość posłów. Tymczasem nad Polską gromadziły się groźne chmury: zaborcy pogodzili się, a Katarzyna II gotowała się do zemsty za zrzucenie przez Polskę zależności od Rosji.

Wtedy kilku śmiałych członków stronnictwa patriotycznego, między nimi marszałek Małachowski i jeden z największych polityków w polskiej historii, ks. Hugo Kolląta j, postanowili ratować Ojczyznę wbrew woli sejmowej większości i narzucić krajowi wypracowaną przez Kollątaja ustawę o ustroju państwa, tj. konstytucję.

Było to niedługo po świętach Wielkanocnych r. 1791. „Weteranów” w stolicy było mało, bo przeważna ich część nie wróciła jeszcze ze świąt, które spędziła u siebie na wsi — toteż tę ich nieobecność postanowili wykorzystać twórcy konstytucji i w niepełnym Sejmie uchwalić nowy ustrój państwa.

Mieli twórcy nowej konstytucji za sobą króla i kilkudziesięciu wtajemniczonych posłów, czyli o wiele mniej niż połowę Sejmu, ale w razie oporu nielicznych w mieście „weteranów” mogli liczyć na wojsko i na mieszczanństwo.

Wielki czyn. Dzień 3 Maja 1791 r. Od wczesnego rana snują się ulicami stolicy tłumy publiczności. Śpieszą one ku Zamkowi, gdzie wypełniają dziedziniec, schody i salę sejmowych obrad. O godz. 11 wchodzi do sali król w mundurze generała Korpusu Kadetów, otoczony oficerami gwardii, tj. swego przybocznego oddziału wojskowego, poprzedzany przez sejmowych marszałków. Zasiada na majestacie; słychać trzykrotne stuknięcie laską o podłogę i Małachowski zaczyna posiedzenie Sejmu, polecając odczytać nadesłane zza granicy depecze z wiadomościami o niebezpieczeństwach zagrażających Rzeczypospolitej.

— Prosimy! Prosimy! — rozlegają się okrzyki posłów i publiczności.

— Proszę o głos! — woła jeden z nielicznych na sali weteranów, ten sam, który niedawno cśmieszył się, żądając na Niemcewicza sejmowego sądu za wystawienie „Powrotu Posła”. — Mam odkryć wielkie rzeczy. Oto uknowana jest rewolucja... — krzyczy — która, przygotowując nowy rząd, ma popchnąć naród w niewolę!

Pomimo jego sprzeciwu ogłoszono zagraniczne depecze, po czym sekretarz sejmowy odczytał nową konstytucję, którą sala przyjęła burzą oklasków i „po tysiąc razy okrzyknęła zgodę” — jak to potem sekretarz opisał.

Treść Konstytucji. Konstytucja 3 Maja postanawia:

1) że religia rzymskokatolicka ma być w Polsce panującą, ale że wolno każdemu wyznawać jakąkolwiek inną religię,

2) że tron polski staje się dziedziczny — ponieważ zaś król Stanisław August jest bezdzietny, przeto następstwo po nim na tronie obejmie ród książąt saskich.

3) że do uchwalenia praw i podatków na Sejmie wystarczy większość głosów, a wolne veto jest zniesione, i

4) że Sejm może być zwołany każdej chwili, zasiadają w nim posłowie wybrani na ostatnim Sejmie zwyczajnym,

5) nadto wpisane zostało do Konstytucji niedawno uchwalone prawo o miastach, a

6) ludność wiejska otrzymała opiekę prawa: chłop mógł odtąd skarżyć dziedzica przed sądem, czego mu przedtem nie było wolno.

Król z narodem! Na próżno sprzeciwiało się uchwałę kilku „weteranów”, na próżno ów ośmieszony poseł wywłócił na środek sali swęgu synka i chwytając za szablę, wykrzykiwał nad przerażonym dzieckiem: — Zabiję własne dziecko, aby nie dożyło niewoli, którą ten projekt krajowi gotuje! — Na sali rozległy się tak burzliwe wołania: „Wiwat król! Wiwat nowa Konstytucja!” — że marszałkowie długo nie mogli uciszyć zebranych. Okrzyki z Izby sejmowej przeniosły się na dziedziniec zamkowy, a stąd na bliższe i dalsze ulice, wznecając wszędzie radosny zapal. Wreszcie uciszyła się sala i rozległy się słowa królewskiej przysięgi na nową konstytucję, po czym król dodał:

— Przysięgłem Bogu, żalować tego nie będę. Wzywam teraz kochających Ojczyznę, niech idą za mną do kościoła na złożenie Bogu wspólnej przysięgi i dziękczynienia, że nam dozwolił tak uroczystego i zbawiennego dokonać dzieła.

Wśród gromkich okrzyków posłowie i publiczność porwali na ręce Stanisława Małachowskiego i w ślad za królem zanieśli go do katedry. Huk armat, ustawionych przed Zamkiem, towarzyszył przysiędze. Z zapalem składali ją król, senatorowie, posłowie i wszystek lud, zapelniający kościół i stłoczony przed kościołem na ulicy.

14. NOWY GROM

Wrogowie Konstytucji. Nowe prawa nie podobały się weteranom. Zwłaszcza między panami, żądnymi wysokich godności, a nawet dążącymi do tronu, znaleźli się potężni wrogowie Konstytucji; wprowadzona bowiem przez nią dziedziczność tronu odbierała im nadzieję uzyskania kiedyś wymarzonej królewskiej godności.

Konfederacja targowicka. Wojna z Rosją. Jakoż w rok po ogłoszeniu Konstytucji niektórzy panowie zawiązali na Ukrainie, w mieście Targowicy, konfederację dla ochrony „szlacheckiej wolności” i wezwali carycę Katarzynę II, aby im pomogła obalić Konstytucję 3 Maja. Caryca chętnie użyła pomocy targowiczanom i wkrótce dwie silne armie wkroczyły w granice Rzeczypospolitej: jedna na Litwę, druga na Ukrainę. Przeciw nim wyszło utworzone przez Sejm 4-letni nowe polskie wojsko, liczące zaledwie połowę uchwalonej liczby 100.000 żołnierzy, a w dodatku prawie zupełnie pozbawione doświadczonych wodzów. Tylko w armii koronnej, którą dowodził młody i dzielny, ale nieprzywykły do sprawowania tak wielkiego

dowództwa bratanek króla, księżę Józef Poniatowski, znajdował się podwładny mu generał, mający wojenne doświadczenie. Był nim Tadeusz Kościuszko.

Bitwa pod Dubienką. Powróciwszy z Ameryki jako generał, otrzymał



Ks. Józef Poniatowski

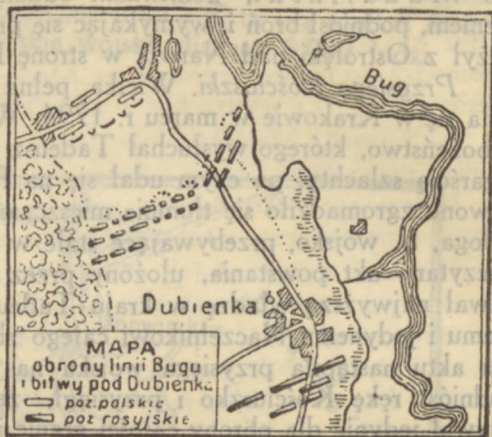
brzeźnymi mokradłami a lasem, należącym już do austriackiej Galicji. Stał zaś naprzeciw głównych sił rosyjskich, pięć albo sześć razy liczniejszych od jego dywizji.

W lipcowe popołudnie zaczęła się bitwa hukiem armat. Ale jak długo mogło 10 polskich dział odpowiadać 56 rosyjskim? Po jakimś więc czasie, kiedy niektóre polskie szanice, zasypywane gradem moskiewskich pocisków, zaczęły milknąć, wódz rosyjski rzucił kilka pieszych i konnych pułków do ataku. Ucichły armaty: słychać tylko ogień karabinowy i przeciągłe okrzyki „ura!” rosyjskich żołnierzy. Przybywają im na pomoc nowe pułki, aż wreszcie trzy polskie szanice zaroily się od moskiewskiego mrowia. Nadto rosyjski wódz wysłał najwaleczniejszego ze swych oficerów z paru pułkami konnicy, nakazuje mu przekroczyć austriacką granicę i przedrzeć się lasem na tyły polskiego obozu. Ten niespodziewany napad został jednak odparty, przy czym dowódca poległ, „a z jego komendy mało co się powróciło”, jak opowiadał potem Kościuszko, który zadawszy wrogowi większe straty niż

Kościuszko ten sam stopień w wojsku polskim, zaś w wojnie z Rosją dowodził jedną z czterech dywizyj, z których składała się armia ks. Józefa. Armia ta, licząca nieco więcej niż 20.000 żołnierzy, cofała się przed trzy razy liczniejszym wrogiem przez Wołyń ku Bugowi, zadając czasem następującym na nią Moskalom dotkliwe porażki. Po dwu miesiącach walk doszła do Bugu, a książe Józef nakazał Kościuszcze bronić przejścia przez rzekę koło Dubienki, miasteczka tuż przy granicy austriackiego zaboru, sam zaś z głównymi siłami stanął parę mil na północ od Dubienki. Był to pogodny, suchy lipiec i woda w Bugu opadła tak dalece, że w każdym miejscu można go było przejść z łatwością. Jakoż Kościuszko, zamiast bronić mostu pod Dubienką, spalił go, a swoje wojsko ustawił niedaleko miasteczka między nad-

je sam poniósł, wycofał się w porządku i połączył się z głównymi siłami księcia Józefa.

Król stronnikiem Targowicy. Wojsko, pewne ostatecznego zwycięstwa, cofało się ku Wiśle, gdy wtem do armii przyjechał gońiec, który przywiózł królewski rozkaz zaprzestania wojny: chwiejny bowiem i trwożliwy Stanisław August przerażony groźnym listem Katarzyny II przeszedł na stronę konfederacji targowickiej. Na wiadomość o tym ogłębła oficerów rozpacz: wielu z nich wniosło do króla prośby o dymisję, tj. o uwolnienie z wojska, i ci razem z uchodzącymi z kraju twórcami i stronnikami Konstytucji schronili się za granicę, armia zaś i kraj przeszły pod rozkazy konfederacji targowickiej.



Nowy Sejm rozbiorowy. Ale radość targowiczian nie trwała długo: po kraju rozeszła się wieść, że Katarzyna II wraz z królem pruskim znów dzielą Polskę pomiędzy siebie. Znów zjechał się Sejm, który miał uchwalić rozbiór, a zwołano go do Grodna. Otoczony rosyjskim wojskiem i armatami, nie znalazł wśród siebie drugiego Rejtana. Sprzeciwiał się — milcząc. Przez trzy dni próbował poseł rosyjski nakłonić posłów do zgody na rozbiór kraju, a gdy Izba na wszystko odpowiadała milczeniem, zaborcy ogłosili, że Sejm zgadza się na ich żądania.

Drugi rozbiór Polski. Tak dokonano drugiego podziału Polski. Rosja zabrała ogromny obszar kraju na wschód od linii łączącej Dynaburg nad Dźwiną z biegiem Zbrucz, tak że stała się sąsiadką Austrii, a król pruski zajął zostawione Rzeczypospolitej przez pierwszy rozbiór Gdańsk i Toruń, a nadto Wielkopolskę, część Mazowsza i część Krakowskiego. Granica Prus dotykała rzeki Pilicy i biegła w pośrodku między Warszawą a Płockiem.

Austria zajęta wojną, którą prowadziła z Francją, w tym rozbiórze udziału nie brała.

15. KRAKOWSCY CHŁOPI ZDOBYWAJĄ ARMATY

Wybuch powstania. Po zwycięstwie targowiczian Kościuszko wyjechał za granicę. Ale już w kilka miesięcy po drugim rozbiórze wybuchło w kraju powstanie. Zaczęło je wojsko. Miało ono być zmieszane i oddane pod dozór Moskali. Już przedtem garść patriotów zawiązała w Warszawie spisek

przeciw Moskalom i, oddając naczelne dowództwo w zamierzonym powstaniu Kościuszcze, wezwała go do powrotu do Polski. Zanim jednak Kościuszko zdołał dojechać do Krakowa, przeleciała przez kraj radosna wieść: oto **Mada liński**, komendant oddziału konnicy, zagrożonego zmniejszeniem, podniósł broń i, wymykając się przeważającym siłom rosyjskim, podążył z Ostrołęki nad Narwią w stronę Krakowa.

Przysięga Kościuszki. Wielka, pełna radosnych nadziei uroczystość odbyła się w Krakowie w marcu r. 1794. W jednym z kościołów odprawiono nabożeństwo, którego wysłuchał Tadeusz Kościuszko otoczony dostojnikami i garścią szlachty, po czym udał się na Rynek, gdzie na głos ratuszowego dzwonu zgromadziło się tłumnie mieszczaństwo i gdzie czekała w szeregach załoga, tj. wojsko, przebywające stale w twierdzy. Wśród uroczystej ciszy odczytano akt powstania, ułożony przez krakowską szlachtę; akt ten oddawał najwyższą władzę w kraju Tadeuszowi Kościuszcze, jako „najwyższemu i jednemu Naczelnikowi całego zbrojnego powstania”. Po odczytaniu aktu nastąpiła przysięga wojska na wierność Naczelnikowi, po czym podniósł rękę Kościuszko i przysiągł, że powierzonej mu władzy będzie używał jedynie dla obrony całości granic i przywrócenia wolności narodowi.

Z Krakowa pod Racławice. Krakowska załoga składała się z dwu batalionów piechoty, razem 800 żołnierzy. Dodawszy do tego garść ochotni-



Tadeusz Kościuszko

czej szlacheckiej młodzieży, ruszył Naczelnik z Krakowa. Wkrótce spotkał liczącą 700 koni brygadę Madalińskiego i z paru innymi oddziałami, zebrany po drodze, zgromadził razem 4.000 żołnierzy. Do nich dołączyło się 2.000 chłopskich „kosynierów” zebranych przez jednego ze szlachty, a uzbrojonych tylko w kosy osadzone „na prost”. Z tą siłą spotkał Kościuszko ścigające Madalińskiego rosyjskie wojsko, liczące 6.000 ludzi. Było to pod Raclawicami.



Wież zajęta przez Moskali. Naprzeciw Raclawic wzgórze, ku niemu biegnie droga i wciną się w nie dość głębokim wąwozem. Na wzgórze, po obu stronach wąwozu, ustawił Naczelnik swoje wojsko. Nad głęboką drogą kazał usypać szanice i obsadził je 12 działami; obok dział stanęła połowa piechoty, a reszta na skrzydłach. Nadto na prawym skrzydle ustawił się Madaliński, na lewym zaś inna brygada konnicy. Całe lewe skrzydło zastąpione młodym lasem; kosynierzy zostali umieszczeni za wzgórzem, które ich zakryło przed Moskalami.

Bitwa. Pół dnia minęło, zanim rosyjski wódz odważył się uderzyć na polskie stanowisko. Wreszcie zażrzmiało 30 jego armat, kierując ogień w polski środek, czyli centrum, a za chwilę na lewe skrzydło uderza rosyjska piechota, Kozacy i huzarzy. Podbiega mu na pomoc z prawego skrzydła Madaliński i zaczyna się długa i uparta walka. Dwa razy uderzało lewe skrzydło na Kozaków, huzarów i strzelców i dwa razy zostało odparte. Broniło się jednak zawzięcie: przez dwie godziny szczękały polskie pałasze o rosyjskie szable, bodły wroga lance, czyli lekkie kopie, kościuszkowskiej konnicy i odstrzeliwała się jego piechota rosyjskim strzelcom. Wtem Naczelnik widzi, że ku jego prawemu skrzydłu posuwa się wielki oddział Moskali. Jeżeli ci uderzą z boku na piechotę umieszczoną przy działach — trzech Moskali na jednego Polaka — stracone działa i wojsko, zagrożone całe powstanie.

Zwycięstwo. Widząc niebezpieczeństwo Kościuszko kazał ruszyć kosynierom. Przypadł do nich oficer.

— Chłopy! Na ochotnika! Naczelnik was woła!

Cisza. Chłopi oglądają się, wreszcie z gromady występuje kilku, za tymi już kilkudziesięciu, w końcu paruset. Ruszają biegiem przez wąwóz, przechodzą go niedostrzeżeni przez Moskali i nagle wypadają prosto na rosyjskie armaty. Te wystrzeliły w nich, kładąc kilku na ziemię.

— Szymek! Maciek! Nuże dalej! — wołają chłopi na siebie i pędzą, szumiąc rozwianymi połami sukman i ściskając w dłoniach drzewca swoich kos. Jeszcze raz tylko huknęły armaty, ale już część ich została zdobyta, a część zabrana przez pierzchających z pola bitwy Moskali.

Pierwsze działo zdobył Wojciech Bartos z Rzędowic, podniesiony po bitwie do stanu szlacheckiego, nazwany Głowackim i zamianowany oficerem. Przyskoczył on do armaty w chwili, kiedy rosyjski żołnierz przykładał do panewki tlejący sznurek, zwany lontem. Bartos czapką zgasił lont, a nadbiegający zanim chłopi kosami jęli wycinać przerażonych rosyjskich artylerzystów i broniącą artylerii piechotę.

Tak w krótkiej chwili przestało istnieć rosyjskie centrum. Wtedy ci, których wysłano przeciw prawemu polskiemu skrzydłu, obawiając się od tyłu napadu kosynierów, pośpiesznie odeszli, na lewym zaś skrzydle skończył bitwę Naczelnik, stając sam na czele piechoty i w walce na bagnety wybijając rosyjskich strzelców.

16. JAK KILIŃSKI POMÓGŁ WYRZUCIĆ MOSKALI Z WARSZAWY

Dwa wojska w stolicy. Kiedy do Warszawy przysłała wieść o zwycięstwie pod Racławicami, spiskowcy postanowili uwolnić stolicę od Moskali. Znajdowały się tam dwie załogi: polska, licząca około 4.000 żołnierzy pod dowództwem generała Cichockiego i 8.000 Moskali pod dowództwem rosyjskiego ambasadora, czyli posła, który był zarazem komenderującym generałem. Ambasador wiedział, że zanosì się na rewolucję; mimo to nie rozbrajał polskiej załogi, złudzony udaną uległością generała Cichockiego. Ale choć wierzył Cichockiemu, to jednak nie dowierzał jego wojsku; w przewidywaniu więc rozruchów rozkazał tak pobstawić polskie oddziały rosyjskimi, aby w każdym miejscu Polacy byli słabsi od Moskali. Tymczasem spiskowcy wojskowi i cywilni porozumieli się wzajemnie ze sobą i postanowili za kilka dni wyrzucić wrogów z Warszawy.

Jan Kiliński. Nie było między warszawską rzemieślniczą bracią człowieka śmielszego i ruchliwszego nad mistrza szewskiego, Jana Kilińskiego. Przybysz z Wielkopolski, założył był w stolicy warsztat, który zasłynął wyrobem doskonałych damskich bucików i niedługo młody mistrz kupił na Starym Mieście kamiemczkę. Wesoły i wymowny umiał zabawić zjawiających

się w jego warsztacie gości, którzy go też lubili i polecali wyroby wesołego mistrza swoim znajomym, jego wymowa zaś, a nadto prawość i miłość Ojczyzny zjednały mu zaufanie kolegów. Jakoż szewscy mistrzowie wybrali go starszym swego cechu, a wreszcie został zaszczycony wyborem na miejskiego radnego.

Przystąpiwszy do spisku zajął się Kiliński jednaniem mu członków między rzemieślnikami, zwłaszcza czeladzią; przed wybuchem powstania napisał testament i chyłkiem, nie żegnając się z żoną i dziećmi, wyszedł przed północą na Staromiejski Rynek.

Wybuch. Dziesięć razy mniej rozległa wówczas niż dziś stolica skupiała się z trzech stron około przypartego do Wisły Starego Miasta. Za łukiem jego murów rozrosły się od czasów Sobieskiego nowe dzielnice; tam też, na zachód od Krakowskiego Przedmieścia, wybudował był August II wspaniały pałac i założył ogromny ogród, zwane dlatego *Saskimi*. Za Saskim ogrodem były koszary *konnej gwardii*; ta to gwardia rozbiła w Wielki Czwartek przed świtem sąsiednie rosyjskie warty, dając tym hasło do wybuchu powstania.

Kiliński przechodził przez Staromiejski Rynek, kiedy go doleciał odgłos walki za Saskim ogrodem. Krzyknął tedy ku strażnikom na ratuszowej wieży, aby trąbili „na gwałt”, na co czeladź, porozmieszczana po kościelnych dzwonnicach, uderzyła we wszystkie dzwony. W uśpionym mieście wszczął się ruch. Zewsząd nadbiegała uzbrojona młodź rzemieślnicza i gromadziła się pod dowództwem Kilińskiego. Ten ruszył na ulicę Podwałę pod ambasadę rosyjską, ale zobaczył stojącą już przed pałacem gotową do boju konnicę. Kazał tedy swoim poobsadzać okna pobliskich kamienic i „sprzątać”, jak mówił, adiutantów, przez których ambasador rosyjski będzie rozsyłał rozkazy do swoich wojsk.

Dwa krwawe dni. Zarządzenie Kilińskiego przyniosło powstaniu więcej korzyści niż pomoc niespełna 2.000 cywilnej ludności, którą owych dni dowodził. Wiele bowiem rosyjskich oddziałów nie otrzymując rozkazów przysłuchiwało się beczynnie odgłosom walk w mieście. Jeden pułk polski, wyszedłszy z 3 działami z południowego końca miasta, z okolicy Łazienek, doszedł bez przeszkody aż do Krakowskiego Przedmieścia, mimo, że po drodze dwa razy spotkał nieprzyjacielskie oddziały. Dopiero koło kadeckiej szkoły zastąpił mu drogę rosyjski generał z kilkuset piechoty i 5 działami. Wtedy pułkownik podzielił pułk na 3 części: jedna z działami została na miejscu, a dwie inne poszły w boczne ulice, aby wroga okrążyć. Wtem z kadeckiej szkoły wypada Korpus Kadetów i zaczyna z boku prażyć Moskali. Na to nadbiega Kiliński w kilkuset ludzi i razem z wojskiem uderza na wroga. „Gdyśmy się zbliżyli na wystrzał karabinowy — czytamy w pamiętnikach dzielnego szewca — Moskale dali wystrzał do nas i zgubili nam kilku ludzi, ale my, jak im raz i drugi odpowiedzieliśmy, jak krzyknęliśmy hura, nadstawiliśmy bagnety, tak zaraz Moskale swoją broń na ziemię porzucili, a my Moskali za kark wzięliśmy do niewoli, także armaty i wiele amunicji (prochów i kul), która nam się bardzo zdała”.

Walka trwała przez cały czwartek, noc następną i Wielki Piątek do południa, tj. do chwili, kiedy zdobyto zawzięcie bronioną rosyjską ambasadę.

Stawa Kilińskiego. Już we czwartek przed południem zebrała się na Ratuszu utworzona przez spiskowców Tymczasowa Rada Narodowa, która objęła rządy w kraju, by je później oddać wybranej przez Kościuszkę Najwyższej Radzie Narodowej.

„Rozmyślałem udać się do domu. — opowiada Kiliński w pamiętnikach — chcąc się pożywić... Ale prezydent (Rady) kazał mnie szukać i gdy mnie na drodze znaleźli, zaraz mnie na ręce porwali i na Ratusz zanieśli i strasznie krzyczeli wiwaty, co mnie najbardziej gniewało, że ja biedny jeszcze nie jadł, a ci mnie wiwatem karmili”.

Zaniesiony na Ratusz szewc-bohater dowiedział się, że został wybrany członkiem Tymczasowej Rady, a po niewielu dniach otrzymał od Naczelnika powstania patent, tj. dokument, mianujący go pułkownikiem wojsk polskich.

17. JAK KOŚCIUSZKO TWORZYŁ ZBROJNĄ SIŁĘ

Władza Naczelnika. Od wielu wieków nie było w Polsce nikogo, kto by miał tak wielką władzę, jak Tadeusz Kościuszko, Naczelnik powstania Narodu przeciw Moskalom. Oddano mu prawo urzędzenia siły zbrojnej wedle własnego uznania i prawo utworzenia Najwyższej Rady Narodowej, która stała się rządem polskim na cały czas wojny z najezdnikami. Do tego to rządu wybrał Naczelnik ludzi zdolnych i znanych z patriotyzmu, zwolenników a zwłaszcza twórców Konstytucji 3 Maja, którzy, jak dziś ministrowie, zarządzali państwem. Nawet król uznawał władzę Kościuszki nad krajem i w jego ręce chciał złożyć koronę, gdyby Naczelnik i naród nie życzyli sobie mieć go na tronie. Ale Kościuszko odpowiedział skromnie, że nie otrzymał prawa stanowienia o osobie króla, co się zaś tyczy narodu, to on, Naczelnik, nie wątpi, że Sejm przyzna królowi władzę taką, jaką będzie uważał za „najdogodniejszą dla dobra Ojczyzny”.

W obozie. Skromność Kościuszki poświadczali wszyscy, którzy go znali. „Jest to człowiek prosty i jak najskromniejszy w rozmowach, manierach (zachowaniu), ubraniu — pisał jeden z panów, odwiedziwszy obóz, niedługo po raclawickiej bitwie. — Nosi on na swym ubraniu sukmanę chłopską, ponieważ zapowiedział, że będzie nosił z kolei mundur tego oddziału, który się najbardziej odznaczy”.

„Jego obóz jest wcale niepodobny do innych obozów polskich. Nie ma tu ani przechwałek z waleczności, ani zbytku; panuje cisza, wielki porządek, wielka subordynacja (posłuszeństwo) i karność. Zawarte w nim wojska dosięgać mogły wtedy liczby 10 tysięcy ludzi wcielonych do pułków z dawnego i nowego zaciągów”.

Wojsko. Ten nowy zaciąg był dziełem Naczelnika. Nakazał on, by z każdego 5 dymów, czyli gospodarstw, oddawano jednego rekruta

piechoty, a z 50 — jednego do konnicy. Kiedy więc jaką okolicę oczyszczono z Moskali, po niedługim czasie zjawiały się w powstańczych obozach w



Mundury żołnierzy kościuszkowskich:
piechur, kawalerzysta, oficer

barwnych ludowych strojach tłumy chłopskiej młodzi. Przeznaczeni do konnicy zwanej kawalerią narodową, która zastąpiła dawną jazdę husarską i pancerną, wdziewali na długie sukmany kurтки z szerokimi kolorowymi wyłogami na piersi. Bronią kawalerii była szabla i lanca; karabiny, o które w Polsce było bardzo trudno, były potrzebniejsze piechocie.

Ta nosiła mundury podobne do kawalerii, ale na kurtkę nakładał piechur na krzyż dwa na biało lub czarno lakierowane rzemienie, które razem z pasem podtrzymywały patronasz i krótką szablę, a na ramieniu dźwigał karabin. O piechotę troszczył się naczelnik najwięcej: zwiększał ją ciągle, tworząc nowe bataliony i zbroił je w odebrane konnicy karabiny. Ale mimo to nie starczyło ich dla wszystkich piechurów; trzecia część piechoty

stawała do bitwy z kosami i pikami i podczas ognia czekała bezczynnie na rozkaz do ataku. Zresztą i brak amunicji trapił Naczelnika przez cały czas powstania: zwykle po paru wystrzałach nakazywał atak na bagnety.

Nowy rodzaj pieszego wojska utworzyli ci, dla których nie było nie tylko karabinów, ale i mundurów. Ci, w strojach ludowych, z pawim piórem powiewającym u czapki, uzbrojeni w kosy, zasilali osobne bataliony grenadierów, zwanych zwykle kosynierami, a walczyli pod chorągwią, na której widniały wyszyte skrzyżowane kosa z piką, snop i napis: „Żywią i bronią.”

Uniwersał polaniecki. Niemaló więc nabiedził się Naczelnik, stojąc ze swym nielicznym, niewyćwiczonym i źle uzbrojonym wojskiem naprzeciw przemożnego wroga. Stutysięczna armia, jak ją uchwalili Sejm 4-letni, wystrzeżylaby była do wywalczenia wolności, ale stworzyć taką armię w kraju zajęтым przeważnie przez wroga było niepodobieństwem. „Postawić od razu 100.000 wojska liniowego (regularnego) jest trudno — czytamy w jednym liście Kościuszki — lecz postawić masę 300.000 łatwo przyjdzie, byle szczerze chcieli ziemianie i księża, którym lud powodować się daje”. Spodziewał

się więc Kościuszko, że wciągnie do walki cały lud wiejski i w tym celu wydał w obozie pod Połańcem, wsią położoną na lewym brzegu Wisły, niedaleko ujścia Wisłoki, sławny uniwersał, w którym ogłosił nowe a bardzo dla chłopów korzystne postanowienia. Jest ich w uniwersale kilkanaście, ale cztery z nich są najważniejsze, a mianowicie:

1) „że osoba wszelkiego włościanina jest wolna i że mu wolno przenieść się, gdzie chce”. Tak chłop przestał być poddanym dziedzica: mógł swobodnie zajmować się, czym by chciał i zamieszkać, gdzie by mu się podobało.

2) „że lud ma ulżenie w robociznach, tak że ten, który robi pańszczyzny dni 5 lub 6 w tygodniu, ma mieć odtąd 2 dni opuszczone; który robi dni 3 lub 4, ma mieć opuszczony dzień 1 w tygodniu; kto robi 2 dni, ma mieć opuszczony dzień 1; kto robi w tygodniu dzień 1, ma teraz robić w dwu tygodniach dzień 1”.

3) „od tych, którzy wezwani będą na pospolite ruszenie, póki tylko pozostawać będą pod bronią, pańszczyzna przez ten czas nie będzie wyciągana”, lecz dopiero rozpocznie się od powrotu ich do domu, czyli, że kto pójdzie na wojnę, nie będzie za niego nikt w domu odrabiał nawet zmniejszonej przez Naczelnika pańszczyzny.

4) „zwierzchności miejscowe starać się będą, aby tych, którzy zostają w wojsku Rzeczypospolitej, gospodarstwo nie upadało i aby ziemia odłogiem nie leżała, do czego równie dwory jako i gromady przykładać się powinny”.

Tak starał się Kościuszko wynagrodzić chłopu odwieczną krzywdę, a zarazem stworzyć wielką zbrojną siłę, aby wywalczyć Ojczyźnie Wolność, Całość i Niepodległość.

18. O MACIEJOWICACH

I TRZECIM ROZBIORZE POLSKI

Radości i smutki Naczelnika. Mijały miesiące, pełne walk i utarczek to pomyślnych, to nieszczęśliwych. Największym jednak czynem Kościuszki w tej wojnie była obrona Warszawy: przez dwa miesiące opierał się w niej wojskom rosyjskim i sprzymierzonym z nimi Prusakom, aż w końcu doczekał się odstąpienia wrogów od stolicy. Ale kraj zalewały coraz liczniejsze wojska nieprzyjacielskie, bo wreszcie i Austriacy sprzymierzili się z Rosją i Prusami, a tymczasem Kościuszko stał na czele zaledwie połowy potrzebnej mu trzystutysięcznej siły, gdyż naród nie poparł dostatecznie swego Naczelnika.

Maciejowice. Jesień. Przeważne siły wrogów zalewają kraj. Już tylko na Mazowszu broni się Naczelnik, ale po nim wszystkimi drogami włączają się Kozacy z armii generała *Fersena*. A tymczasem od średniego Bugu następuje nowa rosyjska armia, aby połączyć się z *Fersenem*. Trzeba go

czym prędzej rozbić. Spotkał go też Naczelnik pod Maciejowicami, wsią leżącą na prawym brzegu Wisły, kilka mil poniżej ujścia dopływu Wisły, Wieprza.

Naczelnik ze swoim adiutantem w tej wojnie, Niemcewiczem, i kilkoma ułanami wysunął się naprzód, by ocenić siły nieprzyjaciela. Obóz Ferse-na rozciągał się nad brzegiem Wisły; przednie polskie czaty zaczęły z Kozakami utarczkę. „Dzidy kozackie tuż widzieliśmy za sobą — pisze w pamiętnikach Niemcewicz — i nie pojmuję, jak nie byliśmy schwytani. O piątej uspokoiło się; całe wojsko nasze ściągnęło na miejsce. Wieś Maciejowice leży w nizinie, lecz dom murowany na wzgórzu naprzeciw Wisły”.

Ten dom nazywano zamkiem. Na pagórku obok zamku ustawił Naczelnik swoje wojsko, frontem ku południowi, po czym kazał Niemcewiczowi napisać rozkaz do generała Ponińskiego, znajdującego się daleko na wschód od Maciejowic, by natychmiast przybywał ze swoim oddziałem.

Bitwa. Świt. Moskale następują. Było ich dwa razy tyle, co Polaków. Zagrały armaty: 60 rosyjskich przeciw 20 polskim. „Moskal — pisze Niemcewicz — pierwszy kulami dosięgać nas zaczął. Nie mieliśmy, jak 3 lub 4 większe działa. Skoro nieprzyjaciel na ich dosięgnięcie zbliżył się, wypuściliśmy z nich ogień. Sam Naczelnik celował z takim skutkiem, iż widać było chwiejące się szyki”. Trzy godziny trwała już walka. Jeden z generałów, przystąpiwszy do Naczelnika, rzekł:

— Zdaje się, że Moskaluszki zabierają się do odwrotu.

Ale Moskale podchodzili coraz bliżej. „Grad kul padał między hufce nasze — pisze dalej Niemcewicz. — Ze wszystkich stron śmierć latała koło nas. Za większym zbliżeniem się nieprzyjaciela zaczął się z obu stron gęsty ogień z ręcznej strzelby, pokrywała się ziemia trupami, przerażały jęki rannych i konających”.

Kłeska. Rzedły szeregi polskich bohaterów. Mdlejącymi rękami nabijali broń i strzelali, a ich oczy z rozpaczą spoglądały ku wschodowi, skąd miał nadejść z pomocą Poniński. Ale Poniński nie mógł nadejść: był on za daleko od pola bitwy, by ówczesnymi bezdrożami zdołał przybyć na czas. Wtem jeden z pułkowników, nie mogąc utrzymać stojących pod ogniem już przez 6 godzin żołnierzy, ruszył naprzód, by się przebić przez Moskali. Ale armaty rosyjskie kładą ich pokotem, a w wyrwę, która powstała przez ów samowolny wypad pułku, uderza galopem rosyjska konnica.

Rcśnie zamęt. Moskale otaczają Polaków zewsząd i prą ich ku zamkowi. Walka przenosi się na dziedzińiec, na ganek, w piwnice zamku.



„Raniony, bez oręża — pisze Niemcewicz — stałem się jeńcem. Byłem zaprowadzony do domu (do zamku). Izba napelniona naszymi: łyzy nam się puściły, gdyśmy spojrzeli na siebie. Właśnie gdy pytam, co się stało z Kosińską, widzę żołnierzy dźwigających na noszach dużo (bardzo) skaleczonego człowieka: był to waleczny, lecz nieszczęśliwy nasz Naczelnik”.

Trzeci rozbiór Polski r. 1795. Na oplakanym maciejowickim poboju, zroszonym krwią szlchetnego hetmana, zginęła nadzieja ocalenia Rzeczypospolitej.

Niedługo potem poddała się zwycięzcom Warszawa przerażona okrutną rzezią dokonaną przez moskiewskie żołnierstwo na mieszkańcach przedmieścia Pragi, a w kilka miesięcy później zaborcy podzielili między siebie resztę Polski: Austria zagarnęła Kraków i kraj między Pilicą i Bugiem — Warszawa i ziemie po lewym brzegu Pilicy i na północ od Bugu aż po średni Niemen przypadły Prusakom — a Rosji Wilno ze wszystkimi ziemiami położonymi na wschód od średniego Niemna i Bugu.

Polska jako państwo przestała istnieć. „Ta, co od morza aż do morza władła, kawałka ziemi nie ma na mogiłę” — płakał nad grobem Ojczyzny jeden z ówczesnych poetów.

19. NAPOLEON BONAPARTE

Dom i szkoła. Za czasów konfederacji barskiej, w małym mieście Ajaccio (Ajazio), na należącej do Francji wyspie Korsycie oblanej Morzem Śródziemnym, urodził się w domu adwokata Bonapartego chłopiec, któremu dano imię Napoleon. Rodzina była dość zamożna, ale liczna: ojciec, nie mogąc wydołać ciężarowi kształcenia 8 dzieci, wyprosił przyjęcie dwu synów na koszt króla do szlacheckich szkół.

Jednym z nich był 10-letni Napoleon.

W szkole było mu źle. Bogaci koledzy wyśmiewali jego ubóstwo, jego skromne ubranie, jego język włosko-francuski, jego ukochaną wyspę. Mały, milczący, błądy chłopiec zaszywa się tedy z książką w kącie ogrodu i czyta. Przede wszystkim żywoty sławnych starożytnych mężów.

Cierpi w milczeniu i uczy się. Zwłaszcza matematyki, geografii i historii: nauk najwięcej potrzebnych wojownikowi. Uderza weń bolesny cios: umiera mu ojciec. Biedny kadet ze swego szczupłego żołdu ciuła oszczędności, aby pomóc ubóstwianej matce. Wreszcie, mając niecałe 16 lat, zostaje podporucznikiem, a wysłany do oddziału, stojącego w oddalonym od Paryża prawie o 1.000 km mieście, połowę tej drogi odbywa pieszo, aby nie płacić wiele za miejsce w pocztowym wozie, którym wówczas podróżowano jak dziś koleją żelazną.

24-letni generał. Jak nieszczęściem Polski była słaba władza królewska, tak znów Francja cierpiała z powodu samowładztwa królów, którzy rządili tak źle, że w kraju wybuchła rewolucja. Padł królewski tron, na którego

gruzach stworzono republikę, zginęli oboje królestwo i wielu z ich rodu, a także tysiące ich zwolenników. Ale ściągnęło to na Francję wojnę ze wszystkimi sąsiadami; spomiędzy nich Anglicy oblegli swą flotą brzegi młodej republiki, a przy pomocy stronników królewskiej władzy wcisnęli się do śródziemnomorskiego portu, Tulu. Od strony lądu otoczyły miasto wojska francuskie, ale nie umiały wyrzucić z portu Anglików. Wtem przyjeżdża do Tulu 24-letni kapitan artylerii, Napoleon Bonaparte. Jednym rzutem oka znajduje miejsce, skąd można by Anglikom zadać cios śmiertelny, a następnie, poustawiawszy tam ciężkie działa, łatwo wypłoszył ich z portu. Za ten czyn kapitan Bonaparte został mianowany generałem.



Napoleon Bonaparte

Zdobywca Włoch. Do granicy od strony Włoch dobijali się sprzymierzeni wrogowie francuskiej republiki, zwłaszcza potężni Austriacy, którzy we Włoszech posiadali żyzny nizinny kraj, zasłonięty od północy niebotycznymi Alpami, zwany Lombardią. Parli przed sobą 30.000 zdziatkowanego przez klęski wojenne i zaraźliwe choroby, zmęczonego, obdarzonego i głodnego francuskiego żołnierza. Położenie tej armii nie mogło już być gorsze.

— Kto ją może ocalić? — kłopotał się rząd. Przypomniano sobie zapomnianego od dwu lat Bonapartego i młody generał ruszył na południe, aby objąć dowództwo na wojnie, którą uważano za przegraną.

— Żołnierze! — mówił w pierwszym rozkazie do armii. — Jesteście obdarci i głodni, a rząd nie ma pieniędzy i nie może zaspokoić waszych potrzeb. Ale ja zaprowadzę was na najżyźniejszą nizinę świata; leży ona tuż przed wami, kraj kwitnący i bogaty. Czeka was tam sława, bogactwo, wszelkie rozkosze! Żołnierze armii włoskiej, czy zabraknie wam odwagi i wytrwałości?

W dwu tygodniach dotrzymał obietnicy. Doprowadziwszy armię do lądu, wybił sobie drogę spośród zaśnieżonych skał i wszedł na północno-włoską nizinę. Wiosna, słońce, dostatek wszystkiego. Żołnierz zdumiewa się: w tak szybkim czasie wódz spełnił przyrzeczenie! Odtąd wierzy w Bonapartego i idzie za nim z zapalem do coraz nowych, świetnych zwycięstw. Wtedy i Bonaparte uwierzył w siebie, w wyższość swych zdolności i siły swej woli nad innych ludzi.

Wiedział o wszystkim, co potrzebne wojownikowi. O kraju, w którym wojował, o jego klimacie, czasie żniw, cenach bydła, o urzędzeniu państwa, pragnieniach ludności. Plan każdej bitwy był aż do drobiazgowo opracowany, czas do minuty wymierzony. Kiedy wysłańcy sprzymierzonego z Austrią księcia przewlekali targi o warunki pokoju, Bonaparte wyjął zegarek i kazał uderzać na ich wojsko.

— Może się czasem zdarzyć — mówił do nich — że przegram bitwę, ale nigdy nie stracę jednej minuty na próżno.

Wojna skończyła się wyrzuceniem Austriaków z Lombardii. Do niej przyłączył 27-letni zwycięzca posiadłości niektórych włoskich książąt i z tych ziem utworzył nową, sprzymierzoną z Francją republikę, którą nazwał *Cyzalpińską*, czyli Przedalpejską.

Cesarz Francuzów. A w kilka lat później, po wielu zdumiewających zwycięstwach, które dały Francji granice tak obszerne, jakich nigdy przedtem nie miała, zasiadł syn adwokata z Ajaccio na tronie jako „cesarz Francuzów”.

20. JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA

Dąbrowski. Kiedy Jan Henryk Dąbrowski skończył lat 10, ojciec, oficer w wojsku saskim, wywiózł go z Polski do Saksonii. W domu mówiono po niemiecku: matką była Niemka. Ten też język otaczał chłopca w szkole i w wojsku, do którego młody Dąbrowski za przykładem ojca wstąpił. W dodatku jak ojciec, tak i syn ożenił się z Niemką; zdawało się, że ten ród utonie na zawsze w morzu niemieczyzny. A przecie, choć z trudem i źle mówił po polsku, rzucił oficer saskiej gwardii swoje świetne stanowisko, by pośpieszyć na obronę Ojczyzny, kiedy wojsko rosyjskie wkroczyło do Polski, by obalić Konstytucję 3 Maja. Otrzymawszy komendę brygady kawalerii, oddał się Dąbrowski swej ulubionej zawodowej pracy, żądając od podwładnych takiej samej dokładności w spełnianiu obowiązków, jakiej się sam u Niemców nauczył.

Kiedy król przystąpił do Targowicy, Dąbrowski został w wojsku. Królewska rzecz — myślał — rozkazywać, a żołnierska słuchać. — Ale gdy wybuchło powstanie kościuszkowskie i Warszawa wymiotła Moskali, brygadier zrozumiiał, że, niestety nie zawsze można słuchać króla. Stanął pod rozkazami Naczelnika Tadeusza Kościuszki. Bronił Warszawy podczas oblężenia jej przez Prusaków i Moskali, a wysłany do Wielkopolski, wywołał tam powstanie, po klęsce zaś maciejowickiej odrzucił ofiarowany mu przez króla pruskiego stopień generała i ruszył za granicę szukać ratunku dla rozdartej Ojczyzny. W końcu odesłał go rząd francuski do generała Bonapartego, urządzającego wtedy Republikę Cyzalpińską i Dąbrowski w dwa lata po upadku powstania kościuszkowskiego podążył do *Medialanu*, stolicy nowej republiki.



Jan Henryk Dąbrowski

Dwaj wodzowie. Rosły, tęgi, o dużej, pełnej twarzy, przeszło 40-letni polski generał w mundurze srebrem haftowanym, stanął razem z towarzyszącym mu przyjacielem wobec młodszego od siebie o kilkanaście lat, opiętego w złotym wyszywanym strój, generała Bonapartego.

„Takie to było małe i jakieś czarne, a żółte, a takie chude i biedne, a nóżki tak miał cieniutkie jak cybuszek” — opisywał młodego generała jeden z polskich oficerów.

Bonaparte wziął z rąk Polaków listy od paryskiego rządu.

— Wiem, o co chodzi — mówił jednostajnym, jakby zachrypłym głosem. — Chciecie się bić z Austrią. Jestem przekonany, że Polacy są dobrymi żołnierzami; można utworzyć polską kompanię, którą będziecie

dowodzili. Jeżeli będzie się dobrze biła, powiększy się ją; jeżeli nie, rząd francuski mimo to zajmie się waszym losem.

Dąbrowski poczerwieniał.

— Generale — mówił, zająkując się ze wzburzenia — nie tylko z jedną kompanią, ale z kilku Polakami pójdę bić się z nieprzyjacielem mojej Ojczyzny. I nie za nagrodę. Nie po nią przychodzę, ani po zapewnienie losu. Nawet nieprzyjaciół chciał mi go zapewnić, czego ja jednak nie przyjąłem.

Bonaparte patrzył uważnie w szczerą twarz polskiego generała.

— To nie zwykli najemnicy — myślał po odejściu Polaków i wysłał za nimi zaproszenie na obiad.

Wieczorem poszli do pałacu naczelnego wodza, ale, choć Bonaparte uprzejmie rozmawiał z polskim generałem, to jednak minęło parę tygodni, zanim, dzięki poparciu rządu Cyzalińskiej Republiki, sprawa polskiego wojska została załatwiona.

Legiony. Mazurek Dąbrowskiego. Oto rząd republiki zawarł umowę z generałem Dąbrowskim, naczelnym wodzem „Legionów Polskich, posilkujących Rzeczpospolitą Cyzalińską”, jak nazwano to nowe polskie wojsko. Rząd przyznał im polskie mundury i odznaki stopni wojskowych, zobowiązał się utrzymywać Legiony i wreszcie pozwalał im opuścić Włochy, „gdyby dobro ich Ojczyzny wymagało powrotu ich do Polski”.

Stało się to w r. 1797. Na wezwanie Dąbrowskiego rodacy zaczęli napływać do Legionów, w których ta zabrzmiała po raz pierwszy pieśń, znana nam do dziś jako „Jeszcze Polska nie zginęła”. Ułożył ją na nutę skocznej mazurki Józef Wybicki, wierny towarzysz pracy generała Dąbrowskiego. Głosiła ona, że wbrew rozbiorem jeszcze Polska nie umarła!; sławiła i swego wodza, którego porównywała do Czarnieckiego, i Bonapartego, że nauczył Polaków, jak mają zwyciężać. Wskazywała Legionom drogę pochodu po pokonaniu Austrii: z Galicji przez Wisłę i Wartę aż do zachodnich granic Polski — i przenosiła duszę tułaczy do kraju, między rodaków, którzy tam nadśluchują, czy nie nadchodzi ojczyście wojsko, czy nie grzmią tarabany (bębny) legionowych doboszów. A po każdej zwrotce unoszą się słowa: Marsz, marsz, Dąbrowski! i brzmia jak komenda wzywająca do ataku.

Do Polski z ziemi włoskiej! — śpiewali polscy legionisci z sercem już to ściśniętym tęsknotą, już to przepelnionym radosną nadzieją, że pod przewodem Dąbrowskiego złączą się z narodem!

21. O ŻOŁNIERZU TUŁACZU

Zapłaty i ofiary. W trzech tygodniach stanęły na ziemi włoskiej 2 polskie bataliony w sile ponad 1.000 ludzi, a po dwu miesiącach było ich 5.000, rozdzielonych na dwa pułki piechoty, każdy z kompanią artylerii i oddziałem konnicy, z której niedługo utworzono osobny pułk kawalerii.

Plan Dąbrowskiego był: na czele Legionów przedrzeć się przez Półwysep Bałkański na Wołoszczyznę, stamtąd wkroczyć do Galicji, tam wywołać przeciw Austrii powstanie i następnie uderzyć na zabór pruski i rosyjski.

Ale tymczasem mnożyły się kłopoty generała. Skarb Republiki Cyzalpińskiej był pusty; wojsku brakowało broni, mundurów, wszystkiego. Dąbrowski, który ofiarował Legionom swe życie, oddał im też i majątek: w przebraniu przekradł się do Galicji, sprzedał tam swoją rodzinną wieś koło Bochni i powróciwszy z pieniędzmi, oddał je na wyposażenie Legionów. Ale kiedy sądził, że już jest bliski celu, tj. wyprawy na Wołoszczyznę, ugodził weń nowy cios.

Zawody i nadzieje. Bonaparte skończył wojnę z Austrią, w traktacie (układzie) z nią ani słowem nie wspomniawszy o sprawie Polski! Po otrzymaniu tak bolesnej wiadomości, wódz Legionów udał się do francuskiego generała.

Oto, co czytamy w pamiętnikach Dąbrowskiego o tym spotkaniu z Bonapartem:
 „Roześmiał się na mój widok. Cieszył się, że w tak krótkim czasie zdążyliśmy tak dobrze i mocno zorganizować się” (tj. urządzić Legiony).
 „...Spytałem go o los Polski... czyli mamy nadzieję przez jego traktaty urzecz odrodzoną Ojczyznę naszą? — Odrzekł mi:

— Zapewnij współrodaków swoich, iż nie powinni tracić męstwa i nadziei. Traktat... długo nie pozostanie pokojem. Co się Legii tyczy, osobiście o was troskać się będę”.

I Dąbrowski, nie wiele zresztą pocieszony mową Bonapartego, wrócił do swego wojska, by mu zanieść słowa pociechy.

Życie w Legionach. „Idzie żołnierz borem, lasem, przemierzając z głodu czasem” — podśpiewuje niektóry z maszerującego polskiego oddziału. Nie wszyscy w płaszczach, choć zima, a co gorsza, niektórzy kroczą boso po twardych koleinach przymarzłej drogi.

Nie wystarczało odzieży dla wszystkich; często bowiem w tym wojsku bywało więcej ludzi, niż pozwalał na to „stan” Legionów, tj. ilość żołnierzy utrzymanych kosztem Republiki Cyzalskiej.

Ale na tułaczce trwającej długie lata żyli się oficerowie i żołnierze jak bracia. Zdarzyło się raz, że kiedy jakiś żołnierz szemrał z powodu braku butów, oficer dał mu własne, a sam boso maszerował na czele swego oddziału. Tak jak butami, dzielili się, bywało nieraz, oficerowie i żołnierze także swym żołdem, zwłaszcza ze świeżo przybywającymi, którym zwykle długo nie wypłacano żadnych pieniędzy — dzielili się chlebem, radością i smutkiem. Dzień, w którym jeden z nich otrzymał wiadomość z Ojczyzny, był świętym dla wszystkich. Dowódcy oprócz zwykłych rozkazów wojskowych ogłaszali także wieści, które przedarły się z Polski na obczyznę. Czytano żołnierzom wydawaną w Legionach co 10 dni gazetę pod tytułem „Dekada Legionowa”, a także utwory pisarzy polskich i tłumaczenia obcych; uczono się, wspierano i wzajem pocieszano. Legiony stały się jakby jedną wielką polską rodziną, rzuconą na tułactwo między obcych.

Zwątpienie. Wreszcie wybuchła nowa kilkuletnia wojna z Austrią. Legiony, które liczyły już wtedy 15.000 ludzi, podzielone na dwie grupy, biły się we Włoszech i w Niemczech, i Dąbrowski czekał niecierpliwie chwili ruszenia do Polski, kiedy niespodzianie dla niego Bonaparte znów zawarł pokój, nie wspominając w układach ni słowem o Polsce. Ten zawód doprowadził żołnierzy polskich do rozpacz. Jedni z nich, nie chcąc być cudzymi najemnikami, wrócili do kraju, resztę zaś Bonaparte włączył do armii francuskiej, a część Legionów wysłał aż na daleką wyspę San



Mundury legionistów

Domingo w Ameryce Środkowej dla tłumienia powstania Murzynów, zbuntowanych przeciw swym nieludzkim panom. Tam, na końcu świata, w upałach gorącego kraju, wyginęli ci żołnierze-tułacze więcej od chorób niż od murzyńskiej broni.

Na czele garstki niedobitków niedawnych Legionów, miesiącami nie pobierających żołdu, żyjących w nędzy, wytrwał Dąbrowski, choć wszystko zdawało się zapowiadać niepowodzenie jego planów.

22. O KSIĘSTWIE WARSZAWSKIM

Lawina. Napoleon był już „cesarzem Francuzów”. Zdruzgotane jego mieczem rozpadło się cesarstwo rzymsko-niemieckie: ostatni wybieralny cesarz, dziedziczny władca małej, górzystej Austrii, a także Czech, Węgier i Galicji, złożył koronę państwa rzymsko-niemieckiego i ogłosił się *cesarzem Austrii*. Na próżno usiłował on w przymierzu z Rosją położyć tamę rosnącej potędze Napoleona: znów pokonany opłacił swą klęskę nowymi stratami w ziemiach i pieniądzech.

Wtem niespodzianie porwał się na Francję król pruski. Wracający z Austrii Napoleon rzucił swą zwycięską armię na północ. W jednej bitwie, pod *Jeną*, w r. 1806, rozgromione Prusy legły u nóg zwycięzcy. Król pruski uszedł do Królewca, Napoleon wkroczył do Berlina.

Przypomniał sobie sprawę polską.

Dąbrowski w Berlinie. W dziesięć lat po pierwszej swej rozmowie z Napoleonem w Mediolanie znów stanął przed nim Dąbrowski. Na twarzy generała 10-letnie trudy, nadzieje i zwątpienia wyłobily liczne bruzdy i głowę przysypały siwizną. Towarzyszył mu generał Józef Wybicki.

Przed nimi stał cesarz. Dawna chudość małego generała znikła; Napoleon zaczynał tyć. Stał w szarym surducie, pozbawionym wszelkich odznak, z rękami założonymi na plecach. Ucieszył się zobaczywszy legionowych wodzów i serdecznie z nimi rozmawiał. Wybicki zapewniał go gorąco, że mu Polacy wszystko oddadzą w ofierze, jeżeli cesarz wejdzie do kraju jako wskrzesiciel ich Ojczyzny.

— Wiem, że posiadasz zaufanie u swoich współrodaków — odpowiedział Napoleon. — Napisz tu zaraz odezwę do nich, że wchodzę do Polski w 300.000 wojska. Gdy zobaczę, że Polacy godni są być *narodem*, będą nim.

Odezwa do narodu. „Polacy! — brzmiała odezwa podpisana przez Dąbrowskiego. — Napoleon wchodzi w 300.000 wojska do Polski! „Obaczę — powiedział — czy Polacy godni są być narodem”. Polacy! Od was więc zawisło mieć Ojczyznę! Nasz mściciel zjawił się; zabiegajcie mu drogę i przynóście wasze serca i odwagę, wrodzoną Polakom; powstańcie i przekonajcie go, że gotowi jesteście krew toczyć na odzyskanie Ojczyzny! Oręż z rąk jego otrzymacie! Stawajcie pod chorągwiami własnymi! Wkrót-

ce Kościuszko, wezwany przez niezwyciężonego Napoleona, przemówił do was z jego woli!"

Dąbrowski w Poznaniu. Powstanie przeciw Prusakom. W parę dni po wydaniu odezwy Dąbrowski z Wybickim stanęli w Poznaniu. Wjechali do miasta w chmurną, listopadową noc; mimo to znaleźli się wśród tłumów publiczności, tak mieszczan jak okolicznej szlachty, która zjechała, aby przywitać gościa. W rękach publiczności zapalone pochodnie, z tysiąca piersi grzmiały okrzyki: — „Wiwat Napoleon! Wiwat Dąbrowski!”

I tłum wyprzągnął z powozu konie i przewiózł generała do jednego z pałaców, przeznaczanego na kwaterę dla uwielbianego wodza.

Na wieść o przybyciu Dąbrowskiego do kraju wybuchło przeciw Prusakom powstanie. Zaczął je Kalisz, gdzie dwaj generałowie kościuszkowscy rozbroili pruski garnizon i ustanowili polski zarząd, a za Kaliszem płomień powstania ogarnął cały kraj aż po Pilicę i Niemen.

Księstwo Warszawskie. Tak na ziemiach drugiego i trzeciego zaboru pruskiego powstało w r. 1807 państwo utworzone przez Napoleona i nazwane przezeń Księstwem Warszawskim. Władcą Księstwa został syn Augusta III, wyniesiony niedawno przez Napoleona do godności króla saskiego, Fryderyk August.

Urządzenie Księstwa. Nowemu księstwu nadał Napoleon konstytucję. W Warszawie zaczął obradować Sejm, ale w Izbie Poselskiej prócz posłów ze szlachty zasiadali teraz także przedstawiciele miast i wsi. Poddaństwo chłopów zostało zniesione. Jeżeli więc chłop nie chciał odrabiać pańszczyzny, mógł żądać od dziedzica jej zamiany na czynsz, albo przenieść się do miasta i zająć się handlem lub przemysłem.

W sądach wprowadzono zbiór praw, czyli kodeks Napoleona. Powstał też wówczas w Polsce nowy stan urzędników w zawisłych od rządu i przezeń płatnych, co przyczyniło się do wprowadzenia w kraju porządków na wzór innych krajów europejskich.

Ale największe zasługi położył rząd Księstwa koło urzą-



Fryderyk August

dzenia szkolnictwa, w czym wstępował w ślady Komisji Edukacji Narodowej. Zaczęto tworzyć uniwersytet w Warszawie, poprawiano i zakładano nowe szkoły średnie, a już szczególnie wiele uczyniono dla podniesienia oświaty ludu. Założono tyle szkółek po wsiach i miasteczkach, że kiedy Prusacy zostawili ich po sobie zaledwie 150, to za Księstwa w kilku latach wzrosła ta liczba prawie dziesięciokrotnie.

Naród garnął się do pracy nad urządzeniem sobie życia na wydartej z rąk zaborcy części Ojczyzny i pełen radosnej nadziei oczekiwał niecierpliwie lepszej przyszłości.

23. JAK KSIĄŻĘ JÓZEF BIŁ AUSTRIAKÓW

Nowy wódz. Kościuszko odmówił przyjęcia naczelnego dowództwa w wojsku Księstwa Warszawskiego. Należało się więc ono Dąbrowskiemu, „najwaleczniejszemu z walecznych”, jak go w Polsce nazwano, temu, który Ojczyźnie oddał całe swe mienie, a teraz długie miesiące leczył się z ran otrzymanych w ostatniej wojnie.

Ale Napoleon zarządził inaczej. Chorego generała Dąbrowskiego hojnie wynagrodził dobrami w Poznańskim, a zwierzchność nad wojskiem oddał księciu Józefowi Poniatowskiemu. Z początku wojsko sarkano przeciw wodzowi, który przez 10 lat tułaczki polskiego żołnierza żył beztrudnie w Warszawie, w swoim pałacyku pod Zamkiem, ale nowy wódz okazał tyle zapału w pracy około urzędzenia armii i tyle męstwa na wojnie, że wkrótce zjednał sobie niemniejszą od Dąbrowskiego sławę i wdzięczność narodu.

Nowa wojna. Napoleon toczył zacięte boje w Hiszpanii, której wbrew woli narodu narzucił na króla swego brata. Wyzyskała tę chwilę Austria i wydała nową wojnę Napoleonowi i sprzymierzonemu z nim Księstwu Warszawskiemu.

Wojsko polskie liczyło wtedy 30.000 ludzi, ale znaczna jego część już to była się w Hiszpanii, już to stała garnizonami (załogami) po niemieckich miastach, tak że tylko 14.000 żołnierzy rozporządzał ks. Józef, kiedy Warszawie, leżącej niedaleko ówczesnej austriackiej granicy, zagroziła 3 razy silniejsza armia austriacka.

Posel francuski radził bronić się w Warszawie i czekać, aż Napoleon pobije Austrię na jej zachodnich granicach.

— Bronić się? — rozmyślał ks. Józef. — I wyczekiwać obcego zwycięstwa? A po zwycięstwie łaski sprzymierzeńca? — Nie, nie zamknie się w Warszawie. Wkroczy do zaboru austriackiego, wywoła tam powstanie i bez obcej pomocy zdobędzie polskie ziemie aż do Karpat!

I ks. Józef Poniatowski ruszył na czele swych nielicznych wojsk z Warszawy, by o dwie mile od miasta stoczyć sławną bitwę pod Raszynem.

Straż przednia. Droga wiodąca z Warszawy na południowy zachód przecina się w Raszynie pod prostym kątem z małym dopływem Bzury. To

niejsze obsadził ks. Józef swoimi 30 działami; na prawo i lewo od drogi obstawił północny brzeg bagnistej rzeki piechotą, a nieliczną konnicę wraz z paru batalionami pieszych wysłał naprzód jako straż przednią. Poszła ona groblą usypaną między bagnami i moczarami w południowej stronie od Raszyna; tą groblą nadchodzili Austriacy. Koło południa książę usłyszał odgłos walki. Wskakuje na konia i pędzi groblą ku bitwie. Austriacy następują na olchowy lasek. Długo nie mogą go zdobyć; wreszcie nadeszły dwie świeże brygady wypierają Polaków ze stanowiska. Widząc to książę zsiada z konia, chwyta za karabin i staje na czele jednego batalionu. Spokojnie, nie wypuszczając z ust fajeczki, prowadzi żołnierzy na lasek i bagnetem oczyszcza go z nieprzyjaciela.

Raszyn. Ale oto nadchodzi kilka nowych batalionów austriackich. Straż przednia cofa się, a za nią zbliżają się ku Raszynowi wrogie wojska. Odezwało się przeszło 80 dział austriackich kierując ogień głównie w środek polskiego frontu, na przejście przez rzeczkę. Wódz austriacki nie próbował nawet okrążyć niewielkiego wojska ks. Józefa; uważał je za zbieralinę, która za pierwszym wystrzałem rozsypie się w bezładnej ucieczce. Ale granatowe mundury polskiej piechoty stoją rzędem na straży brzegów moczarystej rzeczki i nie ustępują; spokojnie stawiają po strzale karabin do nogi, sięgają do ładownicy, znów nabijają, podnoszą broń do oka, mierzą i strzelają.

Pali się Raszyn i parę okolicznych wiosek. Grzmi przeszło 100 armat głusząc stukanie karabinowego ognia, jęki rannych, warkot bębnow, krzyki komendy. Groblą na wieś sunie austriacka piechota. Jest jej więcej, niż liczy całe wojsko ks. Józefa, a ma przed sobą zaledwie 5 batalionów piechoty i 20 armat.

— Na bagnety! — pada austriacka komenda. Przed granatowymi mundurami błysnął wąż stalowych żądź. Straszliwy krzyk tysięcy wrogów miesza się z jękiem raszyńskiej ludności, patrzącej z pagórków za wsią na mord i pożogę. Wali się wroga lawina na kilka polskich batalionów i samą masą spycha je ku rzecze. Wtem słyhać głos trąbki; ks. Józef nakazuje cofać się za rzekę. O kilkaset kroków za wsią sprawia wojsko, ściąga całą swoją artylerię, staje przy działach i kieruje ogniem. Bronić przejścia przez rzekę! Morderczy ogień 30 dział kładzie pokotem wysuwające się zza dymów Raszyna wrogie oddziały. Przysuwająca się austriacka artyleria cichnie szukając na



próżno twardego gruntu do ustawienia dział. Z zamieszania korzysta ks. Józef: rzuca swój front do ataku i wieczorem odzyskuje Raszyn.

Zwycięska wojna. Była to pierwsza wojna od czasów Sobiekiego, którą wygrali sami Polacy bez obcej pomocy. W kilku miesiącach bowiem zdobył ks. Józef oba zabory austriackie i wszedł witany jako zbawca do Krakowa. Ale Napoleon w pokoju zawartym z Austrią zostawił jej pierwszy zabór trzeci, z Krakowem, Sandomierzem i Lublinem.

24. O ROKU 1812

Szczyt potęgi Napoleona. Potęga Napoleona przygniatała całą Europę. Wielu monarchów utraciło trony, wiele państw upadło. Wielka część Europy hołdowała Napoleonowi, inna była z nim w przymierzu. Tylko morzem oblana Anglia prowadziła z nim wojnę, a gotował się do niej także rosyjski car, Aleksander I.

Wojenne wróżby. Zapowiadały ją, jak wierzono, różne znaki. Z lekkim spoglądał lud nocami na wielką komętę, która przez długi czas pokazywała się na niebie, potężnym warkoczem wisząc nad widnokrzem. Potem zjawił się głód. Z powodu posuchy w niektórych okolicach Polski zabrakło na przednowku r. 1812 chleba i paszy. Wprawdzie pola zapowiadały niebywałe urodzaje, ale tymczasem ludzie marli z głodu. Warszawie zabrakło mięsa; chleb, sól, świece, którymi oświetlano wówczas mieszkania, i inne artykuły codziennego spożycia tak podrożały, że urząd ustanowił na nie „taksy”, tj. ceny, których nie wolno było przekraczać.

Wielka armia. Mimo to nieopisany zapał ogarnął biedującą stolicę na wieść o wojnie z Rosją.

— Jest już Polska! — wołano w uniesieniu na ulicach Warszawy i całowano się z radości. Polacy byli bowiem pewni, że nadchodzi chwila zmartwychwstania przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

Bo też od wieków nie widziała Europa tak ogromnej armii, jak ta, na której czele szedł Napoleon na Moskwę. Przeszło 600.000 żołnierzy słuchało jego rozkazów. Słyszeć tam było wszystkie języki środkowej i zachodniej Europy. Piątą część armii stanowili Polacy. Ale też tylko oni, oprócz Włochów, byli niezawodnymi sprzymierzeńcami cesarza; różne podległe mu wojska, zwłaszcza niemieckich władców, szły niechętnie na tę wojnę, a zmuszeni do dostarczenia posiłków Austriacy i Prusacy od początku obmyślali zdradę.

Pochód na Moskwę. Tylko jednak trzecią częścią wojsk polskich, nazwaną polskim korpusem, dowodził ks. Józef Poniatowski; reszta była rozdzielona między wojska innych napoleońskich wodzów. Szedł ten polski korpus na prawym skrzydle wielkiej armii, a potem przed nią, odbijając natarcia wojsk rosyjskich. Moskale przeważnie unikali otwartej bitwy i cofali się przed wielką armią pustosząc po drodze kraj, aby zni-

szczyć nieprzyjaciela głodem. Jakoż wkrótce po przejściu Niemna armii zabrakło żywności. Zdzierały się też w długim marszu buty i niszczyły mundury. Na dobitkę w armii wybuchły zakaźne choroby, zwłaszcza czerwonka. Coraz więcej chorych zostawało po drodze, a i spośród zdrowych, ale głodnych, bosych i obdartych żołnierzy wielu przepadało, aby rabunkiem poprawić mizerny żywot; ci zwykle wpadali w rosyjską niewolę. Półtora miesiąca trwał ten marsz na Moskwę, a chociaż Napoleon kilka tylko stoczył bitew, opłacił pochód stratą pół miliona ludzi: niewiele więcej nad 100.000 żołnierzy wydało pewnego wrześnieowego dnia radosny okrzyk na widok stolicy carów.

Leżała przed nimi, widoczna z ostatniego nad miastem pagórka. Świeciła się setkami złotych cerkiewnych kopuł. W zieleni ogrodów tonęły wspaniałe pańskie pałace. Wznosiły się wśród miasta okazałe składy towarów całej Europy i Azji. Przeważnie drewniane domy lśniły bielą gipsowej wyprawy, a nad wszystkim górował potężny Kreml, twierdza i odwieczna rezydencja władców Rosji.

Pożar Moskwy. Ale jak pusto na ulicach! Trochę żebraków, nieco służby w pałacach i sklepach, a po domach chyba chorzy i starzy, których wódz rosyjski nie zabrał opuszczając miasto. Zostawił za to swego strasznego sprzymierzeńca: ogień! I kiedy zwycięskie żołnierstwo upajało się rabunkiem pozostałego w mieście mienia, równocześnie w paruset miejscach wybuchły pożary. Płomienie ogarnęły domy, składy zboża, wódek, oliwy, wybuchwały podłożone przedtem umyślnie prochy. Różnobarwne słupy ognia wystrzeliwały ku niebu. Żar był taki, że nawet na Kremlu, do którego ogień nie doszedł, pękały od gorąca szyby. Nieliczni pozostali mieszkańcy, ludzie



Odwrot armii Napoleona (przejście przez Wilno)

najbiedniejsi, biegali po mieście, wlokąc swe mienie w tobołach, by je ocalić przed pożarem. Jęk tych nieszczęśliwych mieszał się z okrzykami pijanych żołnierzy rabujących wszystko, czego jeszcze nie zdołał zniszczyć ogień.

Głód, mróz. Napoleon długo zabiegał o pokój z Aleksandrem. Na próżno. Późno więc, gdy już nastąpiły silne mrozy, nakazał odwrót. Kończyła się zaś ta wojna taką niesłychaną klęską Napoleona, jak niesłychane były jego dawniejsze zwycięstwa.

Korpus polski szedł na końcu pochodu zasłaniając plecy cofającej się armii. Ks. Józef jechał na przedzie. Wszędzie widział nędze i śmierć: wozy, przejeżdżające przez zamarźnięte trupy, bezładne kupy żołnierzy w chłopskich kożuchach, którzy dźwigali ciężkie łupy, by z głodu i zimna skonać przy swym bogactwie — koniec żołnierskiej karności, koniec wielkiej armii. Długo czekał na wolny przejazd przez zawalony wojskami most na Berezynie, dopływie górnego Dniepru. Był głodny; wystarano mu się o parę ziemniaków; jadł je ze łzami nad nędzą swoją i cudzą. Ale nie widział już straszliwej klęski, która tu spotkała resztki wielkiej armii: po jego przejeździe, wśród zaciętych walk z następującymi Moskalami, most pod ciężarem tysięcy ludzi i armat runął do wezbranej rzeki.

Wielka armia przestała istnieć. Za jej niedobitkami szedł w ślad mróz, głód i cma Moskali.

W sam dzień Bożego Narodzenia zjawili się na ulicach Warszawy kilkuset polskich żołnierzy z uratowaną artylerią i sztandarami.

25. O BITWIE NARODÓW

Zmierzch Napoleona. Powróciwszy do Warszawy ks. Józef zaczął natychmiast tworzyć nową polską armię. W przeciągu kilku tygodni zebrał kilkanaście tysięcy rekrutów i stanąwszy z nimi w Krakowie, zorganizował z nich nowy polski korpus, po czym ruszył za granicę, by połączyć się z Napoleonem.

Tymczasem cesarz zebrał we Francji nową armię i poprowadził ją do Niemiec, by przeszkodzić połączeniu się wojsk sprzymierzonych przeciw niemu wrogów. Stał Napoleon w Dreźnie, skąd wypadał to na północ przeciw nadchodzącym Szwedom i Prusakom, to na wschód, skąd sunęli Moskale, to wreszcie na południe przeciw wojskom austriackiego cesarza. Ale sprzymierzeni unikali walk z samym Napoleonem, a gromili tylko jego wodzów, tak że napierana z trzech stron francuska armia musiała cofnąć się ku zachodowi.

Ks. Józef marszałkiem Francji. Okrążony wielkim półkolem wrogów Napoleon zatrzymał się pod Lipskiem, miastem w Saksonii. Na południe od miasta, na prawym skrzydle armii, znalazł się korpus polski, wystawiony przeciw nadchodzącym z tej strony Austriakom. W przeddzień wielkiej bitwy, która się tu miała rozegrać, cesarz zjawił się na stanowiskach polskich i stał ogłosił swym wojskom, że mianuje ks. Józefa Poniatowskie-

go marszałkiem Francji. Był to najwyższy stopień w armii Napoleona, toteż wojska wystąpiły w szeregach, aby wysłuchać cesarskiego rozkazu o tym wysokim mianowaniu polskiego wodza, który, jak czytano potem w urzędowej gazecie, „we wszystkich bitwach okrył się chwałą”.

Ale ks. Józef obojętnie przyjął ten zaszczyt, choć marszałkowska buława była marzeniem każdego napoleońskiego generała. Nie przypiął nawet oznak swego nowego stopnia i przez te ostatnie parę dni, które mu do życia pozostały, podpisywał się na dokumentach nadal, jako generał, naczelny wódz polskiego korpusu.

Pierwszy dzień bitwy narodów. Tak nazwano tę trzydniową bitwę, którą w jesieni, w rok po opuszczeniu przez Napoleona Moskwy, stoczyły ze sobą pod Lipskiem wszystkie prawie narody Europy.

Od rana grzmiały polskie armaty i grzechotały karabiny piechoty, odpowiadając na ogień Austriaków ustawionych za niewielkim dopływem rzeki Elstery. Kilka razy posuwał się wróg do ataku na bagnety i za każdym razem odtrącony cofał się za rzeczkę. Lecz tak nieprzyjacielski ogień, jak stał bagnetów wygryza coraz liczniejsze szczyrby w polskich szeregach; pod wieczór słabnie ogień korpusu i Austriacy znów przewalają się przez potok. Ale wzmocniony posiłkami ks. Józef raz jeszcze odpędza wroga i bierze w niewolę dowodzącego nim generała, po czym rychła jesienna noc kładzie koniec krwawym zapasom. Znużone całodziennym bojem wojska roznieciły na stanowiskach ogień i ułożyły się do spoczynku, a ks. Józef, ranny karabincową kulą, pisał swój ostatni raport, czyli sprawozdanie. Czytamy w nim, że „nieprzyjaciel nie zdobył ani piędzi terenu” że „wojsko okazało zapał i wytrzymałość godne podziwu”, ale że polski korpus stracił trzecią część ludzi i wystrzelał wszystką amunicję.

Nurty Elstery. Cały następny dzień odpoczywały wojska po pierwszych krwawych zapasach tej wielkiej bitwy. Tymczasem sprzymierzonym wrogom przybyły posiłki: nadeszli Szwedzi, nowy korpus rosyjski i nieco Austriaków, a co gorsza, wiele z Napoleonem sprzymierzonych wojsk niemieckich przeszło na stronę nieprzyjaciół. Przeciw niespełna 200.000 Francuzów, Włochów i Polaków stało już przeszło 300.000 Austriaków, Prusaków, innych Niemców, Moskali i Szwedów.

Wobec takiej potęgi Napoleon ściągnął w nocy swe siły bliżej ku miastu. Korpus polski znów stanął na prawym, południowym skrzydle. Ciężkie było jego zadanie: 40.000 Austriaków posunęło się rano ku jego stanowiskom. Mimo to ks. Józef utrzymał swe pozycje aż do nocy. Ale w innych miejscach front francuski powygiął się, a nadto przeszli na stronę wroga ostatni dotąd wierni jeszcze Niemcy: Sasi.

Nastał trzeci dzień „bitwy narodów”. Już w nocy nakazał Napoleon odwrót. Miał go od strony południowej zasłaniać polski korpus. Jakoż bił się po bohatersku od świtu do południa. Była chwila, gdy strzelcy austriaccy wdarli się już do miasta; ks. Józef, już trzeci raz raniony, w rękę, rzuca się na nich na czele 30 jeźdźców i zmusza Austriaków do ucieczki. Na swoją zgubę. Bo kiedy wytrwale broni miasta od południa, tymczasem od wschodu



Śmierć ks. Józefa Poniatowskiego (fragment obrazu J. Suchodolskiego)

wchodzą do Lipska Prusacy, a od północy Moskale. Czas cofać się za armią. Odeszła ona jedynym wyjściem z miasta na zachód: mostem na Elsterze. Ale mostu już nie ma: wysadzili go w powietrze Francuzi, widząc zbliżających się Moskali. Książę cofa się z garścią towarzyszy ku rzecz. Zastępują mu drogę gromady wrogów; przebija się przez nie ostrzem szabli, przy czym otrzymuje czwartą ranę: kulę w bok. Osłabiony, rozgorączkowany, chwytając się na koniu, gniewa się, gdy go generałowie zaklinają, by się poddał. „Trzeba mężnie umrzeć!” — odpowiada na ich naleganie i mówi coś o Polsce i honorze. Wtem nadbiega nowy tłum nieprzyjaciół. Książę ostatkiem sił zdziera konia i rzuca się z wysokiego brzegu w rzekę. W tej chwili dosięga go jeszcze jedna kula i na wskrós przebija mu piersi.

Książę Józef zsuwa się z konia i znika w nurtach Elstery.

Niedługo potem pokonany Napoleon został wywieziony na wyspę św. Heleny na południowym Oceanie Atlantyckim i tam w kilka lat później umarł.

26. O PUŁAWACH

Czcigodna rezydencja.

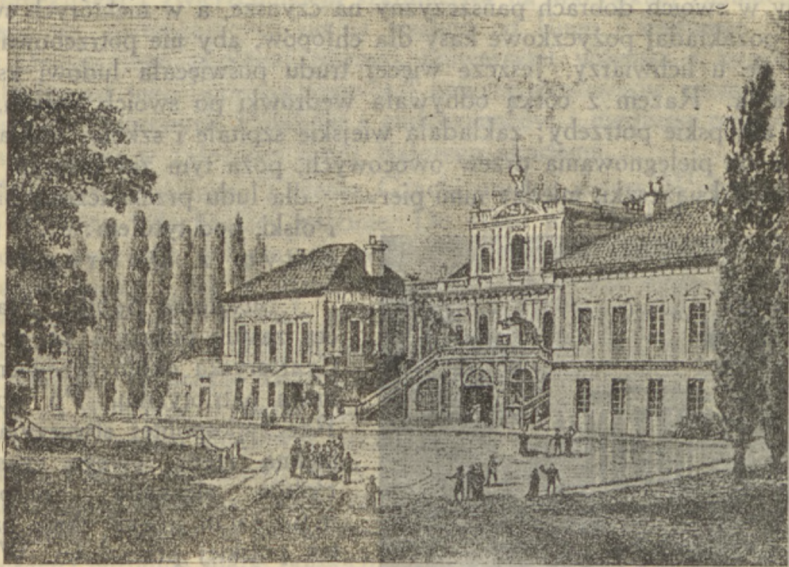
Świate z siebie, świetniejsze z mieszkańców Puławy!”

„O, wy, wieczne pomniki narodowej sławy —

śpiewał ówczesny poeta na cześć tej rezydencji Czartoryskich, która była szkołą miłości ojczyzny, gościnnym schroniskiem polskiej nauki i poezji i

wzorem towarzyskiej oglądy i obyczajności. Toteż między tłumami dworzan i przyjaciół rodu Czartoryskich często można było w puławskim pałacu spotkać Kościuszkę — nierzadko, nawet całymi latami przebywali tam poeci, jak Niemcewicz i inni — nieraz zjawiał się na dłuższy pobyt ks. Piramowicz i niektórzy jego koledzy z dawnej Komisji Edukacji Narodowej.

Pałac. Niżej Kazimierza nad Wisłą, obok miasteczka Puław, wzniesiony pałac przypominał siedzibę Jana Sobieskiego w Wilanowie. Podobna długość frontu, to samo regularne rozmieszczenie i ilość okien i attyka nad frontem środkowej części budynku, trzechokienne nad nią piąterko i jeszcze jedna attyka nad piąterkiem i posągi na niej i skrzydła po obu bokach pałacowego trzonu. Tylko pałac puławski jest wyższy o piętro od wilanowskiego, a druga różnica między nimi, to schody, które w Puławach wybudowano na dworze, przed frontem, tak że zasłaniają parter, czyli przyziemie budynku i prowadzą z obszernego placu przed pałacem od razu na pierwsze piętro.



Pałac w Puławach (rycina współczesna)

Księżęta Czartoryscy. Królestwo Kongresowe. W jednej ze sal pałacu ma się odbyć teatralne przedstawienie. Aktorami są krewni i przyjaciele gospodarzy. Widzowie, to dworzanie i goście; rozmawiają o sztuce, którą mają ujrzeć, o książkach, obrazach, podróżach i wynalazkach. Osobno rozmawiają obaj gospodarze: stary książę, dawny komendant stanisławowskiej kadeckiej szkoły i przeszło 40-letni syn jego, Adam. Przyjaciół cara Aleksandra przyjął od niego przed laty urząd zastępcy rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, a choć po utworzeniu Księstwa Warszawskiego złożył ten urząd, mimo to zwycięski car jadąc na kongres do Wiednia wstąpił do Puław i zabrał ze sobą ks. Adama jako swego doradcę w spra-

wach polskich. Na tym kongresie, zwołanym po upadku Napoleona, urządzono na nowo Europę, niszcząc państwa utworzone przez wielkiego cesarza. Księstwu Warszawskiemu odjęto piątą część obszaru, mianowicie Poznańskie, i oddano je Prusom, z reszty zaś Księstwa utworzono Królestwo Polskie, zwane zwykle Kongresowym, którego królem został car Aleksander I. Małe to państwo otrzymało wprawdzie własne wojsko i konstytucję, ale nie zadawała księcia Adama: car bowiem często mu obiecywał, że odbuduje pod swym berłem przedrozbiorową Rzeczpospolitą — a obietnicy nie wypełniał.

Nie dziwiło to starego księcia. Był on nieprzejednanym wrogiem Rosji i nie wierzył, by car coś zrobił dla Polski, a zresztą Aleksander był znany z tego, że zawsze inaczej mówił, niż czynił.

Praca dla ludu. Ale nie tylko polityką i sztukami pięknymi zajmował się gospodarze puławskiego pałacu. Stary książę był jeszcze za czasów stanisławowskich jednym z tych kilku dziedziców, którzy zajęli się sprawą zamiany w swoich dobrach pańszczyzny na czynsze, a w niektórych swoich wsiach pozakładał pożyczkowe kasy dla chłopów, aby nie potrzebowali zadłużać się u lichwiarzy. Jeszcze więcej trudu poświęcała ludowi księżna Izabela. Razem z córką odbywała wędrowki po swoich wsiach, aby poznać chłopskie potrzeby; zakładała wiejskie szpitale i szkoły, naklaniała chłopów do pielęgnowania drzew owocowych, poza tym zaś prostym językiem pisała książeczki, między nimi pierwszą dla ludu przeznaczoną historię Polski, pod tytułem: „Pielgrzym z Dobromila”.



Świątynia Sybilli (rycina współczesna)

Świątynia Sybilli. Najwięcej zasług położyła ks. Izabela Czartoryska około krzewienia w kraju patriotyzmu. Po upadku Rzeczypospolitej stworzyła ona piękną rzecz, owego czasu w Polsce nieznaną: narodowe muzeum, czyli zbiór pamiątek polskiej przeszłości. W tym celu kazała w ogrodzie wybudować walcowaty, podobny do okrągłej baszty piętrowy budynek, nazwany świątynią Sybilli (starożytnej rzymskiej prorokini). Otaczały go ozdobne kolumny. Parter zajmowała sala, obwieszona tarczami z nazwiskami sławnych polskich wodzów od Jana Zamoyskiego aż do ks. Józefa Poniatowskiego. Na piętrze druga sala bez

okien; światło wpadało do niej z góry, przez wielką, wypukłą szklaną tafelę, która zastępowała dach. Tu mieściło się właściwe muzeum. Pokazywano w nim miecz Jagielly, szablę Batorego, broń Jana Sobieskiego, a kunsztownie ozdobione szafy mieściły najrozmaitsze zabytki, jak szkatułki, puchary, między nimi wazon z hebanu i kości słoniowej, utoczony ręką Kościuszki w czasach niewoli, do której dostał się po maciejowickiej klęsce.

Dziś te zbiory mieszczą się w Krakowie, w Muzeum im. ks. Czartoryskich.

27. O TADEUSZU CZACKIM I KRZEMIENIECKIM LICEUM

Wileńskie kuratorium. Ks. Adam Czartoryski był też kuratorem, czyli opiekunem i zwierzchnikiem szkolnictwa na wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej, rozciągających się na wschód od Bugu i średniego Niemna. Zwierzchności jego podlegał również uniwersytet wileński i książę zajął się natychmiast jego poprawą: powołał nowych profesorów spośród najślawniejszych uczonych Polaków i cudzoziemców i niedługo podniósł wysoko stan nauki w założonej przez Batorego akademii.

Młodość Czackiego. Tadeusz Czacki urodził się na Wołyniu w znacznej i bogatej szlacheckiej rodzinie. Do szkół nie chodził; wychowywał go ojciec, troskliwie dobierający synowi najlepszych nauczycieli. Chłopiec pochłaniał naukę i już w dzieciennym wieku okazywał niezwykłą dbałość o wykształcenie ludu: niewiele przekroczywszy 10 rok życia założył szkołę dla dzieci służby i ubogich mieszkańców rodzinnego miasteczka i sam ją utrzymywał, opłacając nauczyciela z własnej pensji, którą mu ojciec wyznaczył na dziecinne wydatki i przyjemności. Dorósłszy oddał się gorliwie nauce prawa, potem studiował przyrodę, a kiedy 4-letni Sejm wybrał go członkiem komisji skarbowej, jakby dzisiejszego Ministerstwa Skarbu, dwudziestoparoletni wówczas Czacki rzucił się tak gorliwie do badania polskiego przemysłu i handlu, że niebawem zdumiał komisję przedstawiając jej owoc swej pracy: ogromną mapę polskich rzek, których na karcie można się było doliczyć prawie 5.000, a wszystkie miały oznaczone wysokości spadków, zakręty, zawady, słowem wszystko, co żegludze rzecznej pomaga lub ją utrudnia.

Uczony i wizytator. Po upadku Rzeczypospolitej Czacki zajął się pracą nad prawami Polski i Litwy i napisał o nich książkę, która go wślawiła jako uczonego, gdy wtem ks. Czartoryski, kurator wileński, powołał go na wizytatora szkół południowo-wschodnich ziem dawnej Rzeczypospolitej. Niemało natrudził się gorliwy wizytator zwiedzając szkoły na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie. Wszędzie spotykał ruinę, wszystko bowiem, co stworzyła Komisja Edukacji Narodowej, zostało przez Targowicę zburzone i wiele musiał napracować się Czacki, zanim poprawił zło w szkolnictwie swojego okręgu.

Ale nie było w tym rozległym kraju żadnej szkoły wyższej: najbliższy polski uniwersytet był w Wilnie, oddalonym o 100 mil od niektórych okolic Podola i Kijowszczyzny. Aby temu brakowi zaradzić, postanowił Czacki w swym okręgu stworzyć zakład, który by nie był akademią, a był wyższy niż ówczesne szkoły średnie.

Projekt Liceum Krzemienieckiego. Projekt takiej szkoły ułożył autor Konstytucji 3 Maja, główny pomocnik Kościuszki w zarządzie krajem podczas powstania, ks. H u g o K o ł ł a t a j. Do przedmiotów, które niedługo dla średnich szkół Rzeczypospolitej uchwaliła Komisja Edukacji Narodowej, Kollątaj dodał nowej szkole, nazwanej l i c e u m, takie przedmioty, jak rolnictwo, ogrodnictwo, weterynaria, tj. leczenie zwierząt, a nawet chirurgia, tj. leczenie i składowanie złamanych kości; ziemianin bowiem, dla którego głównie była ta szkoła przeznaczona, powinien umieć zaradzić wszystkiemu, co na wsi, daleko od lekarzy, zdarzyć się może. Szczególnie pięknie i mądrze pisze ks. Kollątaj w projekcie nowego liceum o nauce ojczystego języka:

„Mowę naszą — czytamy — uważać powinniśmy jak skarb najdroższy, jak własność najmilszą, przez którą wszystkie umiejętności stają się przystępnymi dla umysłów tych nawet obywateli, których pamięć nie jest zdolna obciążać się znajomością mów obcych. Nie samo więc przywiązanie do ojczystej mowy skłaniać nas powinno, abyśmy około jej wydoskonalenia z największą pracowali gorliwością, ale także widoczna potrzeba publicznego oświecenia.”

Otwarcie nowej szkoły. Liceum powstało w Krzemieńcu, a pieniędzy na nie dostarczyły dobrowolne składki. Hojnie posypały się ofiary panów, szlachty i duchowieństwa i już w dwa lata po objęciu urzędu wizytatora Czacki uroczyście otwierał nową szkołę wobec tłumnego zjazdu polskiego obywatelstwa i rosyjskich dostojników. Grzmot 100 armat i dźwięki wszystkich dzwonów w Krzemieńcu towarzyszyły nabożeństwu, którym zaczęto tę uroczystość. Po nabożeństwie Czacki powitał gości tłumacząc wielkie znaczenie liceum dla dziejów ojczystego szkolnictwa, a następnie gorąco przemówił do nauczycieli i uczniów wzywając ich do wytrwałej pracy, po czym wręczył dyrektorowi liceum dyplom ustanowienia szkoły. Po przemówieniu dyrektora i innych mowców uroczystość zakończyła się przyjęciem na cześć licznie zebranych gości.



Popiersie Tadeusza Czackiego

28. O WIELKIM PRZEMYŚLE I ROBOTNICZYM STANIE

Jerzy Stephenson. W pewnej angielskiej kopalni węgla obsługiwał kilkunastoletni Jerzy Stephenson (Stifenzon) niedawno przedtem wynalezioną pompę parową i biedził się nad zrozumieniem tajemnicy powierzonej mu maszyny. Dorzucając co pewien czas szufłę węgla do paleniska rozmyślał chłopiec całymi dniami nad niepojętą dla niego pracą pary wodnej, aż wreszcie poradzono mu, aby się nauczył czytać: w książkach znajdzie rozwiązanie trapiącej go zagadki.

Tak też uczynił: zapisał się do wieczornej szkoły, a skończywszy ją zasiadł po 12 godzinach pracy uczyć się dalej ulubionej fizyki.

Odtąd poświęcił się budowie parowych maszyn i stał się wynalazcą lokomotywy, tj. parowozu. Po żelaznych szynach, po których przedtem konie noga za nogą ciągnęły wózki z węglem do oddalonego o 13 km portu, puścił Stephenson przeszło 100 lat temu swój parowóz, ciągnący od razu 8 wozów o ciężarze dzisiejszych 3 wagonów kolejowych. Wkrótce dodano do pociągu osobny wóz dla ludzi i mimo sarkania i narzekań niechętnych postępowi, którzy przewidywali, że dym parowozu zabije w kraju wszelką roślinność i podusi ludzi, zaczęto tak w Anglii, jak i w reszcie Europy i w Ameryce budować coraz dłuższe linie kolejowe, a po zastosowaniu maszyny parowej do żeglugi, coraz więcej parostatków.

Tkálnia Jacquarda. Robimy przeplatanę z cienkich pasków białego i czerwonego papieru. W tym celu kładziemy paski, np. białe, równoległe obok siebie (co tkacze nazywają *osnową*) i przeplatamy je w poprzek czerwonymi (te poprzeczki zwą się *wątkiem*). Jeżeli to ma być zwykła kratka, to pierwszy pasek wątku kładzie się na wszystkie nieparzyste paski osnowy, a odsłania parzyste, drugi odwrotnie, przykrywa parzyste, a odsłania nieparzyste, trzeci biegnie jak pierwszy, czwarty jak drugi itd. Ta praca staje się trudniejsza, kiedy chcemy z białych i czerwonych pasków utkać jakiś wzór, np. krzyżyk, kwadrat lub kwiatek. Wtedy trzeba rachować paski osnowy, które z nich, choć parzyste, mają się razem z nieparzystymi znaleźć pod paskiem wątku, a praca byłaby bardzo żmudna, kiedybyśmy zamiast z pasków papieru, musieli całymi dniami tkąć wymyślne wzory z nici.



Pociąg z lokomotywą Stephensona

Tak przez długie lata siadywał przy krosnach swego ojca, tkaczka we francuskim mieście Lyonie, młody Józef Maria Jacquard (Żakard)

biedząc się nad rachowaniem tych nici osnowy, które wątek musiał omijać, by z warsztatu wyszła tkanina ze wzorem odtworzonym z rysunku. Nagle pewnego dnia gruchnęła między tkaczami wiadomość, że Jacquard wymyślił jakieś nowe krosna.

— Nie trzeba już ręcznie przetykać osnowy! Sama maszyna to robi! Wykłuwa się wzór na kartonie i podsuwa się go pod osnowę, a jakieś druty wpadają w otwory kartonu i ściągają nici na dół!

— Więc każdy może być tkaczem? A cóż my będziemy robili?

— Jacquard odbiera nam chleb! Precz z Jacquardem! Śmierć Jacquardowi i jego krosnom!

I rozjuszony tłum wpadł do domu wynalazcy chcąc go wrzucić do rzeki Rodanu, a kiedy Jacquard zdołał się wymknąć, tkacze zemścili się na jego maszynie i na sprzętach łamiąc wszystko, co im wpadło pod rękę. Ale w kilkanaście lat później prześladowany przez towarzyszy Jacquard doczekał się sławy i uznania. Cesarz Napoleon ocenił użyteczność jego wynalazku i wyznaczył mu dożywotnią pensję, zaś po 10 latach pracowało już we Francji przeszło 10.000 jacquardowskich krosien.

Przemysł fabryczny. Niedługo potem do pracy przy krosnach Jacquarda zaprzągnięto maszynę parową. Jeżeli zręczny robotnik mógł utkać dziennie kilkadziesiąt lokci tkaniny, to maszyna w tym samym czasie wyrabiała ich kilkaset. A wynagrodzenie robotnika fabrycznego nie było wyższe niż warsztatowego; mógł więc właściciel fabryki sprzedawać swoje wyroby znacznie taniej niż pracujący po dawnemu rzemieślnik. Wskutek tego fabrykanci zaczęli się nadmiernie bogacić tworząc warstwę ludności: bogactw tych przemysłowców; a równocześnie wytwarzała się coraz liczniejsza klasa ludzi, która tamtym wynajmowała swą pracę: klasa robotnicza.

Niedola robotnika. Smutny był los robotnika fabrycznego. Nie było jeszcze praw chroniących jego pracę, która też trwała po 14, 16 i więcej godzin na dobę. Nadto fabrykant czasem obniżał płacę, a wtedy robotnik wysyłał do pracy żonę i dzieci, nawet małe, aby w ten sposób zapewnić rodzinie nędzny kęs chleba. Czasem jednak fabrykę zamykano: za dużo towaru wytworzyła i nikt go nie chciał kupić. Wówczas zrozpaczeni robotnicy rzucali się na fabrykę i niszczyli ją, co kończyło się nadejściem policji i kilku karabinowymi salwami — albo też szli z rodzinami w świat, by znaleźć pracę w innej fabryce.

29. JAK POWSTAŁ ŻYRARDÓW

Książę Lubecki. Nie lada to była praca, której podjął się książę Drucki-Lubecki, minister skarbu Królestwa Kongresowego. Po Księstwie Warszawskim objął kasy puste; w tym państwie, którego krótkie istnienie upłynęło na wojnach i na przygotowywaniu się do nich, niewiele dbano o skarb. Trzeba go więc było nappełnić. W jaki sposób? Rzecz prosta: należy



Ksawery Drucki - Lubecki

z obywateli spóźniających się z płacaniem podatków ściągać je przymusowo. To zarządzenie nie zjednało nowemu ministrowi skarbu przychylności wielu obywateli, a już krzyk podniósł się, kiedy ks. Lubecki nakazał podległym mu urzędom ściągać także dawne należności, zalegające jeszcze od czasów Księstwa Warszawskiego. Wreszcie, kiedy w miarę jak kraj dźwigał się z klęsk niedawnych wojen minister zaczął dawne podatki podnosić, niechęć do niego przeszła prawie w nienawiść.

Nie przez wszystkich więc w kraju był lubiany książę Lubecki, choć był to jeden z najrzadniejszych gopodarzy, jakich Polska kiedykolwiek miała. Za jego staraniem powstawały nowe fabryki i podnosiły dobrobyt narodu. Dążył on do tego, aby Królestwo mogło wytwarzać

wszystko, czego potrzebowało, i aby nie było w niczym zależne od sąsiadów. Coraz mniej więc pieniędzy odpływało za granicę, a coraz więcej miał ich obywatel, a wskutek tego i skarb państwa miał zawsze więcej dochodów niż wydatków, choć przeznaczano z niego wielkie sumy na różne pozytywne cele.

Płótno. Kiedy ks. Lubecki obejmował urząd, nie było w Królestwie ani jednej fabryki płótna; tylko w okolicach Kalisza, w tamtejszych tkackich osadach, wyrabiano pośledniejsze gatunki płócien na sprzedaż.

Minister obliczał, jakie sumy odpływają corocznie z Królestwa Polskiego do Niemiec i Holandii za tamtejszą lnianą *manufakturę*: delikatne płótna, chusteczki, obrusy itd. — i postanowił przez założenie tkackiej fabryki zatrzymać choć część tych pieniędzy w kraju.

Zaczął więc nakłaniać bogatych ludzi, aby założyli spółkę i zbudowali fabrykę; gdyby im nie wystarczyło gotówki, założony przez ministra Bank Polski udzieli im taniego kredytu, tj. pożyczki na niewygórowany procent.

Wprawdzie krajowy len nie nadawał się do sporządzania delikatniejszych tkanin, ale nie mieli dobrego lnu także i Niemcy i Holendrzy, i sprawdzali go aż z Litwy. A z Litwy bliżej do Królestwa niż do tamtych krajów, więc i transport (przewóz) lnu mniej by kosztował Polaków niż

Niemców i Holendrów. Nie było jednak w kraju wprawnych robotników; zanimby polski fabryczny tkacz nabył biegłości w pracy, fabryka mogłaby upaść nie mogąc wytrzymać konkurencji (współzawodnictwa) ze starym przemysłem zagranicznym. Ale i na to była rada: nałożyć wysokie cło na towar zagraniczny, aby go nie można sprzedawać taniej od wyrobów krajowych.

Girard. Brakowało więc tylko inżyniera, który by umiał urządzić fabrykę. Wskazał go książę Lubecki: najlepiej to uczyni Filip Girard (Zirard), Francuz, wynalazca maszyny do przędzenia lnu. Nie miał on szczęścia Jacquarda: Napoleon nie poznał się na użyteczności jego wynalazku i odmówił mu poparcia, wskutek czego Girard szukając chleba wywedrował do Niemiec. Za sprawą ks. Lubeckiego sprowadzono go do Warszawy, a spółka, którą utworzyli warszawski mieszczanin Scholtz (Szolc), dwaj Łubińscy i nadto dwaj inni zasobni w pieniądze kapitaliści (bogacze), zawarła z Girardem układ: spółka otrzymała od niego prawo wykorzystywania jego wynalazku, a wynalazca miał urządzić fabrykę i zostać jej dyrektorem.

Mieli też co oglądać i czego słuchać spółnicy, kiedy im Girard przedstawił rysunki maszyn i zaczął je objaśniać. Jakoż godzinami podziwiali przedziałnię, która miała dziennie tysiące garści lnu przerabiać na nici krosna Jacquarda, i magle do wygładzania płótna i nadawania mu połysku, a wreszcie blichy do wybielania tkaniny.

Scholtz i Ska (spółka, skrót). Ale łatwiej było wynalazcy wykonać rysunki, niż otrzymać zbudowane według rysunków maszyny. Jakoż minęło 6 lat od podpisania układu, zanim Girard zdołał uruchomić pierwszą mechaniczną tkalnię lnu w Polsce, którą zrazu umieszczono pod samą Warszawą, a później przeniesiono do nazwanego od nazwiska wynalazcy Żyrardowa. Zafurczały tedy wrzeczona w Żyrardowie: gotowe nici pobiegły ku krosnom snując wątek i nawijały się już jako tkanina na potężne wały, skąd następnie szły do magli, a stamtąd, wygładzone, do blichu, tj. do bielania. Paruset robotników doglądało kilkunastu maszyn i odstawiało gotową manufakturę na wielkie bryki, które żyrardowskie wyroby rozwiozily po kraju.

30. O WIELKIM SYNU MAŁEGO MIASTECZKA

Ojciec polskiej demokracji. Urodzony w ostatnich latach panowania Augusta III, był Staszic synem burmistrza wielkopolskiego miasteczka Piły, dziś od Polski odciętego niemiecką granicą. Urodził się więc mieszczaninem, to znaczy, że przed chciwym nauki chłopcem, który nie chciał być rzemieślnikiem albo kupcem, wszystkie inne zawody były zamknięte z wyjątkiem niższych godności stanu duchownego.

Czuł zaś w sobie wielkie siły, które chciał oddać na ratunek upadającej Rzeczypospolitej. Toteż po powrocie z podróży po obcych krajach, osiadłszy w Warszawie jako nauczyciel dzieci jednego z panów, napisał przed Sejmem 4-letnim dwie książki, nawołując w nich do gruntownej re-



Ks. Stanisław Staszic

formy państwowych urzędów. Zadał tedy dziedzicznej i silnej królewskiej władzy. Ale ta nie wystarczy dla obrony kraju; trzeba mieć wielką armię. Armia znów wymaga bogatego skarbu, a skarb obfitych podatków. Skąd je wziąć? Niech płacą ci, co posiadają prawie wszystką ziemię w Rzeczypospolitej: szlachta i panowie. Pierwszy to raz usłyszały w Polsce stany wyższe żądanie podatków; dotychczas płacił je tylko chłop i mieszczanin. Ale i szlacheckie podatki — rozważał ks. Staszic — nie wystarczą na pokrycie potrzeb państwa; trzeba więc zwiększyć dobrobyt ludu, aby mógł płacić więcej niż dotychczas. Jak to uczynić? Oto dać chłopom ziemię; na własnej będą pracowali lepiej niż na pańskiej.

— Bunt! Prawo posiadania ziemi ma tylko nasz (szlachecki) naród! — krzyczy szlachta, ale natychmiast znajduje w książce śmiałego księdza wytłumaczenie, że szlachta, to nie naród, tylko część jego, że naród, to wszystkie stany, tak ze sobą spojone, że szczęście i nieszczęście jednego dotyka jednako wszystkie inne. Trzeba więc, aby szlachta przyznała swoje prawa wszystkim nieszlachcie.

Żąda tedy Staszic, pierwszy od wieków z pisarzy polskich, równych praw dla wszystkich stanów, czyli urządzeń demokratycznych, jak je z grecka zowiemy, i dlatego też nazwano go ojcem polskiej demokracji.

Uczony i minister. Konstytucja 3 Maja, dopuszczająca mieszczan do urzędów, upadła razem z Rzeczpospolitą, ale dzięki prawom Księstwa Warszawskiego, a potem Królestwa Kongresowego, Staszic dostąpił godności radcy Stanu, a wreszcie ministra przemysłu i rękodzieła. Zająwszy to stanowisko oddał krajowi wielkie usługi: ulepszał i zakładał kopalnie rud żelaznych, miedzianych i cynkowych, opiekował się hutami, wytapiającymi z rud metale, tworzył fabryki i pomagał rzemiosłom. Wiele mu zawdzięczało szkolnictwo, wiele też dróg dobrych powstało w kraju dzięki jego staraniom.

Był bowiem przygotowany do swego urzędu jak nikt inny w ówczesnej Polsce. W licznych podróżach po kraju badał jego budowę. Wdzierał się w głąb górskich pieczar poszukując w nich kruszców i soli, badał rzeki i jeziora, poznawał rzemiosła w różnych częściach Polski, rysował mapy zbadanych przez siebie okolic, a o Karpatach napisał pierwsze w Polsce dzieło, które go wślawiło w kraju i za granicą jako uczonego geologa, tj. zajmującego się nauką o budowie ziemi. Ale nie tylko uczoności dowiódł Staszic w swej książce o Karpatach; czytając ją widzimy, że została napisana przez gorącego patriotę. Oto jak np. odzywa się do polskiej młodzieży: „Bądźcie ludźmi oświeconymi, pracowitymi i cnotliwymi! Uczcie się poznawać tę ziemię, która was zrodziła, oddajcie się naukom rolnictwa, przemysłowi, wynalazkom; coraz więcej przywiązujcie się do tej ziemi, kochajcie ją i wślawiajcie!”

„Paść może naród wielki, zniszczyć nie może, tylko nikczemny!”

Spółka Hrubieszowska. Najpiękniejsze jednak dzieła Staszica są bodaj te, które powstały z jego szczodrej ofiarności. Kupiwszy dobra hrubieszowskie nad Bugiem, urządził je tak, jak chciał, by była urządzona każda wieś w Polsce. Ponieważ chłop został wprowadzić za Księstwa uwolniony od poddaństwa i pańszczyzny, ale nie posiadał ziemi, tedy ks. Staszic, który już dawniej nawoływał dziedziców do obdzielenia chłopów ziemią czyli do uwłaszczenia ich, przede wszystkim sam to uczynił w kupionych przez siebie dobrach. Oddał więc ziemię chłopom i wszystkich ich połączył w jedną spółkę. Część dochodów spółki przeznaczył jako zapas na wypadek potrzeby ratowania spółników w razie jakiejś klęski, np. pożaru albo nieurodzaju. Jeżeli który spółnik dopuścił się jakiegoś nieuczciwego postępku, spółka musiała go spomiędzy siebie usunąć.

Na dokonanie tego dzieła poświęcił ks. Staszic cały swój majątek. Istnieje też ono do dziś pod nazwą „Spółka Rolnicza Hrubieszowska”.

„Skąpy” ksiądz. Była to jego najhojniejsza ofiara. Ale nie jedyna. Zwłaszcza gdy szło o oświatę, oddawał ks. Staszic wszystko, co posiadał. Aby zaś móc narodowi ofiarować jak najwięcej, sam żył oszczędnie jak skąpiec. Znany był w Warszawie ubogo wyglądający powóz ministra prze-

mysłu i rękodziel. Mieszkał też jego właściciel skromnie i chodził w wyszarżalym płaszczu. Bardzo lubił teatralne widowiska, ale żałując sobie pieniędzy chodził na paradyż, jak nazywano galerię z najtańszymi w teatrze miejscami.

Wolał służyć narodowi niż sobie.

31. CZEGO ŚWIADKIEM BYŁ PLAC SASKI ZA CZASÓW W. KSIĘCIA

Przeгляд wojska. Piękny to był widok, kiedy na placu Saskim dziś zwanym Pilsudskiego, odbywał się przeгляд wojska.



Wielki książę Konstanty

Jakby jakiś ogromny stwór zaległ cały plac i przy dźwiękach muzyki drgał na komendę syjąc iskry z lśniących karabinów, rzucanych z ramienia do prezentowania, do nogi, do oka, do ataku na bagnety. Wzdłuż długich szeregów bielili się krzyże pasów na granatowych żołnierskich piersiach; dołem szlaku białych krzyży biegła wstęga złotych lampasów u spodni; w słońcu lśniły się srebrzyste orły na wysokich czapkach, i guziki i epolety na ramionach oficerów i błyskawice obnażonych szabel w ich rękach.

Nagle drgający stwór rusza. Suną kompanie, bataliony, pułki, zwracają się w prawo, w lewo i tak, jak nagle ruszyły, stają jak wryte. Nikt na włos nie wystąpił z szeregu naprzód, nikt na włos nie został w tyle. To chyba nie są żywi ludzie. To maszyna. Na komendę chodzi, zawraca, rozsypuje się na mniejsze części, znów gęstnieje i wysuwa wstęgi szeregów jak najpiękniejszy taneczny korowód.

Naczelný wódz. Naczelný wódz zadowolony. Wielki, barczysty, o krótkiej, grubej szyi, zduszonej ciasnym a wysokim kołnierzem, o wielkiej głowie, tłustej, czerwonej twarzy, prawie bez nosa, ale z nadmierne wystającym, wypukłym czołem, z białozłotymi, krzaczastymi brwiami, małymi niespokojnymi oczyma — był w. książę K o n s t a n t y zgoła niepodobny do swego brata, króla polskiego i zarazem cesarza rosyjskiego, dorodnego Aleksandra I.

Był zadowolony. Cieszył się polskim wojskiem i kochał je: wpadał w szalony gniew, gdy usłyszał o nim coś uwłaczającego. Oszczędzał go: nie pozwolił go wysłać na wojnę z Turcją. Bronił go przed oskarżeniami: kiedy namiestnik Królestwa Polskiego, stary generał napoleoński, powiedział raz w. księciu, że w wojsku szerzą się spiski, rozjątrzony wódz — jak zapisał świadek tej rozmowy — „nagadał namiestnikowi rzeczy dość nieprzyjemnych” i zakończył tymi słowy:

— Ja, choć cudzoziemiec, jestem przecie lepszym Polakiem od pana! I ja obronię Polaków przed cesarzem!

W. książę był z przeglądu zadowolony. Wtem zauważył, że jednemu z żołnierzy brakuje guzika. Carski brat zmienił się w rozjuszone zwierzę. Nieprzytomny z gniewu skopał winowajcę i skazał go na karę 100 kijów. I znów ruszyły szeregi i wykonywały ćwiczenia ku zadowoleniu naczelnego wodza.

Potwór. Ten potwór „wszystko robi raptusami (gwałtownymi napadami). Nic podobnego nie było pod słońcem: rozumny i szalony, okrutny i ludzki”.

Tak mówił o carskim bracie stary już wówczas Niemcewicz, a major 4 pułku piechoty, Walerian Łukasinski, opowiada, jaki widok przywitał go, kiedy w czasie kongresu wiedeńskiego wrócił z niewoli austriackiej do służby w polskim wojsku.

„Przy przeglądaniu jednego oddziału przybyłego z Francji żołnierz pewien, jak było przyjęte (w armii napoleońskiej), wystąpiwszy naprzód i sprezentowawszy broń chciał uczynić jakieś przedstawienie (zażalenie albo prośbę): sto kijów było nagrodą za taką śmiałość. Wtenczas poznano, czego można się spodziewać od podobnego wodza. Najmniejsze uchybienie karano jak zbrodnię. Jeden młody podoficer oddalił się na moment od swojej warty i został zabity kijami, kiedy najsurowsza kara byłaby naznaczona utratą stopnia. Sto kijów to była najmniejsza kara; w przypadku (czasem) posuwał (w. książę) liczbę tę do tysiąca. On nie lubił rozlewu krwi (bitwy); on tylko znajdował ukontentowanie w męczeniu ludzi. Kajdany, kule działowe z łańcuchami ważącymi 18 funtów, noszone przez więźniów przy ciężkiej pracy, były zwyczajnie używane”.

Samobójstwa. Maszyna na placu Saskim skamieniała. Przez chwilę nie pada żadna komenda. W. książę szaleje. O drobnostkę: o czyjś tam nierówny krok.

— Stój! — krzyczy i wpada z koniem na oficera. — Pod karabin i do szeregu!

Struchlały oficer bierze podany mu karabin i staje w szeregu jak prosty żołnierz, a naczelnny wódz, jakby z gniewu stracił przytomność, obrzuca prostackimi obelgami nieszczęsnego winowajcę, wszystkich oficerów polskich i w końcu wszystkich Polaków, którymi się zwyczajnie chwalił i których dręczył taką swoją osobliwą, dziką miłością.

A nieszczęśliwy oficer przywłókszy się po przeglądzie do domu pisze pożegnalne listy do rodziny i wystrzałem z pistoletu odbiera sobie życie.

Przez kilka lat zabijało się po kilkunastu oficerów rocznie nie mogąc znieść szaleńczych wybrzków wodza. W. książę był przerażony; raz odwiedził odratowanego samobójcę i wycalaował go prosząc o przebaczenie, ale mimo to nie wyzbył się swojej dzikiej popędliwości.

Na placu Saskim, podczas przeglądu wojska, spod daszków wysokich czap ściagały w. księcia coraz częściej spojrzenia śmiertelnej nienawiści.

32. O FILOMATACH

Miłośnicy nauki. W Wilnie, w mieszkaniu jednego ze studentów tamtejszego Uniwersytetu, zebrało się kilkunastu młodzieńców. Zwołał ich tu prezes, czyli przewodniczący, tajnego Towarzystwa Filomatów (miłośników nauki). Tak już bowiem było wówczas w Europie, po upadku Napoleona, w czasie niewoli wszystkich narodów, uciskanych przez samowładne rządy, że wszystko, co gorętsze, zakładało tajne towarzystwa, które też szerzyły się tak w wojsku, jak między cywilnymi, a zwłaszcza młodzieżą uniwersytecką, a nawet gimnazjalną.

Różne były cele tych towarzystw; niektóre przygotowywały rewolucje, inne miały za zadanie uprawianie dobroczynności, np. troskę o wojennych inwalidów i sieroty po żołnierzach, a filomaci — pielegnowanie nauki.

Mowa Mickiewicza. Za stołem stanął prezes, syn adwokata z Nowogródka, niespełna dwudziestoletni Adam Mickiewicz. Gwar cichnie, a mowca zwraca się do stojącego przed stołem młodzieńca w następujących słowach:

— Szanowny towarzyszu i bracie nasz! Koledzy, poznawszy twoje zdolności, gorliwość, dobrą chęć, szlachetne serce i uczciwy charakter, wyneszą cię na stopień członka Towarzystwa Filomatycznego.

Towarzystwo to zawiązało się w celu przyniesienia pożytku krajowi, rodakom i sobie samym, a obrało do tego drogę nauki. Aby uniknąć grożących nam wszędzie niebezpieczeństw, połączyliśmy drobne siły nasze i postanowiliśmy wspierać siebie nawzajem, oświecać i zachęcać. Znasz już trochę tę naszą pracę, oglądałeś ją z daleka, teraz poznasz ją z bliska.

Obowiązkiem moim jest przypomnieć ci prawa, które rządzą naszym towarzystwem. Celem jego są ćwiczenie naukowe, a zasadą, na której byt Towarzystwa polega, są: skromność, otwartość, szczerą chęć przyniesienia pożytku i tajemnica wszystkich czynności. Każdy z nas musi co cztery tygodnie przedstawić pismo wierszem lub prozą, w rodzaju bądź poważnym i uczonym, bądź wesołym i do zabawy służącym. Członkowie, którzy takich opracowanych przez siebie pism oddać nie będą mogli, muszą przed oznaczonym terminem przedłożyć przyczynę niedopełnienia obowiązku.

Dotąd mówiłem jak naczelnik. Jeżeli w tym miejscu, poświadczonym



Uniwersytet wileński (na lewo)

obradom nad ogólnym dobrem, mogą odezwać się do ciebie jak przyjaciel do przyjaciela — odnowię pamiętkę niezachwianej przyjaźni, która od lat dziecinnych nas wiąże. Przyjacielu! Oto są moi przyjaciele! Spodziewam się, że pozyskasz ich zaufanie, będziesz takim, jakim każą ci być święte dla ludzi czułych prawa przyjaźni i święte dla członków prawa Towarzystwa!

Pieśń Filomatów. W ten sposób przyjął Mickiewicz do związku swego przyjaciela, J a n a C z e c z o t a, a następnie podszedł ku niemu i serdecznie go uściskał. Z radosnym gwarem zbliżyli się do nowego członka studenci i brali go w objęcia. Wreszcie odezwał się ulubiony przez młodzież, roztropany T o m a s z Z a n:

— Przyjaciele! Adam pięknie przemawiał, ale mówił prozą, a on przecie poeta i włada raczej wierszem. Zaśpiewajmy więc sobie jego piosenkę dla nas napisaną! Lepiej ona określa nasze cele niż wszystkie uczone przemowy!

Jakoż za chwilę zgodny chór zaczął śpiewać pieśń, która kończyła się słowami:

...kto jest w naszym gronie,
 Pomnij na przysięgę swoją
 I w każdej chwili żywota
 Czy przy pługu, czy w koronie,
 Niechaj ci w umyśle stoją:
 Ojczyzna, nauka, cnota!

Na zakończenie zebrania jeden z członków odczytał opracowane przez siebie sprawozdanie z najnowszych naukowych francuskich czasopism.

Męczeństwo młodzieży. W kilka lat potem, w dzień 3 maja, zdarzyło się, że Michał Plater, uczeń klasy 5 wileńskiego gimnazjum, napisał na szkolnej tablicy słowa: „Wiwat Konstytucja 3 Maja! Jak słodkie wspomnienie dla nas, rodaków!” — a później dopisał ktoś: „lecz nie ma, kto by się o nią upomniał!” Doniesiono o tym w. księciu Konstantemu, który wysłał do Wilna naczelnika rosyjskich szpiegów w Królestwie Kongresowym. Ten kazał uwięzić wielu uczniów gimnazjalnych i studentów uniwersytetu, tak ówczesnych jak i dawniejszych, między nimi Zana, Czeczota i Mickiewicza, wtędy już nauczyciela gimnazjum w Kownie. Prawie cały rok trwało śledztwo; rosyjscy urzędnicy chcieli wykryć spisek dążący do rewolucji; a choć takiego spisku nie było, mimo to Plater i niektórzy inni zostali skazani „w sądaty”, tj. na służbę w rosyjskim wojsku, która trwała 25 lat, a Mickiewicz, Zan, Czeczot i wielu innych na wygnanie w głąb Rosji.

33. O WALERIANIE ŁUKASIŃSKIM

Przysięga. W dobie najdzikszej samowoli w. ks. Konstantego, kiedy już w Polsce tracono resztki nadziei odbudowania Ojczyzny przy pomocy cara Aleksandra I, w majowy poranek, w gęszczy bielańskiego lasu pod Warszawą, stanęło w koło 10 cywilnych i wojskowych. Otaczali jedenastego; obok niego tkwiła w ziemi szpada, na której rękojeści umieszczono z żelaza lany medalion z popiersiem Kościuszki. Człowiek w kole wznosił w górę rękę uzbrojoną w sztylet, a jeden z grona czytał z kartki następujące słowa: „Przysięgam w obliczu Boga i Ojczyzny i rękę słowem honoru, iż użyję wszelkich sił do wskrzeszenia mojej nieszczęśliwej Matki, że poświęcę dla jej wolności i niepodległości mój majątek i życie...”

Tak zaczynała się rota przysięgi członków nowo utworzonego związku, zwanego Towarzystwem Patriotycznym. Założył je ów przewodniczący ze sztyletem w rękę, człowiek ogólnie znany w Warszawie z lekkomyślności. Jeden z obecnych, major Łukasieński, badał go uważnym spojrzeniem. Nie podobał mu się.

Szpiedzy. Kraj roił się od szpiegów. Łukasieński w swoich pamiętnikach naliczył 14 rodzajów różnej policji. Gdy więc na drugi dzień spiskowcy zbrali się w mieszkaniu pułkownika Prądyńskiego, podał ktoś radę, by się nie schodzić w prywatnych domach.

Poszli tedy grupkami do pewnej gospody na Pragę i w ogródku czekali reszty wtajemniczonych. Nie uszło to jednak uwadze jakichś tajnych policjantów.

„Przyszło ich zaraz dwu patrzeć — opowiada Łukasiński — co my robić będziemy. Jeden z nich wszedł (do gospody), a drugi został na dziedzińcu, rozmawiając z szynkarką. Wypytywał się, co my tu robimy”.

Ostrzeżeni spiskowcy opuścili gospodę. Udali się do hotelu, w którym mieszkał jeden z nich i tam dokończyli narady.

Założyciel Towarzystwa na nią się nie zjawił.

Towarzystwo Patriotyczne. Łukasiński, syn biednego szlachcica z Płockiego, pracowity, poważny i małomowny, wszystko czynił z rozważą, ale gdy raz coś zamierzył, nie było siły, która by go odwieść od powziętego celu. Dzięki tym zaletom związkowcy, zamiast założyciela, wybrali prezesem Towarzystwa Łukasińskiego, który też po namyśle objął przewodnictwo.

Towarzystwo Patriotyczne nie było wprawdzie liczne, ale wkrótce objęło prócz Królestwa także Litwę i Ruś i zabory austriacki i pruski. Celem jego było przygotowanie połączenia i uwolnienia Polski w granicach przedrozbiorowych i zaprowadzenie w niej równości nie tylko wszystkich stanów, ale także wyznań i języków. Jakimi drogami dążyło do celu Towarzystwo? Oto podzielono Polskę na prowincje (dzielnice) a te znow na gminy, których zwierzchnicy zjednywali dla związku coraz więcej zwolenników; członkowie nie znali się między sobą, wszyscy jednak mieli, gdy nadarzy się sposobność, stanąć do walki o cele Towarzystwa.

Męczeństwo. Po paru latach znaleźli się zdrajcy, którzy donieśli policji wszystko, co o Towarzystwie wiedzieli. Nie było tego wiele, bo znali tylko Łukasińskiego i najbliższe jego otoczenie, i tylko tych kilku dostało się do więzienia. Długo trwało śledztwo; dwu spiskowych odebrało sobie



Wywiezien... Valeriana Łukasińskiego

życie z obawy, by mimo woli nie zdradzić ojczyźnej sprawy, a gdy Łukasiński mimo udręki ustawicznych przesłuchiwań i podstępnych pytań nie wyjawiał żadnego nazwiska, i ocalił w ten sposób setki spisowców, został za to najsrożej ukarany.

Na placu w obozie pod miastem stanęły w czworobok wojska polskie i rosyjskie. W środku postawiono Łukasińskiego i dwu jego towarzyszy. Oficer odczytał wyrok, a kat zerwał im oficerskie odznaki i połamał ich szpady. Pomocnicy kata zdarli z nich mundury i ubranym w więzienną odzież zgolili głowy, a kowale okuli im nogi w ciężkie kajdany. Następnie dano im w ręce ciężkie taczki i przy odgłosie bębnow popędzono wzdłuż frontu wojsk. Śmiertelna cisza zaległa wojska, a po twarzach żołnierzy i oficerów, nawet Moskali, ściekały łzy.

Następnie zawieziono ich na ciężkie roboty do zamojskiej twierdzy, a w kilka lat później, w noc wybuchu powstania, samego Łukasińskiego do więzienia pod Petersburgiem, gdzie w mrokach ciemnej celi przeżył kilkadziesiąt lat, tj. do śmierci.

Hart jego duszy i przeszło 40-letnia męka stawiają go w rzędzie wielkich synów Polski.

34. JAK LISTOPADOWA NOC UWOLNIŁA KRÓLESTWO OD MOSKALI

Jesień r. 1830 w Warszawie. Kiedy jesienią roku 1830 ludzie pracy szli wczesnym rankiem do swych zajęć, nieraz spotykali policję zdzierającą z rogów ulic jakieś kartki papieru.

— Co było na kartce? — pytano się wzajemnie.

— Że Belweder od Nowego Roku do wynajęcia — śmiejąc się odpowiadał ktoś, co zdołał odczytać kartkę, zanim ją zdarto.

Pałac, zwany Belwederem, sąsiadujący z Łazienkami, był zamieszkały przez w. ks. Konstantego.

— To nic — powiada ktoś inny. — Wczoraj rozlepili odezwę, aby zacząć rewolucję, jak Kiliński, który wymiotł Moskali z Warszawy.

— A żeby ich już wymiotło!

— Mówią, że w niedzielę wybuchnie rewolucja.

Policja traciła głowę. Śledziła wszystkich, nadzorowała nawet umieszczoną w Łazienkach szkołę podchorążych, gdzie kształcili się podoficerowie, a mimo to nie wykryła, że tam właśnie, pod bokiem w. ks. Konstantego, już od dwu lat żarzy się spisek utworzony przez młodego nauczyciela tej szkoły, podporucznika Piotra Wysockiego; spisek, który, jak sam Wysocki powiadał, miał na celu „wyjarzmienie ziomeków spod ucisku, przeciwnego ustawie konstytucyjnej i swobodom, przez króla zaprzysiężonym”.

Królem był już wówczas car Mikołaj I, brat i następca Aleksandra I.



Hasło wybuchu. Spiskowcy wyznaczyli czas wybuchu powstania na dzień 29 listopada, godzinę 6 wieczorem. Hasłem miał być pożar starego opuszczonego browaru na Solcu nad Wisłą, jednakowo oddalonego od Starego Miasta i od Łazienek. Ale już o pół do 6, zaczął się, słaby zresztą, ogień. Nie było go widać w mieście, dostrzegli go jednak rozmieszczeni w koszarach obok Łazienek Moskale i ich dowódcy ustawili swoje oddziały w szeregi. Lecz po pewnym czasie ogień wygasł, a w koszarach zapanowała cisza.

Napad na Belweder. Wreszcie o godzinie 7 spiskowcy postanowili działać.

— Śmierć tyranowi! — zagrzmiął nagle na belwederskim dziedzińcu okrzyk garsci młodych ludzi biegnących do głównych drzwi pałacu.

Przerażona służba nie zamknąwszy drzwi rozbiegła się. Spiskowcy przebiegają pokoje w. księcia. Pustka. Gdzież w. książę? Oto, śpiącego po późnym obiedzie wyciągnął kamerdyner (starszy pokojowy) z łóżka i przez tajemne przejście przeprowadził do pokojów księżny, gdzie przerażone dworskie panie poklekały wokoło nieprzytomnego ze strachu carskiego brata i głośno odmawiały pacierze.



Napad na Belweder

— Ha, trudno. Ptaszek uleciał — mówią po daremnym szukaniu spiskowi opuszczając Belweder.

Zaledwie ci „belwederczycy”, jak ich odtąd zwano, przeszli do Łazienkowskiego parku, usłyszeli tętent rosyjskiej konnicy, która przybiegła galopem z niedalekich koszar i otoczyła pałac Belwederski.

Na koszary. Tymczasem Wysocki poprowadził napad na koszary. W szkole podchorążych odbywała się lekcja. Wbiegłszy do sali zawołał na młodzież: „Polacy! Wybiła godzina zemsty! Dziś umrzeć lub zwyciężyć potrzeba!” Młodzież porwała karabiny, nabiła je i pędem poskoczyła za dowódcą. Było ich stu kilkudziesięciu. Po paru wystrzałach na znak, że bój się rozpoczął, wtargnęli podchorążowie do rosyjskich koszar.

Moskale bronią się. Tymczasem z sąsiednich koszar nadchodzą inne rosyjskie pułki. Wysocki wycofuje się do Łazienek, a połączywszy się z belwederczycami, przebija sobie drogę przez otaczającą go konnicę i rusza ku miastu ostrzeliwując się ze stu kilkudziesięciu karabinów półtora tysiącowi wrogów.

Zamęt. W mieście zamieszanie. „Wszędy z trzaskiem zamykano sklepy, domy — opowiada naoczny świadek. — Latarnie pogasły. Jedna część mieszkańców kryła się przed rozruchem, druga patrzyła nań z okien. Tylko lud prosty, szewcy, krawcy, kowale, ślusarze zrozumieli, o co idzie”. Ci wyszli na ulicę, ruszyli na Długą ku arsenałowi, zajętemu przez spiskowców, i uzbroili się w karabiny.

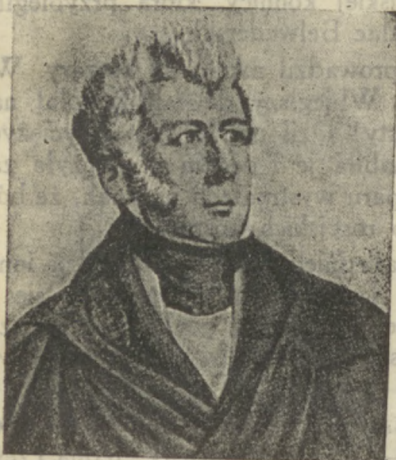
Ale zamęt w mieście rósł. Niektóre polskie oddziały zabierali spiskowym starsi oficerowie i prowadzili je pod rozkazy w. księcia. Kiedy Wysocki z podchorążymi doszedł do arsenału, położenie było takie, że gdyby w. książę był uderzył na powstańców, byłby ich łatwo zwyciężył.

Oswobodzenie kraju. Lecz Konstanty zwlekał. A tymczasem widok uzbrojonego ludu przeciągał posłuszne jeszcze w. księciu wojska polskie na stronę spiskowych. Dzięki temu około północy zaczęło się położenie powstańców znacznie poprawiać; rano siły polskie i w. księcia były już jednakowe, po czym Konstanty, po nieudanych układach, opuścił z rosyjskim wojskiem Królestwo.

35. GROCHÓW

Przeciwnicy. W niezbyt mroźny lutowy poranek r. 1831 stał 4 pułk piechoty w polu pod wsią Grochowem, po lewej stronie drogi, dziś ulicy Grochowskiej na Pradze pod Warszawą. Razem z trzema innymi pułkami tworzył on dwie brygady, czyli dywizje; jej dowódcą był generał Skrzynecki. Na prawo od niej, za drogą, stała druga dywizja, na przedzie trzecia pod wodzą generała Żymirskiego, a z tyłu dywizja konnicy. Razem stało na Grochowskich polach około 36.000 wojska z przeszło 100 działami; armią tą dowodził jako naczelny polski wódz, generał Radziwiłł, a właściwie jego doradca, generał Józef Chłopicki.

Dawno już wystąpił on z wojska; powstanie listopadowe powołało go znowu i postawiło na czele polskiej armii, ale i tę godność wkrótce złożył nie wierząc w powodzenie wojny z Rosją.



Józef Chłopicki

przed kilku dniami wytrzymali w niej czwartacy od rana do zmroku piekło ataków paru rosyjskich brygad, co ich niezmiernie wślawiło.

Pomiędzy laskiem a czwartakami, którym dowodził dzielny pułkownik Bogusławski, stała jedna brygada dywizji Żymirskiego; druga broniła Olszyny.



już nadbiega 10 świeżych batalionów, porywa z sobą cofających się, uderza na wał, otacza go z boków i z bagnetem w rękę wdziera się do lasku.

Naprzeciw Polaków, pod lasami, na wschód od Grochowa, rozłożył się rosyjski generał Dybicz z wojskiem liczącym 65.000 ludzi i przeszło 200 dział.

Czwartacy. Wkrótce pod lasem wzdłuż całego rosyjskiego frontu wykwitły obłoczki białawego dymu i rozległ się ryk armat. Gwar głośnych rozmów w pułku czwartaków nieco przycichł. Zamilkli ci ulubieńcy Warszawy, „warszawskie dzieci”, jak nazywano ten pułk, który rekrutował się w stolicy; stojąc u grochowskiej drogi patrzyli na niedaleki, o kilkaset kroków oddalony, olszynowy las, sterzący gęstwą bezlistnych konarów spośród przymarzłych mokradel. Olszynka ta wybiegła pod sam rosyjski front;

Olszynka. Armaty wroga nieco przycichły. Z rosyjskiego frontu odrywa się kilka batalionów i pędzi ku Olszynie. Rosyjskie bataliony, w mundurach podobnych do polskich biegną, szczerbione ogniem polskich dział. Ale w szczerby powstałe w czole biegnących szeregów wsuwają się z tylnych szeregów nowe granatowe postacie i zwartą ławą, chłop przy chłopie, nadbiegają pod Olszynkę. Nagle wał chroniący Olszynkę zionął ogniem karabinowej salwy, po czym rozległo się gęste stukanie strzałów rozsypanej po lasku piechoty. Napastnik miesza się, ale

W brygadzie stojącej przed czwartakami krótkie poruszenie. Pada komenda; jeden z pułków rusza szybkim krokiem i za chwilę niknie w Olszynie. Olszynka rozbrzmiewa nieregularnym trzaskiem karabinów, aż nagle wybuchą krzykiem, mrozącym krew w żyłach.

— Na bagnety! Biją się na bagnety! — wykrzykują czwartacy. — Widać ich! Tam, z prawej strony lasu! Wyrzucają Mochów! Mochy uciekają! Wiwat Żymirski!

Chłopicki. Ale spod lasów stacza się nowych 20 batalionów. Ponuro spogląda Żymirski na groźną powódź. Czym ją zatrzyma? 36 rosyjskich batalionów przeciw jego 9, a i tym brakuje prawie połowy ludzi, reszta zaś, wyczerpana parogodzinnym bojem, ustępuje przed tłoczącym się do lasu wrogiem. Wtedy Chłopicki zabiera 10 batalionów z dywizji Skrzyneckiego i jedzie ku Olszynie na gniadym koniu, w jasno popielatym płaszczu i lśniącym wysokim cylindrze na głowie. Przy dźwięku trąb i grzmocie bębnow, z nadstawionymi bagnetami, idzie pułk czwarty zgrabnym, tancernym krokiem. Wchodzą w zasięg rosyjskiego działowego ognia; ktoś jęknie, ktoś pada bez jęku, a idący zasuwiają sobą próżne miejsca i wchodzą w Olszynkę.

„Hej, kto Polak, na bagnety! Żyj swobodo! Polsko żyj!” — rozlega się w lasu powstała w tej wojnie pieśń — i 10 świeżych batalionów wraz z resztkami dywizji Żymirskiego wpada jak burza na wroga. Straszliwe uderzenie osadziło go na miejscu. Broni się czas jakiś uparcie, aż wreszcie słabnie. Niewprawny w walce na bagnety zaczyna się chwiać, w końcu miesza swoje szyki i ucieka. „Wszystko, co nie zdołało uciec z Olszynki, legło w niej” — opowiadał potem uczestnik tej krwawej bitwy, a Dybicz widząc, co się dzieje rzekł do swego otoczenia:

— Teraz każdy z nas musi zapłacić swoją osobą!

Utrata zwycięstwa. Aby dokończyć zwycięstwa, posłał Chłopicki rozkaz dwu generałom stojącym ze swoimi oddziałami poza polem bitwy, aby natychmiast uderzyli na wroga. Lecz Chłopicki nie był wodzem i jego rozkaz nie znalazł posłuchu, zanim zaś Radziwiłł wydał potrzebne rozkazy, Dybicz opamiętał się i rzucił na Olszynkę całą swoją armię. Chłopicki pada, ciężko ranny w obie nogi, a kiedy go odwieziono do miasta, dowódcy dywizyj wycofali się już o zmroku do Warszawy.

Stolica była ocalona, ale zapłaciła za to stratą kilku tysięcy ludzi, a między nimi Żymirskiego, który zginął w Olszynie, rażony armatnią kulą.

36. O PRĄDZYŃSKIM I ZWYCIĘSTWIE POD IGANIAMI

Wódz i jego doradca. Nie było w polskim wojsku lat 1830—31 generała, który by zdolnościami mógł się równać z Ignacym Prądzyńskim. Był on jednym z głównych doradców generała Skrzyneckiego, który po bitwie grochowskiej został naczelnym wodzem armii polskiej. Skrzynecki, nieu-

straszony żołnierz, ale najnieudolniejszy dowódca, dał się Prądyńskiemu nakłonić do uderzenia na armię rosyjską, poroziąganą szeroko na prawym brzegu Wisły. Plan Prądyńskiego okazał się znakomity;



Ignacy Prądyński

uderzenie przyniosło Skrzyneckiemu parę zwycięstw, które odpedziły wroga spod stolicy i zagnały go pod Siedlce i Łuków.

Niestety, naczelny wódz, syt sławy, zaczął zwlekać i opóźniać poruszenia wojsk polskich. Z tego powodu przerywał działania wojenne na całej dobie.

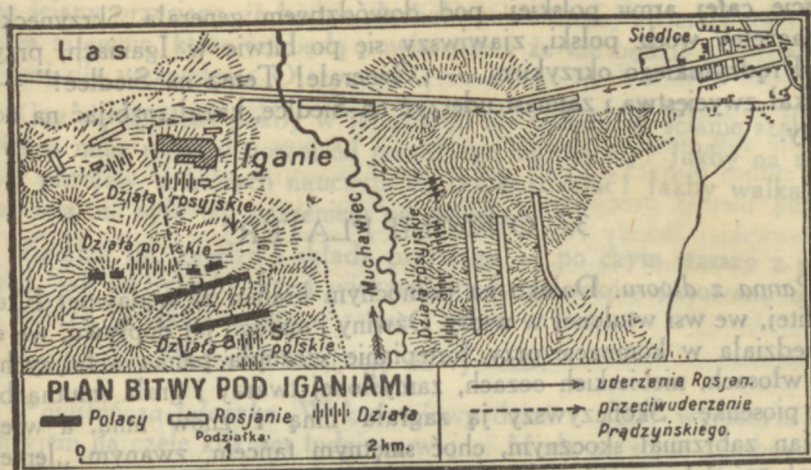
Iganie. Niedaleko Siedlec, nad rzeczką Muchawcem, rozsiadła się na wzgórzu wieś Iganie. Połączona była ze Siedlcami mostem, przez który wówczas prowadziła szosa, czyli bita droga z Siedlec do Warszawy. Pewnego wiosennego przedpołudnia napłynęło do wsi wiele rosyjskiego wojska. Był to generał Rosen (Rozen), który wycofał się przed powolnym pościgiem Skrzyneckiego i stanął w Iganiach, aby bronić Siedlec

przed tuż, tuż nadchodzącym, jak sądził, polskim wodzem. Ale Skrzynecki był oddalony o 30 km na zachód, gdy Rosen rozstawiał już swe wojska po obu brzegach Muchawca.

Wkrótce po Rosenie nadbiegł pod Iganie Prądyński i stanął pod lasem, na południe od wsi. Przed nim pola, lekko opadające na prawo ku Muchawcowi; za polami, we wsi, rosyjska piechota, przed nią działa, a na lewo od niej konnica. Na prawo, ku Siedlcom, silna obsada mostu na Muchawcu, a za rzeczką pozycje artylerii. W dodatku wróg może go obejść od tyłu, przeprawiając się przez wygodne przejście w górze Muchawca; ma na tyle sił, bo liczy przynajmniej kilkanaście tysięcy ludzi i kilkadziesiąt dział, kiedy korpus Prądyńskiego składa się z połowy zaledwie tej liczby żołnierzy i kilkunastu armat.

Prądyńskiego czeka pierwsza bitwa, którą ma stoczyć samodzielnie. Rozstawia wojsko na skraju lasu i pyta starszych oficerów o radę.

Znany z waleczności generał Kiki, dowódca piechoty w tej bitwie, radził wycofać się, zaś młody dowódca artylerii, major Bem, sławny później generał w węgierskim powstaniu przeciw Austrii, był za wydaniem bitwy.



Bitwa. Prądyński wahał się czas jakiś; kiedy jednak zagrzmiały rosyjskie armaty, przyjął bitwę i rozkazał 2 pułkom piechoty ruszać na Iganie. Trzeci, ostatni, został w lesie, w odwodzie.

Rozsypują się oddziały piechoty i podsuwają ku wsi kryjąc się w nierównościach gruntu. Z przodu spod Igań i z prawego boku zza rzeki praży ich ogień dział. Czekają ich 2 km takiej drogi. Mimo woli usuwają się w lewo, z wdzięcznością oglądając się na swoją artylerię, którą major Bem nie przerywając ognia wysuwa spod lasu na bliższy wrogowi pagórek. Wtem 2 bataliony na prawym skrzydle zrywają się i z bagnietem w rękę wpadają do wschodniej polacy wsi odcinając tym samym nieprzyjaciela od mostu. Widzi to Rosen i pędzi zza rzeki sześć świeżych batalionów, które przebiegają most, spychają Polaków na pole i suną za nimi ku laskowi długą kolumną, jakby szli gościncem, zostawiają po prawej swej stronie resztę polskiego korpusu.

Był to wielki błąd rosyjskiego wodza, w lot wyzyskany przez Prądyńskiego. Przede wszystkim Moskale zza rzeki przestali strzelać, aby nie razić swoich, Prądyński zaś wysłał Kickiemu rozkaz, aby się dalej cofał i ciągnął za sobą długi ogon Moskali, a sam staje na czele piechoty i uderza na Iganie. Bez wystrzału, bagnietem tylko wyrzuca ze wsi wroga i pędzi go ku mostowi; tu staje i zwraca się przeciw powracającej wzdłuż rzeki rosyjskiej kolumnie. Następuje krótka walka na bagnety, kolby i pięści, a wreszcie większa część owych 6 batalionów składa broń. Rozbita również została cała jazda Rosena; 3.000 zabitych i rannych, 1.500 jeńców, 2 działa i 1 chorągiew pułkowa — oto plon kilkugodzinnej bitwy, w której straty polskie nie przeniosły liczby 500 ludzi.

Niewyzyskane zwycięstwo. Prądyński chciał dalej ścigać Rosena i zdobyć Siedlce, ale wojsko jego było nieliczne i zbyt zmęczone bitwą, by móc się z nim pokusić o Siedlce. Zwycięzca był więc zmuszony czekać na

nadejście całej armii polskiej pod dowództwem generała Skrzyneckiego. Zaś naczelny wódz polski, zjawiwszy się po bitwie w Iganiach, przyjęty przez Prądyńskiego okrzykiem — „Generale! Teraz na Siedlce!” — nie wyzyskał zwycięstwa i zamiast uderzyć na Siedlce, kazał rozbijać na nocleg namioty.

37. O EMILII PLATER

Panna z dworu. Daleko na północnym krańcu ziem dawnej Rzeczypospolitej, we wsi wtulonej w widły Dźwiny i małego jej dopływu, we dworze, siedziała w komnacie przy fortepianie szczupła panna o bujnych, jasnych włosach, niebieskich oczach, zamyślonej twarzy i grała smutną białoruską piosenkę. Skończywszy ją zagrała inną i znów inną, a wreszcie fortepian zabrzmiał skocznym, choć smętnym tańcem, zwanym „lepietuszką”, tak zaś dobrze oddawał tony wiejskiej muzyki, że słyszało się wyraźnie piskliwe zawrozczenia skrzypiec i pomrukiwania basetli, zwanej „basodudami”.

Panna Emilia kochała lud wiejski i jak pieśnią, tak ciekawiła się także jego zwyczajami i obrzędami, a nawet opisywała je, jakby była uczonym etnografem, tj. badaczem ludowych zwyczajów.

Panna rycerz. W lutym r. 1831 w pokoju Emilii siedzieli dwaj młodzi Platerowie, uczniowie dynaburskiej szkoły podchorążych.



Emilia Plater. (Rzeźba)

Mówili o powstaniu. Już chłopci na Żmudzi nie czekając wkroczenia polskiego wojska gromadzą się po lasach i biją Moskali. Niedługo na całej Litwie wybuchnie powstanie. Czy Platerowie mają być ostatnimi? Dwaj podchorążowie obmyślili plan opanowania Dynaburga. Wiedzą, gdzie się chowa na noc klucze od bram twierdzy. Emilię lud wiejski kocha i pójdzie za nią, kiedy go wezwie do powstania. Niech więc w oznaczony czas przyjdzie ze stryjem i z chłopami, a łatwo opanuje się twierdzę i pokona załogę. I jak to pięknie będzie: czworo Platerów zdobędzie Dynaburg!

Drżąc, z wypiekami na twarzy, słucha Emilia słów krewniaków. Czy zgadza się na ich plan? I czy złoży na szablę zdję-

tą ze ściany przysięgę, że będzie słuchała powstańczej zwierzchności, że dotrzyma tajemnic, które jej będą powierzone i że nie będzie szczydziła swojej krwi dla wyzwolenia Ojczyzny?

Czy się zgadza! Jakby w jej pokoju nie wisiały na ścianie szable, którymi ona umie robić niegorzej od niejednego mężczyzny! Jakby na stole nie leżały pistolety, z których nauczyła się celnie strzelać! Jakby walka ożreńska z zaborcą nie była jej marzeniem od dziecka!

Zgadza się, zgadza i składa przysięgę — po czym starszy z podchorążych, jak to bywało przed wiekami, kiedy giermków pasowano na rycerzy, uderza ją lekko szablą w ramię i mówi:

— Emilio Plater! Pasuję cię na rycerza!

Powstańcza tułaczka. W kwietniowy dzień r. 1831 wyruszyła Emilia ze stryjem na czele kilkuset ludzi na wojnę. Miała na sobie zgrabny, z szarego, domowej roboty, sukna uszyty mundur i granatową, na bakier założoną czapczkę. Na piersi widniała biało-czerwona kokarda, a mały pałasz i dwa pistolety u pasa. Za nią ludzie uzbrojeni, jak kto mógł: trochę strzelb, zresztą kosy. Ale napad na Dynaburg nie powiódł się; po drodze spotkano 2 rosyjskie bataliony i 4 działa. O bitwie nie było mowy; za to oddział wpadł do najbliższego miasteczka i wyrzucił stamtąd Moskali. Znow zastępują mu drogę większe siły, znow trzeba się cofać i tak, to bijąc, to wymykając się, posuwał się oddział Platerów na zachód ku Żmudzi. Wtem na Litwę przedarł się z Królestwa dzielny generał Chłapowski z kilkuset ludźmi i zaczął z powstańców tworzyć regularne wojsko. Weszła w nie i Emilia jako porucznik dowodzący kompanią, do której w Wilkowie rzu przyłączyła się panna Raszanowiczówna, wierna towarzysza Emilii do końca powstania.

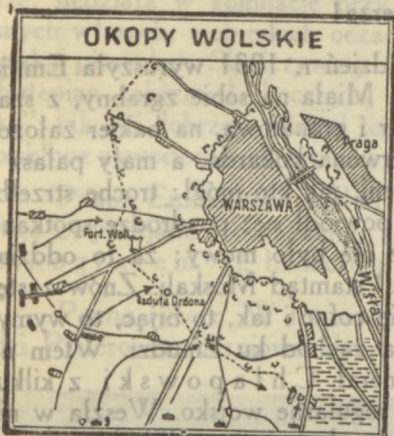
Pełna zapału, wymowna, mężna w boju, przytomna w niebezpieczeństwie, porucznik Emilia Plater stała się dobrym duchem swego oddziału. Kiedy raz pułk wpadł w zasadzkę, dziewczyna wśród padających zza drzew strzałów, wśród tłoku żołnierzy, kwiku przerażonych koni, nie straciła głowy i bez cięższych strat wyprowadziła swoją kompanię z potrzasku. W bitwie pod Kownem odpierając wroga o mało nie dostała się do niewoli; ocalił ją jej dowódca batalionu, co sam przepłacił wolnością.

Upadek powstania litewskiego. Chociaż powstanie litewskie odcięło chwilowo armię rosyjską w Królestwie od Rosji, to jednak wkrótce upadło. Ale Emilia ze stryjem i towarzyszką puściła się ku Królestwu, do polskiego wojska. Mijały im dni na przekradaniu się o głódzie i nocnym chłódzie przez puszcze i bagna. Emilia ciężko zachorowała. Zaniesiono ją do pewnego dworu, gdzie powoli odyskiwała zdrowie, kiedy niespodzianie dowiedziała się — co długo przed nią tajono — że Warszawa upadła i wojna skończyła się klęską.

Ta wiadomość dobiła bohaterką dziewczynę. Umarła przy końcu roku 1831.

38. O OBRONIE WOLI

Generał o kuli. Z boleścią patrzył generał Józef Sowiński na konanie powstania. Już od kilku miesięcy Warszawa była okrążona przez przeważne siły rosyjskie; potem pierścień wrogów zacieśnił się i w jesieni r. 1831 stolica mająca na swą obronę 30.000 wojska została obleżona przez trzykrotną niemal przewagę Moskali. Stary, siwy generał, wychowanek stanisławowskiej Szkoły Rycerskiej i kościuszkowski powstaniec, który stracił nogę w wyprawie Napoleona na Moskwę, zgłosił się do dowództwa armii i prosił, by mu powierzono obronę najniebezpieczniejszego stanowiska, którym była Wola.



Fortyfikacje Warszawy w r. 1831

Wola. Na prawo i na lewo od Woli usypano szereg redut, tj. niewielkich okopów, nie połączonych między sobą wałami ani rowami. Reduty te obiegały miasto pasem, długim na półtrzeciej mili; wolskie okopy były w tym pasie umocnieniem największym i najważniejszym.

Zajmowały one kilka morgów powierzchni okopanej w kwadrat rowem i wałem. Kąty wydłużone w ostre rogi, tzw. *bastiony*, przeznaczone były do czuwania nad przyległymi bokami i w tym celu obsadzone kilkunastu działami.

Woli ruch. Nadjeżdżają liczne rosyjskie baterie i stają naprzeciw Woli i dwu sąsiednich redut. Ileż tych baterij! A każda z nich liczy 4 działa, a w okopach Woli wszystkiego 13 przeważnie starych armat, zdobytych przez Moskali na Turkach i jeszcze przez Napoleona na Prusakach!

Nagle zagrzmiało 70 dział, dzieląc ogień między Wolę i dwie przyległe reduty. Generał Sowiński sam komenderuje swoimi 13 działami.

— Cel! 800 kroków! Wyżej! Niżej! Pal!

Stare armaty spadają po każdym strzale z lawet.

Ale cała wściekłość nieprzyjacielskiego ognia kieruje się na obie boczne reduty. Jedna z nich milczy. Wróg zrozumiał, że nie ma w niej nikogo. Tym więcej armatnich otworów kieruje się na drugą. Tam są tylko 3 działa i 200 pieszych pod wodzą porucznika Lenieckiego.

Aby pomóc Lenieckiemu, generał kieruje armaty ku jego reducie, odpędzając naciskających na nią z trzech stron Moskali.

Leniecki niedługo wytrzyma. Generał wysłał oficera do dowódcy dywizji po pomoc: na wolskie okopy idzie 70 armat i przeszło 20 batalionów!

Ale tylko jeden batalion przybiegł na pomoc Woli i tylko 12 dział

przytoczył Bem, wówczas już generał, i ustawił je paręset kroków za okopami.

Tymczasem Leniecki zginął i jego reduta padła, a kiedy Bem ustąpił, Sowiński znalazł się z 13 armatami i 2.000 ludzi pod krzyżowym ogniem, ziejącym nań z przodu i obu boków.

Szło już tylko o to, by jak najdrożej sprzedać życie.

— Cel! 300 kroków! Niżej! Pal! — brzmiała spokojna komenda, głuszona grzmiotem kilkudziesięciu dział.

Lecz polski ogień był rzadki i coraz rzadszy. Obsługa armat ginęła, padała piechota, ukryta między drzewami wewnątrz okopów, a ogień nieprzyjacielski nie miał końca.

— Cel! 250 kroków! Pal! — komenderuje generał o kuli, zastępując padłych i ranionych artylerzystów piechurami i przygotowując się w duchu na śmierć.

— Cel! 200 kroków! Pal!

Karabiny. Ura-a! — zrywa się nagle krzyk 10.000 Moskali pędzących z bagnetem w ręku po 4 bataliony na każdy z boków wolskiego kwadratu. Ale przed wrogiem rowy i doły, a z wałów grzmi ogień piechoty, jeden zaś z bastionów zdołał jeszcze z kilku armat gruchnąć rozstrzaskającymi się kartaczami w mrowie nadbiegającego wroga.

Jak spryskane ukropem robactwo zamieszały się bataliony następujące na jeden z boków wolskiego kwadratu, a nie śmiejąc powtarzać ataku na zawsze groźny bastion, przyłączyły się do sąsiedniej kolumny. Tej udało



Śmierć generała J. Sowińskiego

się wtargnąć przez osypujący się rów na wały. Dwa razy Moskale zostali zepchnięci do rowu, więc rosyjski wódz pcha do boju świeżych 10 batalionów. Pędzą z krzykiem po pewne zwycięstwo. Dziesięciu na jednego. Setki ich giną od celnych strzałów; na ich miejsce podbiegają inni. Wyścielają rowy swoimi trupami, po nich przechodzą następni. Karabiny umilkły; tłumy wrogów zalewają topniejącą garść obrońców Woli. Siwy generał o drewnianej nodze cofa się z garstką swoich ku kościołowi; wparci do wnętrza stają przy oltarzu.

— Podдай się! — krzyczy rosyjski oficer do generała.

A Sowiński w odpowiedzi wypala do niego z pistoletu i pada, przeżyty kilku bagnietami.

Koniec powstania. Za parę dni poddała się Warszawa, a resztki wojska opuściły kraj składając broń na granicach pruskiej i austriackiej i poszły na tułaczkę do obcych krajów.

0039. O ADAMIE MICKIEWICZU

Przewódca narodu. Po upadku powstania prawie wszyscy, którzy w nim brali udział, wywedrowali z kraju na obczyznę. Najwięcej uchodźców, czyli emigrantów, znalazło się we Francji, gdzie też przebywał Adam Mickiewicz. Uczył on obcych o Polsce, zjednywując dla niej przyjaciół między cudzoziemcami, a rodakom wskazywał, że są wysłańcami,



Adam Mickiewicz

apostołami Polski, jakby Chrystusa narodów, umęczonej za wolność wszystkich ludów. Uczył tego Mickiewicz w „Ksiągach pielgrzymstwa polskiego”, dziele sposobem pisania podobnym do biblij. Ta i inne jego książki, przywożone potajemnie do kraju, podsycały w nim nadzieję lepszej przyszłości i sprawiły, że dawny filomata wyrósł na duchowego przewodcę narodu.

Nowe dzieło. Cicho więc, by nie przeszkadzać pracującemu w sąsiednim pokoju poecie, rozmawiali pewnego wieczoru w domu, na przedmieściu Paryża, czterej jego przyjaciele. Z dołu dochodzi głuchy tupot koni, bo

mieszkanie znajduje się nad stacją, spoza drzwi słychać skrzypienie gęsiego pióra, a goście czekają cierpliwie, kiedy gospodarz do nich wyjdzie i z mokrych jeszcze kartek odczyta, co napisał. Wiedzą oni dobrze, że przy nich

powstaje dzieło znakomite, jakiemu równego nie posiada Polska, a może nawet cała Europa.

Jest ono pełne tęsknoty za Ojczyzną, jak o tym czytamy zaraz na początku książki:

.....Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!

Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie

Widzę i opisuje, bo tęsknię po tobie".

Toteż nowy poemat mówi tylko o Polsce, o jej niedoli, o tym, jak w niej w czasie wojen napoleońskich żyła, bawiła się i walczyła z Moskalami nasza szlachta.

Wtem do pokoju wszedł rozpromieniony Mickiewicz.

— Chwała Bogu! Oto w tej chwili podpisałem pod „Panem Tadeuszem” słowo „koniec”.

Więc rzucono się ku niemu wznosząc na jego cześć okrzyki, witano bowiem dzieło, które bardziej Polskę wślawiło, niż niejedna wygrana bitwa.

Ludzie w Panu Tadeuszu. Pisząc „Pana Tadeusza”, poemat, który nazwał powieścią szlachecką, miał Mickiewicz serce tak przepełnione miłością ku Ojczyźnie, że wszystko, co mu jego nadzwyczajna pamięć stawiała przed oczy, wydawało mu się dobrym i pięknym. Wprawdzie bohaterowie jego opowiadania, to ludzie zwyczajni, często może śmieszni, ale w każdym z nich jest coś dobrego i w chwili niebezpieczeństwa Ojczyzny budzi się w nich tyle dzielności, odwagi i poświęcenia, że trzeba ich kochać zapominając zupełnie o ich ułomnościach.

Przyroda. Ale najpiękniej wygląda w tym poemacie przyroda polska. Żyje ona życiem ludzi: w ogrodzie warzywnym kapusta „schyla sędziwe łysiny”, bób „obraca tysiąc oczu” na marchew, a „otyły harbuz wtoczył się jak gość między buraki czerwone”, w lesie zaś drzewa stanowią rodzinę składającą się ze starców, dzieci i wnuków, a otoczoną krzewami, które „liśmi wzięły się za ręce, jak do tańca stojące panny i młodzieńce”. I tak wszystko w oczach poety nabiera życia i aż kąpie się w blaskach piękna, choćby to były tylko — żaby: poeta prawdziwe cuda opowiada o koncerście żabim twierdząc, że „żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie”.

Wielka „fraszka”. Czyż to więc dziwne, że dzieło, które wypłynęło z tak bardzo kochającego serca, trafiło wszędzie do serc ludzkich i że je wszędzie pokochano? I to nie tylko w Polsce uznano w „Panu Tadeuszu” wielkie, znakomite dzieło, ale i za granicą, przetłumaczono je bowiem na języki wszystkich prawie oświeconych narodów świata i wszystkie podziwiała i podziwiają jego piękno.

W ten sposób zrównał Mickiewicz poezję polską z poezją najpotężniejszych i największych narodów świata, choć sam później „Pana Tadeusza” uważał za coś mało wartościowego, za „fraszkę” i postanowił, że „nigdy już pióra na fraszki nie użyje”. Przyszedł bowiem do przekonania, że „to tylko dzieło czegoś warte, z którego człowiek może poprawić się i mądrześci nauczyć”.

Wierność filomackim hasłom. Aż do śmierci pamiętał Mickiewicz filomackie hasła: „ojczyzna, nauka, cnota” i im poświęcał całe swoje życie.

Marzył o walce za niepodległość Polski — toteż, kiedy wybuchła wojna, którą Francja i Anglia wypowiedziały Rosji w obronie Turcji, Mickiewicz porzucił Paryż, pojechał do Turcji i zaczął tam zbierać legion polski, by wyruszyć z nim przeciw Moskalom. Ale wśród trudów obozowych niespodzianie zachorował i umarł. Ciało jego przewieziono najpierw do Paryża, później zaś, po latach, do Krakowa i pochowano je w grobach królewskich na Wawelu. Kiedy bowiem Polsce zabrakło królów i hetmanów, Mickiewicz zajął ich miejsce, dziełami swymi prowadząc naród ku wolności.

40. O FRYDERYKU SZOPENIE

Koncert na poczcie. W poczekalni pocztowego budynku pewnego małego niemieckiego miasteczka czekają dwaj Polacy.

Są niezadowoleni z przerwy w podróży: na poczcie nie ma na razie wypoczętych koni. Trzeba na nie parę godzin poczekać.

Młodszy z podróżnych, chłopiec szesnastoletni, rozgląda się po wielkiej poczekalni i dostrzega okryty pyłem fortepian. Podchodzi do niego i za chwilę z instrumentu płyną melodie to wesole, to rzewne, a wykonane tak doskonale, jakby grający był osiwiiałym w swej sztuce mistrzem. Upływa godzina, druga, aż wreszcie pod oknami sali rozlega się turkot powozu i krzyk woźnicy. Młodzieniec zrywa się od fortepianu i staje zdumiony: sala pełna ludzi, którzy w ciszy przysłuchiwali się grze, a teraz błagają młodzieńczego artystę, aby im jeszcze coś zagrał.

Polacy wzbraniają się. Muszą jechać. Nie mają czasu: i tak już stracili parę godzin. Wtedy do rozmowy miesza się pocztmistrz i prosi, aby zostali, a on im za to da takie konie, że nadrobią stracony czas.

Nie było rady, trzeba było zostać i grać. A gdy po godzinie wśród dziękczynnych okrzyków podróżni wsiadali do powozu, obładowano „kochanego, serdecznego Polaka” przyśmakami i obsypano kwiatami.

Wielki artysta. Tym młodzieńczym Polakiem, który grą swą oczarował muzykalnych Niemców, był Fryderyk Szopen, jeden z największych muzyków świata. Później, po kilku latach, gdy ustawiczne ćwiczenia doprowadziły grę jego do nieporównanego mistrzostwa, słuchanie jej stało się dla miłośników muzyki najwyższym szczęściem.



Fryderyk Szopen (plaskorzeźba)

Szopen był jednak nie tylko wykonawcą obcych utworów, ale też, i to przede wszystkim, sam był twórcą. Stwarzane melodie zapisywał nutami, dzięki czemu można dziś i będzie można do końca świata odczytywać i wygrywać na fortepianie jego arcydzieła i rozkoszować się ich czarodziejskim pięknem.

Ale Szopen stworzył coś więcej niż piękne, artystyczne dzieła muzyczne: stworzył polską muzykę o odrębnym swojskim charakterze.

Polska muzyka. Nie było jej prawie przedtem. Ludzie wykształceni zajmowali się muzyką obcą, zwłaszcza najślawniejszą ze wszystkich, włoską, a „po swojemu” tylko lud wiejski nucił sobie w chwilach radości czy smutku, tak jak śpiewają ptaszki, prosto od serca. Rzewność tych naszych pieśni ludowych umiał podsłuchać Szopen i przejąć się nimi tak, że potrafił zaśpiewać podobnie jak nasz lud. Nie naśladował jednak tego, co lud już stworzył, lecz stwarzał nowe melodie, podobne do tamtych jak rodzeństwo. Tylko, że on te dzieci swego ducha przystrajał we wszystkie klejnoty sztuki i przedstawiał je światu w szacie tak doskonałej, że równe były albo i przewyższały arcydzieła muzyków obcych. Było to tak, jakby kto na wzór chłopskiej siermięgi wymyślił przebogaty uroczysty strój i pokazawszy się w nim na królewskim dworze, wywołał podziw i zachwyt.

Mazurki. Polonezy. Szopen wychował się w Warszawie i jej okolicy, wśród Mazurów, którzy mają swój własny, odrębny rodzaj tańca („mazur”) i odrębny, smętny ton piosenek. Toteż „mazurkami” nazwał Szopen te swoje utwory muzyczne, w których, przebywając z daleka od kraju, w Paryżu, wyrażał tęsknotę za ojczyzną na nutę tęsknych piosenek ludowych. Kto się w te mazurki sercem całym wsłucha, usłyszy gwary wsi polskiej, tupot tańca w karczmie i radosne pokrzykiwania, ale najwięcej znajdzie w nich tęsknych żalów i szlochania.

Istniał w Polsce od dawna taniec zwany polonezem, co po francusku znaczy „polski taniec”. Odznaczał się on wielką powagą; właściwie bowiem jest to rodzaj uroczystego pochodu. Z poloneza uczynił Szopen drugi rodzaj utworu narodowego: w mazurkach wypowiadał swą tęsknotę, w polonezach swą dumę narodową. Razu jednego, kiedy w natchnieniu tworzył najwspanialszy i najślawniejszy swój polonez, wydało mu się, że drzwi się nagle otwarły i do jego pokoju wszedł długi szereg zmarłych królów i hetmanów i w ruchu tanecznym stąpał wokoło niego, a wrażenie było tak silne, obraz tak wyraźny, że Szopen zerwał się i po prostu uciekł z pokoju. Podobne widzenia nasuwają i nam jego arcydzieła opiewające potężnymi tonami wielkość i chwałę ojczyznej historii.

Wielkość Szopena. Gdy sława Szopena rozeszła się po świecie, postanowił car Mikołaj I dać mu wielkie odznaczenie, aby przypomnieć światu, że sławny artysta jest jego poddanym. Ale Szopen odmówił przyjęcia zaszczytu powołując się na to, że jest emigrantem.

Carski wysłaniec zauważył, że Szopen przecież nie walczył w powstaniu.

— Jakkolwiek nie brałem udziału w rewolucji 1831, gdyż byłem na

to za młody, to jednak sercem byłem z tymi, którzy wówczas krew przelewali. Dlatego uważam się za emigranta — odpowiedział Szopen.

Największym dobrem ludzkości jest skarbnica, w którą każdy naród składa najwspanialsze dzieła nauki i sztuki. Mickiewicz do bogactwa rodu ludzkiego dodał polską poezję, Szopen zaś polską muzykę narodową.

41. O WIEŹNIACH MOABICKICH

Poznań po powstaniu listopadowym. Po upadku powstania listopadowego więcej swobody, niż gdzie indziej na ziemiach polskich, było w zaborze pruskim. Tu też, w Poznaniu, gromadzili się patrioci chroniący się przed prześladowaniami rosyjskimi i austriackimi; tu pisano książki, wydawano gazety i tu stworzono tajne stowarzyszenie, obejmujące całą Polskę, które przygotowywało się do nowego powstania.

Wódz w więzieniu. Tymczasem, tuż przed wybuchem zamierzonego powstania, został w pewnym dworze pod Gniezmem zaaresztowany Ludwik Mierosławski, upatrzony na wodza porucznik z wojny r. 1830/1. Wywieziono go do Poznania i osadzono w więzieniu, po czym do więźnia przyszedł policyjny urzędnik, by go nakłonić do wyjawienia spisku.

Mówił, że władze wiedzą wszystko. Wiedzą np., że Mierosławski jest wodzem spisku. Wiedzą, że układał napad na Winiary, tj. poznańską fortecę. Za to grozi mu kara śmierci. Ale jeżeli wyzna wszystko, co wie, będzie darowana wina tak jemu, jak i innym spiskowym.

Mierosławski był człowiekiem wielkich zdolności. Znakomity mówca, umiał przekonać wielu, że może zdziałać dla sprawy wyzwolenia Ojczyzny więcej niż każdy inny. Wprawdzie byli tacy, którzy w to nie wierzyli, ale tych Mierosławski pokonywał zręcznością swojej wymowy i zjadliwością swego pióra.

Był więc wódz uważany przez wielu Polaków za człowieka wielkiego. Takie też mniemanie miał sam o sobie. Ale w więzieniu nie wystarczały jego zdolności; tam trzeba było być człowiekiem nieugiętym. A takim Mierosławski nie był. Toteż przestraszony groźbą śmierci, wyjawił Prusakowi wszystkie tajemnice stowarzyszenia, wskutek czego policja uwięziła wiele setek ludzi, między nimi prezesa spisku, Aleksandra Gutrego.

Prezes w śledztwie. Guttry badany przez sędziego śledczego odpowiadał niezmiennie, że nic nie wie o związku, nie słyszał o nim, a ludzi, o których pyta się sędzia, nie zna.

Czasem żartował sobie z Prusaka. Raz, kiedy sędzia powiedział, że wie wszystko, bo 13 oskarżonych zeznało, że Guttry był prezesem spisku, ten zapytał:

— Więc oskarżeni mają u pana wiarę?

— Najzupełniejszą, dają na to słowo!

— To niech pan pisze, że należę do związku, ale że mnie do niego przyjął pan sędzia...

Przez kilka miesięcy trwało śledztwo codziennie od rana do wieczora. „Nie wiem, nie słyszałem, nie znam” — oto były odpowiedzi dzielnego prezesa. A po śledztwie wracając znużony do celi zaczynał rozmowę z więźniem na górze, wybijając na powale litery alfabetu.

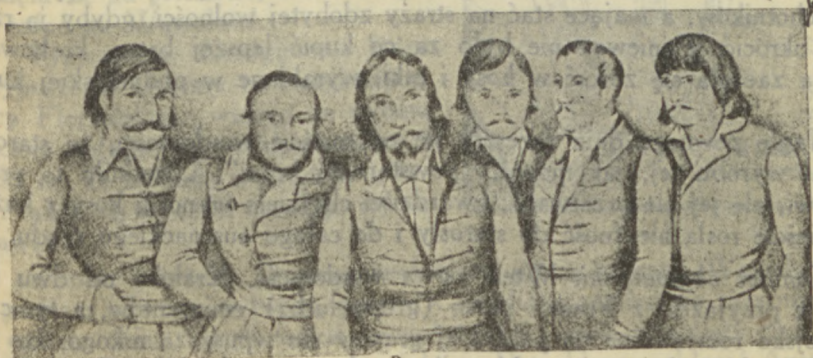
Moabit. Wreszcie po roku śledztwa zwieziono spiskowców z różnych stron do Berlina i osadzono ich w więzieniu w dzielnicy zwanej Moabit. Uczciwy zarządca więzienia daje Polakom wiele swobody, z czego korzystają schodząc się każdej nocy na rozmowę. Mierosławskiego jednak unikają; mało kto z nim rozmawia.

Jakże nieszczęsny wódz tłumaczył swoje zeznania, gotujące tylu ludziom śmierć lub więzienie?

Naprzód twierdził dumnie, że godność narodowa wymaga od spiskowców, aby się otwarcie przyznali do swoich zamierzeń. A później, kiedy go zapytano, czy to godność narodowa nakazała mu zdradzić sprawę przed wrogiem i unieszczęśliwić setki rodzin, oświadczył, że chce rozgłosić sprawę polską przed światem. Na proces przyjadą korespondenci pism z całej Europy; czy oskarżeni mają kłamać, że nie dążą do odbudowania Polski? Czy ze strachu przed karą mają Polacy dowodzić, że nie ma w nich gotowości poświęcenia dla Ojczyzny życia? Że po prostu nie ma już Polaków, nie ma Polski?

I Mierosławski w oczach niektórych ludzi znów stał się wielkim człowiekiem.

Proces. Długo ciągnął się proces. Do ogromnej sali rozpraw, napelnionej szczelnie publicznością i licznymi korespondentami zagranicznych pism, wprowadzały strażę szeregi oskarżonych. Wszyscy, nawet ci, co w śledztwie przyznali się do spisku, teraz odwoływali swoje zeznania. Także Mierosławski. Potwierdził wprawdzie swoje pierwsze zeznania, ale tylko co do organizacji i celów spisku, natomiast zaprzeczył, aby do związku należały osoby, które w śledztwie wymienił.



Grupa włościan-więźniów z Moabit

A później, kiedy dano mu głos, nie bronił ani siebie, ani towarzyszy. Bronił polskiej sprawy, a mówił tak, że ogromna sala przepełniona ludźmi zamiała w ciszy zasłuchania się. Kobiety zalewały się łzami, mężczyźni drżeli ze wzruszenia. I w śmiertelnej ciszy rozległy się w końcu słowa wyroku: Mierosławski z 7 towarzyszami skazani na śmierć, przeszło 200 innych na długoletnie więzienie, reszta, w niej Guttry, uwolnieni.

Na wolność. Ale wobec rozgłosu, którego nabral polski proces, wyroki śmierci nie zostały wykonane, a niedługo potem, na wiosnę r. 1848, wybuch rewolucji w Berlinie uwolnił wszystkich więźniów Moabit, Mierosławski zaś, na rękach przez lud wyniesiony, wygłosił na ulicy pełną zapału mowę do tysięcznych tłumów oklaskujących go berlińczyków.

42. O WIOSNIE LUDÓW

Dnie marcowe w Krakowie. Kilka dni przed berlińską wybuchła w marcu r. 1848 rewolucja we Wiedniu i ogarnęła wszystkie kraje austriackiego cesarstwa. Należał do niego także Kraków zagarnięty przez Austrię po nieudalym powstaniu. Kiedy więc do Krakowa przyszła wieść, że Wiedeńczycy obalili samowładne rządy i wymusili na cesarzu obietnicę nadania państwu konstytucji, pod krakowskimi więzieniami skupiły się tłumy ludzi żądając uwolnienia więzionych od 2 lat za udział w powstaniu spiskowców, a kilku znanych w mieście obywateli, między nimi Adam Potocki, udało się do przedstawiciela austriackiej władzy, tj. starosty krakowskiego obwodu i wymogło na nim wypuszczenie więźniów. Tłumy ścisnęły i całowały uwolnionych, przy czym dziękowały Potockiemu i jego towarzyszom, a nawet żołnierzom, którzy w więzieniach pełnili wartę, i wydawały okrzyki na cześć komenderującego w Krakowie generała.

Lud krakowski bratał się z Austriakami, podobnie jak upojeni zwycięstwem swojej rewolucji berlińczycy bratali się z uwolnionymi z Moabit Polakami.

Gwardia narodowa. Zmuszony przez rewolucję rząd wiedeński zgodził się, by obywatele tworzyli gwardię narodową, tj. zbrojne oddziały złożone z ochotników, a mające stać na straży zdobytej wolności, gdyby ją rząd chciał ukrócić. Ponieważ nie było za co kupić lepszej broni, krakowska gwardia zaczęła się zbroić w kosy i piki, wyrabiane w podmiejskiej kuźni Milera.

Nagle pewnego dnia rozeszły się po mieście wiadomości, że starosta zakazał wyrobu tej, jak mówił, „powstańczej broni”. Utrudniło to pracę Milerowi, ale jej nie przerwał; gwardziści chyłkiem wynosili kosy z kuźni, a w mieście rosła nieufność do starosty i do całego austriackiego rządu.

Komitet obywatelski. Wtem nowa wiadomość. Kraków od dwu dni oczekuje przyjazdu z Francji partii (grupy ludzi) emigrantów, a tymczasem wojsko rozstawione na pobliskiej granicy nie wpuszcza nikogo, kto nie jest austriackim obywatelem. Na ulicy wzburzenie. Ludzie odgrażają się staroście za emigrantów, za niedozwolenie gwardii broni.

— Niech Komitet Obywatelski idzie do starosty! Niech starosta cofnie swoje zarządzenia!

Komitet, który w Krakowskim kierował sprawą narodową, wybiera kilku spośród siebie i wysyła ich do starosty. Ten długo się opiera, ale wreszcie, gdy tłumy z ulicy wdarły się wywalając drzwi do jego kancelarii, godzi się na wszystko, by następnie władzę swą oddać w ręce komendującego generała Castiglione (Kastilione).

Barykady. Generał nie myślał o dotrzymaniu obietnic starosty. Jakoż nazajutrz rano oddziały wojska opasały kuźnię Milera, a policja zabrała kosy i piki. Do tłumy, który się zgromadził koło kuźni, wojsko dało salwę. Tłum pierzchnął, ale na wiadomość o rewizji i strzelaniu lud zaczął na ulicach śródmieścia budować barykady, jakby wały z dorożek, kamieni wyrwanych z bruku i domowych sprzętów.

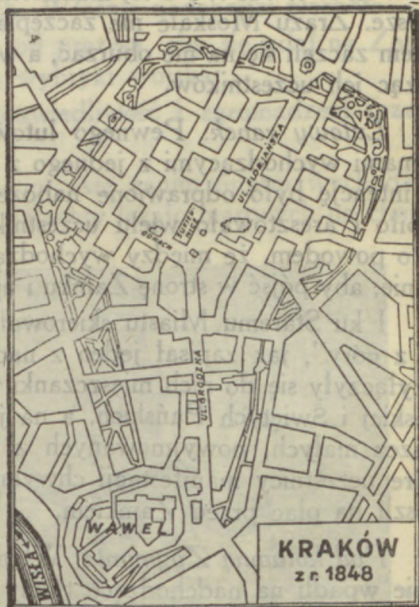
Na rynku, koło odwachu, czyli głównej wojskowej warty, stoją szeregi gwardii narodowej. Wtem zbliża się oddział wojska z karabinami gotowymi do strzału. Komendant gwardii, Adam Potocki, pyta się oficera, co znaczy ta wojenna gotowość? W odpowiedzi słyszy, że wojsko ma rozkaz zburzyć barykady i stłumić rozruchy. Potocki nakłania Austriaka, by się wstrzymał i obiecuje, że gwardziści usuną barykady i uspokoją ludność.

Ale barykady rozebrane pod okiem oficerów gwardii wyrastały natychmiast po ich odejściu. Z bocznej ulicy ku szeregom gwardii wyjrzały armaty austriackie. Ku gwardzistom podchodzi jakiś stary pan: „Stoją — mówi — pod lufami dział, niech się usuną pod Sukiennice, tam gdzie oddział austriackiej konnicy”.

Był to stary generał Chłopicki, który wówczas odniósł ostatnie w swym życiu zwycięstwo. Albowiem konnica biorąc ruch gwardii za napad usunęła się ku piechocie, a ta zaczęła się cofać ku Wawelowi.

Tymczasem Castiglione, który przypuszczał szturm na barykadę w ulicy Floriańskiej, widząc za swoimi plecami cofający się oddział majora, zląkł się, że zostanie napadnięty z tyłu i także się wycofał chroniąc się na Wawel.

Zemsta generała. Dopiero znalazłszy się za murami Wawelu, raniony podczas odwrotu w twarz, generał Castiglione zemścił się zasypując miasto ogniem dział. Ginęli ludzie, płonęły domy, wiele ucierpiały Sukiennice, aż wreszcie po długich zabiegach udało się Potockiemu nakłonić Austriaków do zaprzestania ognia.



Bombardowanie Lwowa. Kraków poddał się. Później poddał się również zbombardowany Wiedeń, a na wiadomość o tym komendant Lwowa, stolicy Galicji, postanowił odebrać lwowianom wszelką nadzieję wolności. Żołnierstwo zaczęło napadać i siec lwowskich gwardzistów narodowych, kiedy zaś ludność rzuciła się do budowania barykad, wojsko opasało śródmieście strzelając do snujących się ulicami ludzi. Zginęło do dwustu osób, nie oszczędzano nawet ani kobiet ani dzieci, a ogień armat zniszczył wiele budynków, między nimi ratusz, teatr i uniwersytet.

Samowładztwo odżyło i utrzymało się w Austrii jeszcze przez kilkanaście lat po owej wiośnie ludów, jak zwano r. 1848.

43. KRWAWA MANIFESTACJA

Manifestacje. Gorętsi patrioci coraz niechętniej znosili rosyjską niewolę. Zaczęli oni urządzać po miastach, a przede wszystkim w Warszawie, wielkie procesje, nabożeństwa i pogrzeby i zalewać ulice tłumami śpiewającymi patriotyczne pieśni. Pierwszym takim wystąpieniem, czyli manifestacją, był pogrzeb wdowy po generale Sowińskim, poległym bohaterską śmiercią na Woli w r. 1831. Po tej manifestacji nastąpiły inne, coraz częstsze i tłumniejsze. Zrazu Moskale nie zaczęli spokojnie śpiewających procesyj, ale potem zaczęli się na nie oburzać, a wreszcie rozpędzać aresztując, bijąc i kalcząc ich uczestników.

Lutowy ranek. Pewnego lutowego rana ulice Warszawy zaroily się tłumami wychodzącymi z jednego z kościołów. Niewielu wiedziało, na czyją intencję było odprawione nabożeństwo, ale przed kilku dniami wojsko pobiło i aresztowało wielu uczestników procesji na Starym Mieście, a to było powodem, że między wychodzącą z kościoła publicznością padło wezwanie, aby pójść w stronę Zamku i upomnieć się o uwolnienie aresztowanych.

I ku Staremu Miastu skierowały się tłumy rosnące „jak śnieg toczący się z góry”, jak zapisał jeden z naocznych świadków. Na Starym Mieście przyłączyły się do nich mieszczańki wychodząc z domów z obrazami Matki Boskiej i Świętych Pańskich, a na jednej ulicy posypał się z okien domów deszcz małych, powyjmowanych z książeczek do nabożeństwa, obrazków, które uczestnicy manifestacji chwyтали w powietrzu i niosąc je przed sobą, weszli na plac przed Zamkiem.

Pod kolumną Zygmunta. Wtem na placu pokazali się Kozacy. W galopie wpadli na nadchodzące tłumy i bijąc kobiety po głowach, rozpędzali procesję. Ale tłum, przestawszy śpiewać i pochowawszy obrazki, nie odchodził; owszem, rósł bezustannie i już to stawał spokojnie pod kolumną Zygmunta, już to przechadzał się tuż obok Krakowskim Przedmieściem.

Z przyległego kościoła wyszli zakonnicy z krzyżem, a za nimi wyniesiono trumnę. Był to pogrzeb jakiegoś urzędnika, ale Kozacy zobaczywszy tworzący się pogrzebowy pochód wzięli go za manifestację i rzucili się w jego stronę. Pochód zachwiał się i ruszył w drugą stronę, ale i stąd wy-

padają Kozacy, rąbią krzyże i wywijają szablami nad głowami księży i ludu.

— A niedowiarki! A schizmatyki (odszczepieńcy)! — woła jakaś żebraczka, chwyta cegłę z nagromadzonych na budowę materiałów i rzuca ją na Kozaków, a w ślad za tym pierwszym pociskiem lecą inne, miotane pewniejszymi już rękoma kręcących się w tłumie uliczników.

Nagle na Krakowskim Przedmieściu ukazała się piechota. Cegły przestały latać, Kozacy stanęli spokojnie.

Przerwane posiedzenie. W jednym z niedalekich od placu Zamkowego pałaców odbywało się właśnie posiedzenie paruset szlachty, członków Towarzystwa Rolniczego, obradujących pod przewodnictwem prezesa hr. Andrzeja Zamoyskiego. Ale obrady przerywane były co chwila wieściami o niepokojach w mieście. Wobec tego prezes zamknął posiedzenie, lecz zanim zgromadzeni rozeszli się, pokazała się na sali wysoka postać jednego ze szlachty, o bladej i zalanej krwią twarzy.

— Co się stało? — pytają ziemianie.

Kozacy zbili go pod Zamkiem. Szedł na posiedzenie i musiał przejść przez plac Zamkowy. Kozacy tratuja, biją i rąbią krzyże pochodu pogrzebowego. Tysięczne tłumy na ulicach. Właśnie nadchodzi piechota.

Szlachta słucha, oburza się i żąda od prezesa, aby się udał na Zamek i przedstawił namiestnikowi zbrodnicze wybryki wojska.

Prezes obiecał upomnieć się o sprawiedliwość i zgromadzeni rozeszli się.

Trupy na Krakowskim Przedmieściu. Ale zanim ostatni wychodzący z posiedzenia opuścili pałac, już dwu z szlachty leżało martwych na chodniku.



Manifestacja na ulicach Warszawy r. 1907

ku. Tymczasem bowiem oddział piechoty, który dążył ku Zamkowi, dał trzykrotną salwę w tłum zalegający Krakowskie Przedmieście, plac Zamkowy i sąsiednie ulice. Oprócz dwu ziemian padł pewien rzemieślnik z fabrycznych warsztatów żelaznych, jakiś biedny wyrobnik i uczeń gimnazjalny. Nadto było wielu rannych. Od Zamku nadchodzą nowe oddziały rosyjskie. Lud cofa się przed nimi z jezdni na chodniki; wzdłuż chodników stają dwa łańcuchy wojska, a środkiem jezdni wśród grobowej ciszy warszawianie unoszą poległych i rannych znacząc swój pochód krwawymi śladami na ulicznym bruku.

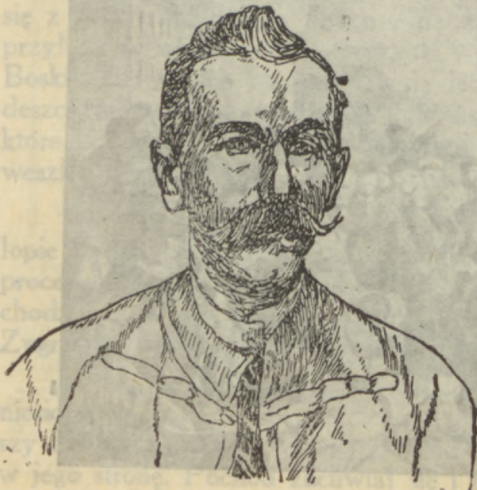
Cisza. Nikt nie przeklina ani nie grozi carskim siepaczom, a jednak ci są przerażeni, jakby ponieśli klęskę.

Pogrzeb 5 poległych. Moskale nie śmieli zabronić uroczystego pogrzebu poległych ofiar. Pozwolili na manifestację, jakiej Warszawa nigdy w owym czasie nie widziała. 100.000 ludzi wszystkich wyznań, z duchowieństwem katolickim, protestanckim i żydowskim na czele, ruszyło za 5 trumnami na cmentarz; tak w dniu tego pamiętnego pogrzebu zjednoczył się cały warszawski lud pod chorągwią zwolenników walki o wolność Ojczyzny.

44. O NOCY STYCZNIOWEJ

Biali i Czerwoni. Bronisław Deskur, zamożny ziemianin z okolic Radzyna na Podlasiu, był ogólnie znany i szanowany jako człowiek prawy i gorący patriota. Chociaż więc nigdy w wojsku nie służył, to jednak przy organizowaniu powstania zamianowano go majorem i naczelnikiem sił powstańczych w powiecie radzyńskim.

Pewnego styczniowego dnia r. 1863 major otrzymał rozkaz Tym-



Bronisław Deskur

czasowego Rządu Narodowego, aby w nocy z 22 na 23 stycznia uderzył na Radzyń i zdobył go; tę noc bowiem przeznaczono na wybuch powstania w całym Królestwie. Za ledwie kilka dni zostawało na przygotowanie się do wybuchu, toteż major kazał w kuźni na gwałt osadzać kosy „na prost” oraz rozesłał wszystkim wtajemniczonym stosowne rozkazy.

Po dworach w Radzyńskim wszczął się ruch. Jedni gotowali się na wyprawę, drudzy się wstrzymywali, a wszyscy gorąco rozprawiali o zarządzeniu Rządu. Bogata szlachta i starsi

nie wierzyli w powodzenie powstania i odradzali je. Byli to zwolennicy stronnictwa Białych; sądzili oni, że Królestwo może odzyskać wolność chyba przy pomocy obcej, mianowicie Francji, a zresztą spodziewali się, że rząd rosyjski sam zwróci Królestwu zniesioną po r. 1831 konstytucję.

Przeciwnikami Białych byli Czerwoni. Ci nie liczyli na pomoc obcą, a rządowi carskiemu nie wierzyli. W swoich szeregach liczyli około 20.000 młodzieży szlacheckiej i mieszczańskiej; wierzyli, że skoro Rząd Narodowy ogłosi równość wszystkich stanów, a chłopom da ziemię, cały lud wiejski stanie po stronie powstania. Silni tą wiarą, opatrywali swą broń i czekali niecierpliwie dnia wybuchu.

Pod Radzyniem. Wieczorem dnia 22 stycznia r. 1863 stanął major Deskur pod Radzyniem i czekał na powoli gromadzących się powstańców. Zamiast jednak spodziewanych licznych setek przyszło niespełna 200 ludzi; zamiast 200 strzelb przyniesiono 40; nawet kos nie wystarczyło dla wszystkich, bo było ich zaledwie 100 i niektórzy powstańcy otrzymali jako broń wyłamane w lesie koły.

O północy zjawiła się garść radzyńskich mieszczan. Przynieśli dobre nowiny: Moskale nie spodziewają się niczego, ich oficerowie zebrali się w jednym domu na karty i pijatykę, a żołnierze śpią.

Major wydał rozkazy. Mieszczanie pod wodzą jednego ze swoich, Pyrkosza, wezmą do niewoli oficerów, część strzelców i kosynierów schwyta dowodzącego generała, a reszta pod wodzą samego majora uderzy na koszary artylerii i zdobędzie armaty. O piechocie, której paręset stało w Radzynie, zapomniano. Zacznie Pyrkosz, który dając hasło do ogólnego napadu podpali stertę słomy przygotowaną dla artylerii na rynku.

I Deskur z 40 myśliwskimi strzelbami i 100 kosami ruszył na uspięne miasto.

Śmierć Pyrkosza. Na rynku buchnął ogień, a Pyrkosz otoczył dom z oficerami i sam jeden wszedł do środka. Oficerów ogarnęło zdumienie. Co to za pożar? Czego chce ten mieszczanin?

Pyrkosz nie miał talentów mowcy, a wzruszenie plątało mu myśli, kiedy wygłaszał ostatnią w swym życiu przemowę. Mówił o tym, że ogień na rynku jest hasłem wybuchu powstania w całym Królestwie Polskim, o tym, że oficerowie są jego więźniami, ale że są braćmi, więc nic im nie grozi, że owszem, Polacy chcą wywalczyć wolność nie tylko sobie, ale i Rosji uciskanej przez samowładztwo cara.

Śluchając tej przydługiej mowy, jeden ze starszych oficerów posłał ukradkiem służącego po piechotę, a sam podszedł ku Pyrkoszowi zagadując go uprzejmie. Naturalnie, Pyrkosz ma słuszość — poświadczał. — Ludzie powinni sobie być braćmi a nie wrogami. A może by Pyrkosz napił się czego? Na zgodę? Na braterstwo?

I tak go zagadywał i zabawiał, aż hurma żołnierzy wpadła do mieszkania i biedny, ufający wrogowi mieszczanin upadł, przeszyty kilku baonetami.

Pod koszarami. Tymczasem Deskur uderzył na warty przy działach

i w jednej chwili je rozpedził. Armaty stały się łupem zwycięzcy. Ale trzeba je stąd usunąć, bo już z okien koszar wysuwają się lufy karabinów i kierują się ku powstańcom, widocznym w świetle gorejącej w pobliżu sterty. Gdzie konie? Tuż obok, w stajniach! Wyważyć wrota! I jedni parają się koło wrót, a inni ostrzeliwiają okna koszar, gdy w którym błysnie lufa karabinu. Wtem nadbiega oddział wysłany na schwytanie generała; już się z nim uporał, ciężko rannego zostawił pod dozorem i już zieje ogniem swych strzelb na koszary i spędza z ich okien mniej wprawnych w strzelaniu żołnierzy. Stajenne wrota trzeszczą i uginają się.

Ale cóż to za strzały z boku, skąd ma nadejść Pyrkosz?

Ogień karabinów, piechoty, którą po śmierci Pyrkosza poprowadzili oficerowie, oraz sprawność żołnierska odniosły zwycięstwo nad cywilnym tłumem powstańców. Wyparciu w boczne uliczki, nie słysząc komendy wodza ustępują coraz dalej i wreszcie rozpraszają się za miastem w bezładnej ucieczce.

Oddział majora Deskura przestał istnieć.

45. MANIFEST

TYMCZASOWEGO RZĄDU NARODOWEGO

Po styczniowej nocy. Chociaż pamiętna styczniowa noc nigdzie nie przyniosła powstańcom korzyści większej niż w Radzynie, jednak z końcem stycznia wszczął się w kraju żywy zbrojny ruch. Oto małe załogi rosyjskie zostały pościganane do większych miast, a wtedy w opuszczonych przez wojsko okolicach ukazały się powstańcze oddziały. Do miasteczek wpadały grupki jeźdźców w konfederatkach obszytych barankiem albo gromadki kosynierów, które zabierały broń, proch, ołów, zrywały rosyjskie orły z urzędów, i odchodziły, zwiększone ochotnikami spośród mieszczan. A po wsiach już to pleban, już to dziedzic, czasem leśniczy, ekonom lub dworski pisarz czytał ludziom i objaśniał manifest (odezwę), wydany dnia 22 stycznia r. 1863 przez powstańczy Komitet Centralny jako tymczasowy Rząd Narodowy.



Pieczęć
Rządu Narodowego

Do broni! „Nikczemny rząd najezdniczy, rozwścieklony oporem męczonęj przezeń ofiary, postanowił porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych jej obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie”.

Tak brzmiało pierwsze zdanie manifestu. Któż był tą ofiarą?

To Polska, cały polski naród, któremu rozkazywał Moskal, ściągał z niego podatki, wydawał je według własnej woli i opłacał nimi swoich urzędników.

A kto to obrońcy ofiary?

To ci, co zmówili się, aby Moskale wypędzić z kraju i Polskę wywalczyć wolność. Cóż ich za to czekało? Oto policja wywęszyła ich, a że ich było za dużo i nie podobna ich wszystkich zamknąć do więzienia, tedy Moskale postanowili ich wszystkich porwać do wojska i wysłać z kraju na drugi koniec świata. Cóż więc czyni ta przeznaczona na zgubę młodzież?

Odpowiada na to manifest:

„Zastępy młodzieży walecznej, ożywione gorącą miłością Ojczyzny i wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgły zrzucić przekłętą jarzmo lub zginąć. Za nią więc, Narodzie Polski, za nią! Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku, Centralny Narodowy Komitet, obecnie jedyny legalny (prawy) Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa!”

Równe prawa dla wszystkich. „W zamian Komitet Centralny Narodowy przyrzeka Ci — brzmiały dalsze słowa manifestu — że siły dzielności Twojej nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone. W pierwszym zaraz dniu rozpoczęcia świętej walki Komitet Centralny Narodowy ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, w o l n y m i i r ó w n y m i obywatelami kraju”.

Co to znaczyło?

Oto manifest obiecywał, że nie będzie innych praw dla ludu wiejskiego, innych dla Żydów, innych znów dla mieszczan, innych dla szlachty. Np. Żyd był wolny od służby wojskowej, szlachcic służył tylko, jeżeli sam chciał, a chłopą porywano gwałtem od rodziny, żony, dzieci i na długie lata wysyłano w obce kraje. Odtąd wszyscy, czy Żyd, czy szlachcic, czy chłop, mieli służyć w wojsku, ale już swoim, polskim i nie w obcym kraju, ale w Polsce.

Ziemia dla chłopów. „Ziemia, którą lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny — czytał dalej stronnik Czerwonych — staje się od tej chwili jego własnością, dziedzictwem wieczystym. Właściciele poszkodowani wynagrodzeni będą z funduszów Państwa, wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy wstępujący w szeregi obrońców kraju lub — w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały — rodziny ich otrzymają z dóbr Narodowych dział obronionej od wrogów ziemi”.

To postanowienie Tymczasowego Rządu Narodowego zmieniało do gruntu życie polskiego ludu wiejskiego.

Uwalniało bowiem chłopów tak od odrabiania pańszczyzny, jak i od płacenia czynszów — i oddawało im ziemię, której używali, na wieczystą, dziedziczną własność.

W ten sposób chłop polski stawał się nie tylko obywatelem Państwa, równym szlachcie i mieszczaństwu, ale także właścicielem ziemi, której posiadania był od wieków pozbawiony.

Ale nie tylko ci chłopci, którzy gospodarzyli na roli, stawali się, dzięki postanowieniu Tymczasowego Rządu Narodowego, właścicielami ziemi. Mieli ją otrzymać również komornicy, tj. ci, co nie mieli niczego

prócz chaty — a także bezdomni wyrobownicy: dla jednych i drugich, jeżeli pójdą do powstania, Rząd Narodowy przeznaczał działki gruntu w dobrach państwowych.

Słowo do Moskali. Kończył się manifest odezwą do narodu rosyjskiego. Imieniem Polski przebaczał mu Komitet Centralny Narodowy zbrodnie rozbiorów, gwałty na ulicach Warszawy i męczeństwo więźniów w lochach Cytadeli (warszawskiej twierdzy). Ale jeżeli w walce z Polską naród rosyjski, sam uciemężony, stanie po stronie cara — to Polska wyzwie kiedyś Rosję na straszny bój, który skończy się zagładą niewolniczego moskiewskiego barbarzyństwa.

46. BITWA W LESIE

Wzrost powstania. Upływały tygodnie, miesiące. Kraj roił się od licznych a drobnych oddziałów powstańczych, czasem łączących się po kilka ze sobą, częściej działających każdy na własną rękę. Między nimi przechodziły rosyjskie kolumny. Słabsze bito, mocniejszym się wymykano. Powstanie wzbierało; wybuchło na Litwie, obiecywało się na Rusi, a w Królestwie zasililo się przyływem świeżych oddziałów z Galicji, ochotników z Węgier, Włoch, Francji, a przede wszystkim zjawieniem się lepszej broni. Tymczasem w Europie narody zaczęły natarczywie domagać się od swoich rządów poparcia dla bohaterskich Polaków. Pod naciskiem nalegań gazet, posłów parlamentarnych (sejmowych) i polityków zaczęły rządy niektórych państw naradzać się i układać plany, jakby Polsce pomóc. Zdawało się, że Rosja będzie w wojnie z całą Europą. Ożywieni takimi nadziejami Biali, zamożna szlachta i panowie, zasilili powstanie bronią, pieniędzmi i ochotnikami. Z końcem wiosny r. 1863 siły powstańcze wzrosły do 50.000 ludzi i żaden oddział rosyjski nie śmiał wychylać się z garnizonowego miasta bez paru przynajmniej armat.

Kłopoty pułkownika. Tej broni powstańcy prawie zupełnie nie mieli. Zresztą działa zużywają wiele prochu, a tego powstańcom zawsze brakowało. Srodze też biedził się brakiem amunicji pułkownik Kruk, jak się w powstaniu nazwał dawniejszy rosyjski oficer, Mikołaj Heidenreich (Hajdenrajch). Właśnie odniósł był w Lubelskiem parę głośnych zwycięstw i zatrzymał się na postój w pewnym dworze niedaleko na wschód od Dębina.

Gospodarz przyjął powstańczę „partię” otwartymi ramionami. Ale niezbyt długo mógł ją gościć: ciągnie za nią 2.000 Moskali z baterią artylerii. Partia nawet liczbą nie może się z nimi równać. A cóż dopiero uzbrojeniem? W dodatku w ostatniej bitwie wystrzelano resztki amunicji.

Gościnnie szlachcic słucha, coś w myśli rozważa, a wreszcie, poszeptawszy z pułkownikiem, siada na bryczkę i jedzie do Lublina.

Zasadzka. W lesie pod Żyrzynem, niedaleko Dębina, stanęło do 800 strzelców, 600 kosynierów i 200 jazdy. Pościnali oni nieco drzew wzdłuż

drogi tworząc w ten sposób zasieki, rozstawili czaty i nad lasem zapana-
wała cisza letniej nocy. Wtem, już po północy, donoszą czaty, że zbliża się
jakaś bryczka. Był to wczorajszy go-
ścinnie gospodarz; przez całą noc sku-
pował od lubelskich Żydów naboje
placąc, ile żądali, i wrócił na czas, wi-
tany z radością przez pułkownika.

Godzina 5 rano. Kolumna ściga-
jąca powstańców nocowała o kilka mil
od Żyrzyna i pewnie już ruszyła w
drogę. Zaczyna być niebezpiecznie.
Powstańcy nalegają na wodza, by wy-
dał rozkaz wycofania się. Pułkownik
ich zatrzymuje. Nagle z daleka, od
strony Dębina, dolatuje głos strzału.
Pułkownik pędzi i ogląda zbliżające-
go się wroga. Nie ma go więcej niż
500 ludzi i 2 armaty. Kilkunastu Ko-
zaków jako straż przednia, potem od-
dział piechoty, działa, 2 pocztowe fur-
gony (wozy towarowe) i zamykający
pochód drugi pieszy oddział. Pułkown-
nik galopem wraca do swoich i dzieli
ich na 3 oddziały: jeden z nich stanie na poprzek drogi, a dwa inne ude-
rzą z boków i zamkną odwrót do Dębina.



Mikołaj Heidenreich-Kruk

Bitwa. Godzina 5 i 1/2. Armaty i furgony wjeżdżają między zasieki.
Pada komenda i spoza zasieków grzmi salwa kilkuset karabinów. Wszyst-
kie konie artylerii i pocztowe padają. Poszczerbiona kolumna staje. Działa
grzmia w lewy zasiek, skąd padają najgorętsze strzały. Tymczasem spoza
zasieków wysuwają się łańcuchy piechoty na tył pochodu i dopełniają
zamknięcia Moskali w potrzask. Oficer dowodzący Moskalami, przypad-
kowo Polak, rozruca dwa plutony w tyralierkę przeciw prawemu zasiekowi,
jego pomocnik robi to samo z lewej strony. Reszta zostaje na obronę dział
i poczty. Ale ci, przeważnie świeży żołnierz, kładą się ze strachu do przy-
drożnych rowów. Jeden z oficerów rąbie ich szablą, jeden z Kozaków okła-
da ich nahajem (rodzaj bata) — na próżno. Żadna siła nie zmusi przera-
żonych do boju. Także tyralierzy tracą przytomność: niektórzy przy nabija-
niu broni kładą do luf ładunki odwrotnie, kulami ku kolbie, tak że ich ka-
rabiny przestają strzelać. Jeszcze działa kartaczami trzymają powstańców
w oddaleniu od szosy, ale rosyjski oficer dowodzący po lewej stronie pada,
a tyralierzy doznają tyłu strat, że dowódca eskorty porzuca działanie za-
czepne i ściąga ich do obrony furgonów. Tu odpiera 8 ataków, a kiedy dzia-
ła dały 140 strzałów i umilkły wystrzelawszy wszystkie naboje, dowódca
psuje ich zamki, czyli zagwałdza je, porywa setkę swoich i z bagnetem w
ręku przebija się przez cienki pas zastępów niesprawnego przeciwnika.

Na placu boju garstka Moskali, czarna od dymu, stała ponuro z kara-

binami skierowanymi w ziemię. „Była otoczona wysokim wałem ludzkich ciał, jedno na drugim leżących” — opowiadał potem uczestnik tej walki. Do 200 zabitych, 150 jeńców, prawie tyłuż rannych, kilkaset karabinów, nieco amunicji i przeszło 200.000 rubli — obliczał wyniki tej bitwy pułkownik Kruk i wysłał jednego ze swych oficerów, którym był major Deskur, ze zdobytymi pieniędzmi do Lwowa, aby je złożył w kasie tamtejszego powstańczego Komitetu.

47. TAJNY DYKTATOR

Ku upadkowi. Było to w jesieni r. 1863. Powstanie mimo nadludzkich wysiłków i kilku zwycięskich bitew upadało. Straciwszy nadzieję obcej pomocy Biali opuścili ręce. Spomiędzy tych, co powstanie zaczynali, wielu zginęło. Zabrakło ludzi doświadczonych; na ich miejsce do Rządu Narodowego weszli młodzi. Ucierpiały na tym urzędy powstańcze. Często nie było komu wybrać w powiecie podatku, często wysłannik Rządu Narodowego przyjechawszy do jakiegoś miasta nie miał komu wręczyć rozporządzenia powstańczej władzy. Brakowało ludzi, broni i pieniędzy.



Romuald Traugutt

Traugutt. Wtedy zjawił się w Warszawie Romuald Traugutt. Był dawniej wyższym oficerem w armii rosyjskiej, wystąpił jednak z wojska i ożeniwszy się ze stryjeczną wnuczką Tadeusza Kościuszki osiadł na Polesiu. Po wybuchu powstania dowodził oddziałem w okolicy Pińska, a potem zamianowany przez Rząd Narodowy generałem wyjechał za granicę, by zwiedzić tamtejsze komitety dostarczające powstaniu broni i pieniędzy, a także, by wyrozumieć, czy rządy europejskie przyjdą walczącej Polsce z pomocą. W Paryżu usłyszał zapewnienie, że choć rząd francuski nie zdołał jeszcze innych państw nakłonić do wojny z Rosją, to jednak nie przestanie zabiegać, póki do niej nie doprowadzi.

Tak Trauguttowi obiecywał brataneek ówczesnego władcy Francji.

Zamach stanu. Kiedy Traugutt wracał do Warszawy, przywitała go żona pożaru ratusza.

Któż był sprawcą pożaru?

Nikt inny jak sam naczelnik powstańczej policji, zwany *Czarnym Jankiem*. Chciał w ten sposób zniszczyć spisy obywateli obowiązanych do płacenia podatków, według których to spisów władze rosyjskie miały ściągać kontrybucję, czyli pieniężną karę, nałożoną na miasto. Nic to, że łatwo potem sporządzono nowe spisy i kontrybucję ściągnięto; gorzej było, że spłonął ratusz, a z nim wiele cennych papierów, starych dokumentów i królewskich przywilejów.

Ze zaś ówczesny Rząd Narodowy popełnił więcej takich nierozważnych uczynków, tedy stało się, iż stracił zaufanie narodu, a Traugutt, aby ratować powstanie, porozumiał się z niektórymi patriotami i postanowił objąć najwyższą władzę.

Uczył to w kilka dni po powrocie z za granicy; z paru swoimi zwolennikami poszedł do pewnego prywatnego domu na posiedzenie Rządu, składającego się z kilku młodych ludzi — tam wyliczył im wszystkie błędy, które popełnili przez parę tygodni piastowania najwyższej powstańczej władzy — i zakończył oświadczeniem, że od tej chwili przestają być Rządem Narodowym i że on obejmuje jego ster.

Lekkomyślni młodzieńcy, znużeni władzą, której nie umieli piastować, w milczeniu wysłuchali o sobie gorzkiej prawdy i odeszli, a Traugutt posiadł władzę nieograniczonego rozkazodawcy, czyli *dyktatora*, którego to tytułu zresztą nigdy nie używał.

Kupiec ze Lwowa. W cichym, niepozornym domu przy ulicy Smolnej w Warszawie zamieszkała pani *Kirkorowa* ze starszką matką, kilkuletnim synkiem i lokatorem, który się kazał nazywać *Michałem Czarneckim*, kupcem ze Lwowa.

Dziwnych to zwyczajów kupiec. Przez cały dzień nie wychodzi z domu spędzając czas na pracy przy biurku i na modlitwie, wieczorem wyjeżdża gdzieś dorożką na parę godzin, a potem znów zasiada do biurka i długo w noc coś pisze.

A pisze coś dziwnego: po prostu ustanawia sądy na dziedziców zmuszających chłopów do odrabiania pańszczyzny: tacy dziedzice — nakazuje — mają być karani śmiercią.

To znowu urządza wojsko: luźne partie powstańców każe łączyć w korpusy, podzielone na dywizje, brygady, pułki, bataliony, kompanie i plutony — mianuje oficerów. Generałów zaś, m.i. *Kruka* i *wślawionego bojami w Sandomierskiem Bosa* *ka*, czyni dowódcami korpusów.

Praca i męczeństwo. Tak przez pół roku pracował Traugutt ożywiając upadające powstanie i kierując nim z ukrycia w kraju zalany przez wrogie wojska i tysiące szpiegów.

Nadeszła zima. Dyktator przeżywał straszne chwile, kiedy zamiast ciepłego ubrania i broni nie mógł walczącym przesłać niczego, prócz słów otu-



Powstańcy w bitwie

chy i rady, by sobie potrzebne rzeczy zdobywali na Moskalach. Wskazywał im, jak na Litwie chłop Łukasza, że 100 ludźmi zaopatruje się na zimę: „przed niedawnym czasem zdobył na nieprzyjacielu 100 kozuchów i już jest bezpieczny”.

Tak też czasem czynili i inni dowódcy. Niebawem jednak zabrakło nie tylko pieniędzy, ale i ludzi. Srożyła się zima. Powstanie konało. Niesłychanym wysiłkiem i umiejętnością podtrzymywał je Traugutt i przetrwał zimę. Z wiosną nadeszła z Francji wiadomość, że tamtejszy rząd nie da Polsce pomocy. I wtedy jeszcze lokator pani Kirkorowej nie opuścił rąk. Modlił się, pracował i wierzył. Wierzył w cud: w powstanie całego narodu. Aż raz w nocy weszli do jego pokoju Moskale.

— To już? — rzekł wiedząc o tym, że razem z nim kończy się powstanie. W kilka miesięcy później zginął, powieszony na stokach Cytadeli razem z czterema wiernymi pomocnikami.

Pani Kirkorowa, chociaż nie wiedziała, kto jest jej lokatorem, została wysłana na Sybir.

48. O NAFCIE

W aptece. Do pewnej lwowskiej apteki wszedł raz brodaty człowiek w jarmułce na głowie, wydobył z kieszeni długiego czarnego chałata flaszkę napełnioną żółtym płynem i podał ją prowizorowi, tj. kierownikowi apteki, Ignacemu Łukasiewiczowi.

Gość jest karczmarzem na wsi pod Borysławiem. Opowiada, że w jego okolicy płynie z ziemi dużo skalnego oleju; chłopci gotują go w

wielkich garnkach, aby dostać maź do smarowania wozów, a przy gotowaniu osiada na pokrywie naczynia ta ciecz, którą przyniósł we flaszeszce. Czy by nie można z tego zrobić wódki?

Młody aptekarz rozesmiał się.

Wódki? Nie. Ale — sądził — da się zrobić coś pożyteczniejszego.

Umówili się tedy, że karczmarz przywiezie beczkę oleju, a prowizor zacznie z nim czynić próby.

Lampa naftowa. Przy pomocy jednego z kolegów wziął się Łukasiewicz do pracy. Pierwsza jej część, oczyszczenie ropy naftowej, była



Ignacy Łukasiewicz

i małych pożarów, aż wreszcie pewnego dnia, w 10 lat przed powstaniem styczniowym, w mieszkaniu skromnego prowizora we Lwowie zapłonęła spokojnym, jasnym, równym światłem pierwsza lampa naftowa na świecie.

Pierwsza destylarnia nafty. Oświetlenie naftą było znacznie wydatniejsze i tańsze niż poprzednie, jakoż Łukasiewicz, zarobiwszy na swym wynalazku nieco pieniędzy, przeniósł się ze Lwowa w zagłębie naftowe na zachodnim Podkarpaciu, gdzie w okolicy Jasła wybudował do spółki z dwoma sąsiednimi właścicielami dóbr pierwszą destylarnię (oczyszczalnię) nafty. Nie była to wielka fabryka; mieściła się w małym, nie-

łatwa. Wystarczało ją ogrzać, aby parowała, a para, oziębiwszy się, osiadała na talerzu, umieszczonym nad powierzchnią ogrzanej ropy, jako przezroczysty, żółtawy płyn, tj. nafta. Był on łatwo zapalny, a płonął nadzwyczajnie jasnym płomieniem, toteż Łukasiewicz postanowił użyć go zamiast świec (łojowych i woskowych), oliwy i innych tłuszczów roślinnych, które wtedy służyły do oświetlania.

Szło tylko o to, aby wymyśleć lampę dla łatwo zapalnej nafty.

Poszedł tedy do znajomego blacharza i zamówił u niego małą lampkę, podobną do tych, w których wówczas świecono oliwą, tylko polecił mistrzowi użyć grubszej blachy.

Blacharz zaciekał się robotą i odtąd brał udział we wszystkich próbach doskonalenia wynalazku młodego prowizora. Nie obeszło się przy tym bez poparzeń

pokaźnym budynku o dwu przedziałach. W jednym wymurował Łukasiewicz palenisko, które ogrzewało potężny kocioł, umieszczony w drugim przedziale. Para z ogrzewanej w kotle ropy wchodziła w żelazne rury, które skrętami tonęły w wielkich kadziach wypełnionych zimną wodą, skąd wychodząc wylewały skroploną przez oziębienie naftę do obszernych blaszanych naczyń.

Niebawem jednak spotkał spółkę dotkliwy cios: destylarnia spłonęła. Wytrwały Łukasiewicz wziął się jednak na nowo do pracy i już niedługo potem w pobliżu licznych ropnych źródeł stanęła nowa, ulepszona destylarnia, z której oczyszczoną już naftę odstawiano wozami do oddalonego o 50 km Tarnowa, kędy przechodziła niedawno przedtem wybudowana kolej żelazna, łącząca Lwów z Krakowem i Wiedniem.

Pierwsze kopalnie nafty. Za przykładem Łukasiewicza i jego spółników zaczęli i inni przedsiębiorcy budować w naftowych okolicach Podkarpacia, zwłaszcza w Jasielskiem, a z czasem i koło Borysławia, liczne destylarnie, które szybko wyczerpywały wypływającą na powierzchnię ziemi ropę.

Wreszcie jej zabrakło. Czy destylarnie przestaną pracować? Bynajmniej. Trzeba kopać studnie i wyciągać naftę z głębi ziemi.

— Więc kopmy u mnie — mówi jeden ze spółników, właściciel Polanki pod Krosnem.

I w Polance powstała pierwsza kopalnia ropy, a za nią dalsze. Były to zwyczajne ocembrowane deskami studnie, z których ropę wydobywano konwiami, a z głębszych pompami, aż wreszcie, tuż przed wybuchem powstania styczniowego, wprowadził Łukasiewicz amerykański sposób wiercenia studzien, zwanych szymbami.



Wielce wiertnicze w Borysławiu

Sposób ten polega na tym, że kopacz, zwany wiertaczem, nie schodzi z powierzchni ziemi: stoi w zbudowanej z desek wieżycy i tylko kieruje świdrem, potężnym stalowym dłutem, które, poruszane siłą parowej maszyny, wgłębia się w ziemię krusząc powoli najtwardsze skały.

Wkrótce na Podkarpaciu powstawały setki szybów sięgających 150 do 250 m, potem coraz głębszych, a dziś przechodzących głębokość 2.000 metrów.

Przemysł naftowy. Jaki cel przyświecał Łukasiewiczowi w jego trwałej pracy nad stworzeniem i rozwojem przemysłu naftowego?

Oto chciał wydobyć bogactwa, które bezużytecznie leżały pod ziemią i dać ludowi pracę i dobrobyt. — Nie mamy na Podkarpaciu węgla, jak Anglicy — głosił — ale możemy je zrobić bogatą Anglią, mając naftę!

I ściągał do kraju miliony za naftę i inne przetwory ropy: benzynę, parafinę, stearynę i smary. Kiedy zaczynał zawód naftowego przedsiębiorcy, Galicja przerabiała niespełna $\frac{1}{3}$ tony nafty rocznie (tona = 1000 kg); w 10 lat później sto razy więcej, a po 20 latach prawie tysiąc razy. Z uboższego prowizora stał się Łukasiewicz milionerem, ale kiedy umierał, niewielki zostawił majątek; wydał go bowiem na szkoły, kościoły, szpitale, a nawet drogi, które budował w naftowym Zagłębiu, i inne fundacje. Miliony, które wydobył spod ziemi, oddał narodowi.

49. CZARNE DIAMENTY

Piachy wśród lasów. W południowo-zachodnim zakątku Królestwa Polskiego, na samej granicy śląskiej, na piachach pod Czeladzią, rosły wielkie sosnowe lasy. Wśród nich, na podmokłej kotlinie, zjawiła się pewnego razu, w kilka lat po styczniowym powstaniu, gromadka ludzi z różnymi przyrzadami i zaczęła kopać studnię. Byli to sztygarzy, czyli górnicy; sprowadzili ich ze Śląska Niemcy, którzy zakupili kotlinę i urządzili na niej pierwszą w Czeladzi kopalnię węgla kamiennego, zwyczajną studnię, po prostu jamę, ocembrowaną sosnowymi belkami, z której za pomocą kołowrotu wyciągano nieliczne wiadra wykopanego węgla.

Kopalnia obudziła wielkie nadzieje we właścicielu pobliskiego folwarku. Kiedy spojrzy na zachód, widzi o parę tylko kilometrów od Czeladzi oddalone szloty (wysokie kominy) Katowic, Królewskiej Huty i innych górniczych i fabrycznych górnośląskich osad; kiedy znów zwróci się ku wschodowi, dostrzeżę dymy unoszące się nad Dąbrową, gdzie już kilkadziesiąt lat temu odkryto grube pokłady węgla. Stoi po prostu na węglu, tak poszukiwanym przez warszawsko-wiedeńską kolej żelazną, której linia od kilku lat przechodzi przez okolicę; pod jego nogami leżą pokłady tych „czarnych diamentów”, a jemu brakuje paru tysięcy, aby stać się ich panem!

Ale ma las; ścina go więc i sprzedaje, po czym zaczyna kopać w piachu.

Początki „Saturna”. Niedługo jednak przekonał się, że pieniądze otrzymane za las nie wystarczą do urządzenia kopalni; sprzedał tedy swoją posiadłość i wyjechał z Czeladzi.

Kupił ją niemiecki magnat i zaczął urządzać kopalnię, którą nazwał „Saturnem”. Ale ludzie, którym powierzył prowadzenie robót, byli dziwnie nieudolni.

Naprzód długo wiercili, zanim świder natrafił na węgiel. Następnie jeszcze dłużej budowali szyb, aż wreszcie, po latach, doszli do węglowego pokładu. Jest więc węgiel. Teraz trzeba go odłupywać wielkimi bryłami i windą wyciągać na świat. A kiedy górnicy wydłubią długi chodnik, wtedy spuści się do kopalni konie, które będą dowoziły węgiel pod windę.

— Konie? — śmieją się górnicy. — Tam nie koń; ale człowiek nie będzie mógł pracować, chyba leżąc. Za cienki pokład.

Rozgniewany Prusak wypędził inżynierów, a sprowadził innych. Ci długo oglądali kopalnię, mierzyli pokład, kiwali głowami, a wreszcie oświadczyli, że z Saturna nigdy nic nie będzie, bo dobywanie takiego cienkiego pokładu się nie oplaci.

Polska kopalnia. W Łodzi, mieście przemysłu bawełnianego, rozmawiają dwaj spółnicy, rzadcy między tamtejszymi niemieckimi fabrykantami Polacy.

Mówią o Saturnie. Ze wszędzie tam jest węgiel. Ze tuż obok Saturna jest kopalnia, która przed 20 laty dawała ówczesnym właścicielom, Niemcom, po kilkadziesiąt ton rocznie, a dziś francuska spółka dobywa ich przeszło ćwierć miliona. Ze więc należało by Saturna kupić, ale na razie na zysk nie liczyć. Jest to po prostu ruina: idzie o to, aby pracą i nakładem kapitału stworzyć z niego wielką kopalnię, która by w całości była dziełem i własnością Polaków.

I fabrykanci postanowili zaryzykować (spróbować narażając się nawet na stratę). Saturn przeszedł w ręce polskiej spółki jako nowego właściciela.

Rozkwit Saturna. Od tego czasu zaczął się rozkwit kopalni. Czego nie zdołali dokonać Niemcy, uczynili teraz polscy inżynierowie i sztygarzy. Dokonali oni przede wszystkim wielu wierceń i przekonali się, że pod Saturnem znajdują się liczne, ukośnie do powierzchni ziemi ułożone pokłady węgla, poprzegradzane warstwami piaskowców i wapienia. Miąższość, czyli grubość, węglowych żył nie przechodziła jednak 8 metrów; nie były to więc grube na kilkanaście metrów pokłady śląskie albo dąbrowskie i wiele napracował się naczelnny kierownik kopalni wraz ze swymi pomocnikami, aby wyzyskać cienkie, nawet jednometrowe pokłady.

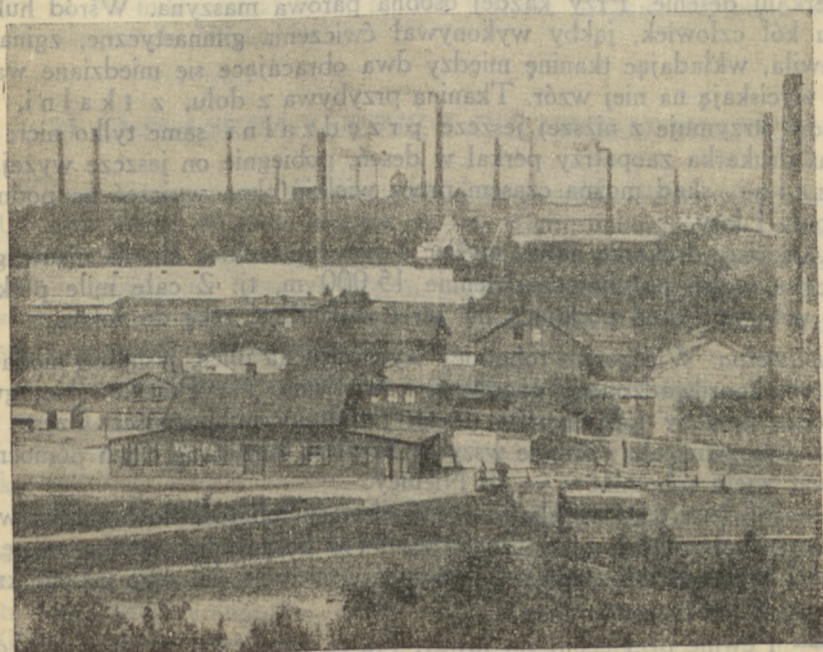
Po kilku latach gorączkowej pracy został Saturn urządzony na wzór najlepszych kopalń śląskich. Z dna pionowych szybów rozbiegły się poziome, wygodne chodniki, które poprzecinały ukośne pokłady węgla. Górnicy za pomocą dynamitu (materiału wybuchowego) a nawet maszynami kruszą węgiel i ładują go na wózki pojemności około 1/2 tony. Elektryczność pędzi wózki po szynach aż do dna szybu, a tam już czeka potężna stalowa lina.

która je wyciąga na powierzchnię ziemi. Wszędzie pracuje elektryczność; ona wydobywa wózki pełne węgla i spuszcza je próżne z powrotem, ona rano zwozi górników na dno szybów i wieczór ich wyciąga, ona wreszcie pompuje wodę, która z pobliskiej rzeki, dopływu *P r z e m s z y*, przedostaje się szczelinami do kopalni grożąc jej zalaniem. A nie lada to maszyna, taka pompa: kiedy niedawno przedtem na Saturnie robotnik mógł za pomocą ręcznej pompy wypompać w 1 minucie z głębokości 10 metrów 15 litrów wody, dziś pompa elektryczna dobywa jej w tym samym czasie z głębokości 300 metrów 50.000 litrów.

Saturn stał się dumą polskiego górnictwa: po kilku latach pracy zrównał się wydobywaniem węgla z sąsiednią francuską kopalnią, a po kilku latach znacznie ją przewyższył, osiągając milion ton rocznie.

50. ŁÓDŹ

Miasto. Ciszę wczesnego ranka przerywa przeraźliwy jęk fabrycznej syreny (gwizdawki). Za nią odzywa się druga, trzecia i dalsze z różnych stron, gdzie tylko ponad dachy domów sterczą ku niebu wysokie, czarne od dymu kominy. Na ulicach uspionego miasta wszczynają się ruch. Z przedmieść ciągną ku długiej a prostej, głównej łódzkiej ulicy, Piotrkowskiej, gromady robotników, pobrząkujących blaszankami napelnionymi strawą na cały dzień i kończących drewnianymi trepami po tonących w czarnym błocie uliczkach.



Widok Łodzi

— Chciałbyś chodzić takim białym piachem, jak u nas? — mówił stary robotnik do bratanka przybyłego niedawno spod Piotrkowa. — Czekał, jak to błoto wyschnie, oddychać nie będzie czym, taki proch. A ja tu już 35 lat żyję; tyle, com się w powstaniu przez pół roku po lasach nabiegał.

Początki wielkiego przemysłu. Stary zamilkł przypominając sobie niedawne powstanie styczniowe, a młody zapytał po chwili

— To tu zawsze było tak czarno?

— Tu? Broń Boże! Tu, jak teraz idziemy, było pastwisko. Krowy się pasły. Łódź była tam dalej. Ot, mięcina: parę chałup i ratusz między nimi, a ludzi nie było nawet dziesiątej części tego, co tu teraz narodu. Ale i tam czarno nie było, bo nie było fabryk, tylko ręczne warsztaty. Dopiero stary Geyer (Gajer) sprowadził z Anglii pierwszą parową maszynę. Pędziła mu wielką przędzalnię bawełny. Ale Geyer węgiel do maszyny sprowadzał końmi. A węgiel daleko, aż koło Dąbrowy, więc mu się nie bardzo opłacało. Aż tu jakoś niedawno przed powstaniem wybudowano kolej warszawsko-wiedeńską: stracili na tym chłopci, co końmi zarabiali, ale zyskali fabrykanci. Teraz co rok nowe fabryki stawiają.

Fabryka. Ogromny, wielopiętrowy budynek, liczne okna, wysoki dymiący szlot. Fabryka drga od wstrząśnień pracujących maszyn. Wszędzie wirują koła, pędzą z sykiem potężne skórzane pasy, wszędzie huk, świsty, zapach farb i węglowego dymu.

Młody robotnik pracuje przy drukarce, tj. maszynie wybijającej na perkalu desenie. Przy każdej osobna parowa maszyna. Wśród huku i świstu kół człowiek, jakby wykonywał ćwiczenia gimnastyczne, zgina się co chwila, wkładając tkaninę między dwa obracające się miedziane walce, które wyciskają na niej wzór. Tkanina przybywa z dołu, z tkalni, która znów otrzymuje z niższej jeszcze przędzalni same tylko nici; kiedy zaś drukarka zaopatrzy perkał w desen, pobiegnie on jeszcze wyżej, do suszarni, skąd można czasem przez wielkie okna wyrzeć na podmiejskie pola i lasy.

Ale przy drukarce nawet myśleć o tym nie wolno: chwila nieuwagi, a żarłoczne walce połykające dziennie 15.000 m, tj. 2 całe mile perkalu, mogą uchwycić dłoń podającą im żer i zmiażdżyć rękę do łokcia.

Bawełna. Wieczorem robotnicy wychodzą na ulice, jasne od niedawno przedtem zaprowadzonego gazowego oświetlenia. Na Piotrkowskiej gwar. Turkoczą powozy fabrykantów, snują się tłumy publiczności. Często słychać mowę niemiecką; prawie wszyscy bowiem fabrykanci i ich pomocnicy, a nawet wielu robotników — to Niemcy.

— Widzisz tego cudaka? — mówił stary robotnik do bratanka wskazując człowieka ubranego w długi chałat i w barankową wysoką czapę. — To jakiś kupiec gdzieś z dalekiej Moskwy, a może i z dalszego jakiego kraju.

— A ten tu czego chce?

— Pewnie przyjechał po towar. Nasza manufaktura idzie daleko do Rosji, na Sybir, a nawet do Chin i innych krajów. Nie podoba się to moskiewskim fabrykantom; boją się nas, bo nasz towar lepszy i tańszy niż ich.

Chcą podobno, żeby rząd obłożył wysokim cłem przywóz bawełny do Królestwa. Rachują sobie, że wtedy nasz towar będzie wiele droższy niż ich manufaktura.

— A powiedzcie mi, stryjk, co to za stworzenie ta bawełna? Skąd ona? Już tydzień z nią robię, a nic o niej nie wiem.

— Skąd ona? Z ciepłych krajów. Widziałeś, jak szczygły w zimie siedają na osty? Czego tam szukają?

— Wiadomo, nasienia.

— A każde nasionko ma żółtawy włos, prawda? Żeby je wiatr łatwiej roznosił, żeby się roślina rozpleniała. Ot i bawełna jest rośliną i jej dojrzałe nasionka są także wąsate. Tylko że włókna ostu są krótkie i kruche, a bawełny długie i silne.

Rozwój Łodzi. I rzeczywiście rosyjscy przemysłowcy nie mogąc wytrzymać konkurencji z Łodzią wystarali się o to, że rząd nałożył dość wysokie cło na surową bawełnę przywożoną do Królestwa Polskiego. Mimo to jednak przemysł łódzki rozwijał się niezwykle pomyślnie: wkrótce Łódź zasłynęła nie tylko wszelkimi rodzajami wyrobów bawełnianych, ale także wełnianych. Szły więc w świat łódzkie nici, przędza, włóczki, perkale, baje, barchany i różnego rodzaju sukna; miasto wzrastało tak szybko, że liczba 50.000 mieszkańców, których tam liczone wkrótce po styczniowym powstaniu, w 30 dalszych latach powiększyła się przeszło 6 razy, a dziś Łódź liczy ich 12 razy tyle. Jeszcze więcej zaś wzrosła wartość wytwarzanych w Łodzi włókienniczych towarów: kiedy 50.000 miasto wytwarzało ich rocznie niepełna za 30 milionów złotych, to dziś wartość łódzkich wyrobów wynosi nie 12, ale prawie 20 razy tyle.

51. O ŚLĄSKIM LUDZIE I O KAROLU MIARCE

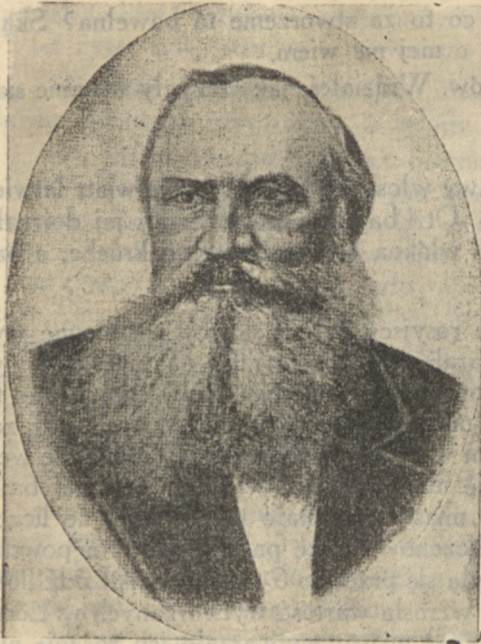
Zalew niemczyzny. Niedługo przed powstaniem styczniowym mawiał na Górnym Śląsku do ludu kazania pewien słynny kaznodzieja ze Lwowa. Kiedy raz nazwał słuchaczy polskim ludem, wielu z nich spuściło oczy ze wstydu, a obecni na kazaniu księża, przeważnie rodowici śląscy Polacy, przyszli po nabożeństwie do kaznodziei i prosili go, aby śląskiego ludu nie nazywał pogardliwym imieniem Polaków.

— Alboż to nie Polacy? — zapytał zdumiony ksiądz.

— Nie. P o l o k i mieszkają w Polsce, pod R u s e m, albo w Galicji, pod Austryjokiem, a oni są Prusy, pruskie 'Ślązoki.

Takim językiem mówili wówczas wóczas na Śląsku wykształceni synowie polskiego ludu. Uważali się oni za Niemców i między sobą nawet rozmawiali po niemiecku. Od wieków bowiem zalewały Śląsk fale niemczyzny: osadzano tu niemieckich kolonistów, napływało niemieckie rycerstwo, kupcy, rzemieślnicy, później urzędnicy, nauczyciele, księża, przemysłowcy, inżynierowie i robotnicy. Niemcy posiadli władzę, dobra ziemskie, fabryki, kopalnie.

pieniądze; wszędzie lud śląski słyszał język niemiecki i spotykał pogardę okazywaną polszczyźnie. Chocć nie zapomniał



Karol Miarka

dziwięków ojczystej mowy, to jednak zapomniał już o swej polskości; słowo „Polak” stawało się obelgą i kiedy raz pewien wieśniak zaskarżył sąsiada za nazwanie go Polakiem, sąd skazał oskarżonego na pieniężną karę.

Wiejski rektor. Ze reszta ludu polskiego na Śląsku nie zatoneła w morzu niemczyzny, to zasługa garstki synów tego ludu, księży i nauczycieli, a między nimi przede wszystkim **Karola Miarki**, rektora, czyli kierownika szkoły we wsi pod **Pszczyną**. Długo czuł się on Niemcem, długo nie znał Polski uważając ją, jak go uczono, za kraj dziki, pozbawiony oświaty. Jakież więc było jego zdumienie, kiedy raz wizytator po zwiedzeniu szkoły zaczął z nim rozmowę, jakby po śląsku, a przecież inaczej: jakoś kunsztowniej, gładszej, piękniej. A mówił on, choć Niemiec, poprawnym polskim językiem, którego nauczył się w Poznańskim, gdzie spędził wiele lat swego życia.

O czym mówił? O tym, że przyczyną ciemnoty i nędzy ludu śląskiego są szkoły. Dlaczego? Bo choć dzieci uczą się czytać, to jednak nikt im nie rozjaśnia tego, co czytają. Jakaż na to rada? Rzecz prosta: nauczyciel musi dokładnie znać język ojczysty dzieci i uczyć je tak, aby czytana treść rozumiały.

Zdjęcie bielma. Wizytator był pierwszym człowiekiem, z którego ust usłyszał Miarka czysty dźwięk polskiej mowy. Zaciekawiła go. Rzucił się do nauki polskiej gramatyki, a nawet spróbował napisać po polsku powieść. Ale za Polaka jeszcze się nie uważał. Aż raz wybrał się do Cieszyna, do redaktora tamtejszej polskiej gazety, **Pawła Stalmacha**.

Zdumiony stanął przed biblioteką redaktora. Tyle książek w polskim języku! Więc są polscy pisarze historii! A Niemcy o nich nawet nie wspomną!

Dzieje Polski, do których nauki rzucił się Miarka, zdjęły z jego oczu bielmo: zrozumiał, że jest Polakiem.

— Począłem — pisał potem — po raz pierwszy dopiero wtedy myśleć po polsku, bo dotąd myślałem po niemiecku.

„Katolik”. W kilka lat po styczniowym powstaniu odbywały się na Śląsku wybory do pruskiego Sejmu. Aż do owego czasu lud śląski wybierał na swych posłów Niemców, właścicieli kopalń i majątkow ziemskich. Miarka, który porzucił był zajęcie nauczyciela i wydawał w Królewskiej Hucie *Katolika*, pierwszą prawdziwie polską gazetę na pruskim Śląsku, postanowił wprowadzić do Sejmu Polaków.

— Jeżeli chcecie wydobyć się z nędzy, do której was doprowadzono — wołał do rodaków — to wiedźcie, że nikt wam w tym nie pomoże, jeżeli sami o siebie nie będziecie dbali. Komu powierzacie troskę o swą dolę? Niemcom. Czy oni upominają się kiedy o prawa polskiego ludu? Nigdy!

Tak nawoływał Miarka lud do wybierania polskich posłów i dokazał tyle, że pierwszy raz w Sejmie pruskim zasiadło 8 Polaków ze Śląska, a lud śląski stwierdził tym swoją polskość.

Walka. Mimo, że Miarka, porzuciwszy nauczycielstwo, żył z dziewięciorgiem dzieci w wielkiej biedzie, to jednak nie przyjął ogromnej sumy 100.000 talarów, którą Niemcy chcieli go przekupić, aby przestał zajmować się polityką. Owszem, wkrótce potem „Katolik” wydrukował odezwę pod tytułem: „Jezus, Maria, Józef!” Nawoływał w niej Miarka lud śląski do wytrwałości w walce o swe prawa, a przemawiał w niej, tak ze serca i tak gorąco, że wielu czytelników „Katolika” nauczyło się jej prawie na pamięć. Ale czytali ją także Niemcy, a w Sejmie pruskim przeczytał ją nawet przepotężny *Bismark*, kanclerz niemiecki, zacięty wróg Polaków i twórca licznych ustaw przeciw nim wymierzonych.

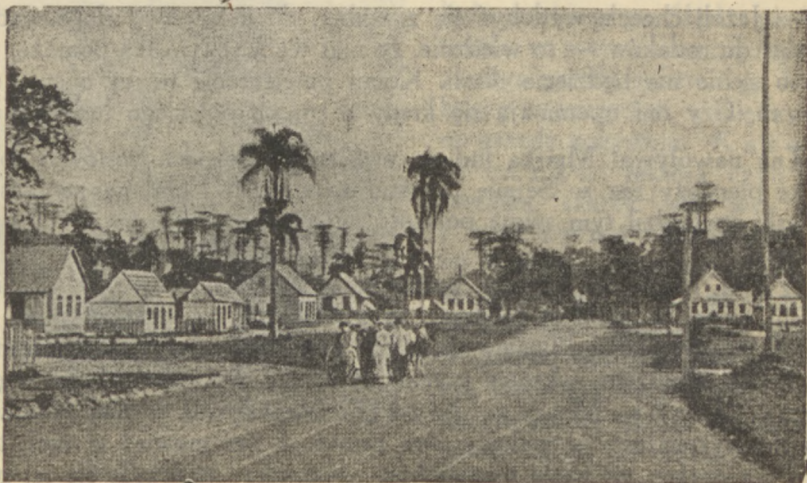
— Oto, co się dzieje na Śląsku — mówił kanclerz. — Oto, jak tam polscy podżegacze podniecają lud do nieposłuszeństwa władzom!

Jakoż niedługo Miarka został powołany przed sąd, potem drugi raz, trzeci, i tak w paru tygodniach otrzymał 28 pozwów (wezwań do sądu). Za odezwę „Jezus, Maria, Józef” skazano go na 6 miesięcy więzienia, za mowę w pewnym polskim stowarzyszeniu na 4 miesiące — i odtąd do końca życia odbywał wędrówki z redakcji do więzienia i z powrotem. Ale każda taka wędrówka okrywała go coraz większą chwałą.

Praca do śmierci. Aby lud śląski miał co czytać, Miarka pisał dla niego powiastki; ponieważ na Śląsku nie widziano nigdy polskiego teatru, pisał teatralne sztuki, a gdy nie było ich komu odgrywać na scenie, czynił to sam wraz ze swą rodziną. Zakładał też stowarzyszenia patriotyczne, zwane *kółkami*; założył dla ludu kasę pożyczkową, kiedy zaś na Górnym Śląsku wybuchł straszliwy głód, przeszło 70-letni Miarka stał się żywicielem swego ludu, zbierając nań składki po całej Polsce i urządzając dla głodujących bezpłatne kuchnie.

52. GDZIE CHŁOP POLSKI SZUKAŁ ZIEMI

Brazylia. Piękny to kraj, ta *B r a z y l i a*. Rozłożył się wzdłuż równika na południowo-amerykańskim lądzie i jak rok długi wygrzewa się w blaskach gorącego słońca. Raduje się ciepłem roślinność nigdy nie tracąca liści — zieleńią nie znające snu zimowego lasy, pyszną się barwami kwiaty, trzepocą wokoło nich pstre, o przecudnych kolorach motyle, fruują małe jak chrabąszcze kolibry, podobne z upierzenia do migotliwych drogich kamieni.



Osiedle polskie w Paranie

Piękny to kraj i przesliczna wysepka, ta *Wyspa Kwiatów*, tonąca w porcie *Rio Janeiro* (*Żaneiro*), stołecznego miasta *Brazylji*. Dziwowały się też nasze *Maćki* i *Wasyle*, kiedy ich czarni przewoźnicy dostawili z wielkiego okrętu na *Wyspę Kwiatów*, gdzie emigranci mieli zamieszkać w barakach, zanim się puszczą w dalszą drogę.

Ale wszystkie baraki przepełnione; przybysze rozkładają się pod gołym niebem.

Kawa. Wybrali się tam, gdzie rząd brazylijski daje za darmo ziemię, do wyżynnej *Parany*, południowej części *Brazylji*, o klimacie mniej gorącym niż reszta kraju. Ale mijały dnie, na *Wyspę Kwiatów* przywoziły łodzie nowych emigrantów, a *Brazylianie*, zamiast mówić o podróży do *Parany*, zaczęli chłopów namawiać do pracy na plantacjach kawy.

Praca na plantacjach kawy? Niektórzy z emigrantów słyszeli coś o tym. Niech *Pan Bóg* chroni każdego przed taką pracą. Wprawdzie płacą tam dobrze, ale uprawa kawy wymaga klimatu gorącego a parnego: mieszkaniec *Europy* zapada tam łatwo na żółtą febrę. A kiedy zachoruje, prawie zawsze czeka go śmierć. Chce odejść z niezdrowej okolicy? Wtedy pokazują mu kontrakt. A w kontrakcie zgodził się na rok. Po prostu na rok się w niewolę zaprzedał i nie ma dla niego ratunku.

I na Wyspie Kwiatów rozległo się hasło: nie najmować się do kawy!

Śmierć na Wyspie Kwiatów. Mijały tygodnie, emigrantów nie ruszano z wyspy, a faktorzy (pośrednicy) ciągle ich namawiają na plantacje.

— Na żadne plantacje myśmy tu nie jechali. Jedziemy do Parany, gdzie nam obiecali dać po 50 morgów gruntu — odpowiadali chłopci.

Tymczasem zaczęła się pora deszczów. Do baraków, budowanych dla 2.000 ludzi, napchało się ich 5.000. Zabrakło wody do picia, a ze złej wody i zaduchu zaczęły chorować i umierać dzieci. Potem wybuchł tyfus plamisty. Codziennie wywożono kilkanaście trupów. Dopełniła miary nieszczęść żółta febra. Morzyła ludzi jak muchy. Pomocy lekarskiej nie było. Rodzice tracili w jednym dniu wszystkie swoje dzieci — dzieci rodziców. Niektóre rodziny całe wymarły. Kobiety zawodziły, mężczyźni milczeli w ponurej zaciętości.

Dopiero kiedy o tym strasznym żniwie śmierci zaczęto pisać w dziennikach, udał się poseł austriacki, człowiek ludzki, do prezydenta Rzeczypospolitej Brazylijskiej i wymógł na nim uwolnienie emigrantów więzionych bezprawnie na Wyspie Kwiatów.

Po 10 latach. W okolicy Kurytyby, znacznego miasta w Paranie, wzdluż drogi, wśród jakichś dziwnych, podobnych do sosnowych, lasków, stoi gromadka domków zbitych z tarcic, krytych gontem, czasem zaopatrzonych w ganeczki. Pod domem na grządce malwy i inne kwiaty, jak w Polsce przed chłopską chatą, a obok niewielka stajenka i ogród warzywny.

Jest to kolonia polskich wychodźców.

Cóż to za radość, kiedy ktoś z Polski przyjedzie do Parany, stanie przed domkiem kolonisty i po polsku chwaląc Boga powita gospodarza!

Wprowadzają gościa do czystej, dostatniej izby; oprócz niej zresztą dom mieści jeszcze kuchnię, sypialnię i komorę z gospodarskim sprzętem. Na stole zjawia się chleb, masło, kawa. Przychodzi cała rodzina gospodarza, ciekawa przybysza ze „starego kraju”.

Gość przybywa zwykle z Warszawy czy Krakowa, ze Lwowa czy Poznania. Pewnie dziennikarz, albo pisarz, który chce przedstawić Polsce życie jej synów na obczyźnie. A gospodarz skąd? Wszystko jedno, skąd; wszystko jedno, czy urodził się pod Sochaczewem czy Rzeszowem — pod Katowicami czy Kołomyją: cieszy się, bardzo się cieszy, że gości rodaka z dalekiej Ojczyzny.

Jakże mu się powodzi?

Dzięki Bogu, dobrze. Lepiej niż z początku. O, wtedy trzeba było żyć jak dziki człowiek, pod daszkiem z trawy, bez łózka, stołu, krzesła. Trzeba było ciąć stary las, budować się i uprawiać wypaloną po lesie ziemię. Ciężka to była praca. Toteż wielu legło na wieki na cmentarzu, obok niedawno wybudowanego drewnianego kościółka. Ale kto wytrzymał, ten dziś pan na 50 morgach.

Gospodarz pokazuje młody lasek. To ugór, a za nim uprawne pole. Ugór leży już 5 lat, na drugi rok go zasieje żytem, zasadzi kukurydzą, soją

(rośliną podobną do fasoli). A że wygląda jak las, to dlatego, że w Paranie tak wszystko prędko rośnie. Więc się go naprzód zetnie, a potem, jak przeschnie, spali się go i rola pod zasiew gotowa. Żyzna rola. Np. kukurydzy daje czasem 150 ziarn z jednego. Tylko kradną ją małpy i te zielone ptaszyska (papugi), co tam skaczą po drzewach.

Gość pyta się o bydło.

Bydło? W polu. Kto by je w Paranie trzymał w stajni? Bydło w polu cały rok. Pasie się po tych gaistych ugorach. W stajni trzyma się tylko zrebęta, cieleta i nierogaciznę.

Na wieść o przybyśzu ze „starego kraju” schodzą się sąsiedzi i znów rozmowa kieruje się na Polskę, na zbiory, na gospodarstwo.

Czy nie chcieliby wrócić do kraju? — zapytuje gość.

Pewnie, że chcieliby. Ale do czego tam wracać? Tu mają na czym pracować — a tam? Co który miał trochę tego gruntu, to go sprzedał na daleką drogę i na zagospodarowanie się w Paranie. Więc chyba musieliby najmować się do dworu za kilkadziesiąt groszy dziennie? Nie, nie mogą wracać. Ale żal im dzieci. Starsi trzymają się polskiej mowy i zwyczaju, czytają polskie gazety, które otrzymują z Kurytyby. Ale dzieci? „Zbrazylia-nieją”; jak nie one, to ich dzieci. A już ich wnuki, Bóg to wie, czy będą rozumiały po polsku? Ha, wola Boska! — mówią koloniści wzdychając.

A potem długo w noc świeci się w domu gospodarza, a gość ze „starego kraju” opowiada zasłuchanym chłopom o Polsce i jej niedoli.

53. ZA CHLEBEM

Miasta grzyby. Jak grzyby po deszczu, tak wyrastały miasta w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej czyli, jak u nas zwykle krótko mówią, w Ameryce. W pustym polu, wzdłuż świeżo zbudowanej linii kolejowej stawała nagle, nie wiedzieć kiedy fabryka i w ciche przedtem ustronie wносиła ludzki zgielk, jęki syren i czarne dymy szlotów. Uciekał dziki zwierz, cofał się las, kurczył się step przed wybiegającymi coraz dalej od fabryki ulicami. Były one proste, długie i coraz dłuższe, zabudowane skleconymi z desek, o podwójnych ścianach, domkami.

Skąd przychodzili mieszkańcy tych coraz liczniejszych domków?

Z całego świata, przede wszystkim z przeludnionej Europy. Wędrowały ich rzesze poszukujące pracy i chleba i znajdowały je łatwo w świeżo powstałej fabryce. Osiadały więc pod nią i zabudowywały ulice miasta — grzyba. A że na obczyźnie ludzie chętnie przebywają ze swoimi rodakami, tedy na każdej z ulic skupiała się inna narodowość. Na jednej zamieszkałi Niemcy, na drugiej Włosi, a ówdzie — Polacy.

Emigracja polska. Po powstaniu styczniowym bowiem zaczęły napływać coraz liczniejsze fale polskiej emigracji. Jednych wypędzał z kraju ucisk zaborczych rządów, inni szli za chlebem, którego w Ojczyźnie znaleźć nie

mogli, dość, że w 30 lat po powstaniu liczono już w Stanach Zjednoczonych ponad milion Polaków, głównie robotników i chłopów. Do nich to należały prawie wszystkie domy przy polskiej ulicy nowo powstałego miasta. Obok świeżo wzniesionej fabryki zakupował robotnik za niewielką sumę parcelę i kosztem paruset dolarów stawał się właścicielem domku. Tak wyrosły liczne polskie osiedla; w Detroit rachowano 40.000 Polaków, w Chicago (Czikago) kilka razy więcej. Niedługo powstawał też w osiedlu kościół i parafialna szkoła, w której oprócz języka angielskiego uczono także czytania i pisania po polsku.

W domu na polskiej ulicy. Wieczór. Po całodzienniej pracy wraca robotnik z fabryki żelaza do domu. Jest to Ślązak. Długo tułał się po Ameryce, łatwo znajdując pracę, by ją wkrótce porzucić dla innej, zyskowniejszej, aż wreszcie na tej ulicy wybudował dom i osiadł na stałe. Jest głodny. Rano wychodząc z domu wypił kawę, potem w dwu blaszanych naczyniach, jedno nad drugim, zabrał do fabryki drugą porcję kawy a nadto jakąś mięsna potrawę i jarzynę, a teraz czeka go obfita mięsna kolacja, według amerykańskich zwyczajów najważniejszy posiłek w całym dniu.

Gospodarz myje się i przebiera po pracy, a około stołu krząta się „star-ka”, jak na Śląsku nazywają starsze gospodynie. Jest ubrana w śląski ludowy strój: w bufiastą spodnicę i śliczny koronkowy czepek na głowie. Opo-wiada mężowi, że ich znajomy nastroczył im „bordnika”, tj. stołownika.

Co za jeden? Ot, rozwozi towary z „groserni” (sklepu z żywnością). Nawet wzięła od niego chleba, słoniny i jarzyn. Wygląda uczciwie. To chłop, gdzieś z niedaleka od ich rodzinnych stron, spoza ruskiej granicy, spod Częstochowy. Ma tam grunt, ale musi spłacić braci i wywianować siostrę. Przyjechał na zarobek i wraca, jak odłoży z 1.000 dolarów.

Gospodarz kiwa głową z politowaniem. 1.000 dolarów? A pracuje w groserni? Ileż on tam dziennie może zarobić? Dwa, trzy dolary? Bo nie więcej. Cóż to za „byznes” (interes)? Samo życie kosztuje go połowę zarobku. Cóż więc odłoży? Ale na stoł wziąć go można. Jest wolny „bedrum” (sypialny pokój na pięterku). A jak będzie człek godny (uczciwy), to i we fabryce znajdzie się dla niego praca. To się lepiej opłaca niż rozwozić kapustę.

Wracają od pracy synowie. Ojciec jest z nich dumny. Starszy jest „klerkiem” (pomocnikiem) w wielkim sklepie. Zarabia 10 dolarów dziennie. A jest dopiero „20 lat stary”! Ojciec w jego wieku pracował jako pomocnik „majnera” (górnika): ziemia się obrywała, waliły się szyby, ludzie kałeczeli — i co im za to płacili? 6—8 dolarów. Ale synowi będzie lepiej. Po angielsku mówi i pisze jak rodowity Amerykanin.

Młodszy znów jest „szublekerem” (ulicznym czyszcicielem butów). Ot, zarobi 8—10 dolarów w tygodniu. Jest go za co odziać. I on już mówi do brze po angielsku. Chwała Bogu, nie będzie prostym robotnikiem jak ojciec. Jak pójdzie do fabryki, to zostanie nadzorcą. Ale najlepszy dla niego byłby „salon” (wyszynk), Ma głowę do rachunków, a kto dziś więcej zarabia od szynkarzy?

Ks. Dąbrowski. Tak cieszył się ojciec zdolnościami swych dzieci, nie pomnąc, że synowie nie tylko z cudzoziemcami mówili po angielsku, ale że nawet w rozmowach między sobą coraz częściej używali tego języka. To samo działo się na całej ulicy. Dzieci emigrantów szybko amerykańzowały się, tj. zapomniały polskiej mowy i polskiego pochodzenia: zdarzały się już rodziny, w których tylko rodzice mówili ze sobą po polsku, bo dzieci używały języka angielskiego.

Jak temu zapobiec i amerykańskich Polaków ratować przed wynarodowieniem, o tym wiele rozmyślał ks. Józef Dąbrowski. Był to powstaniec z r. 1863. Po upadku powstania przyjął święcenia kapłańskie i udał się do Ameryki, aby poświęcić się pracy duszpasterskiej między emigrantami. Nie było tam prawie jeszcze księży polskich: Polak, którego zewsząd otaczała cudzoziemszczyzna, nie usłyszał swego języka nawet w kościele, podczas kazania, czy przy spowiedzi. Ks. Dąbrowski postanowił temu zaradzić. Długo kołatał do serc bogatych rodaków w kraju i na emigracji, długo kwestował i ciułał zbierane datki, aż wreszcie zgromadził tyle funduszków, że zabrał się do budowy pierwszego polskiego gimnazjum i polskiego duchownego seminarium na ziemiach Stanów Zjednoczonych.



Budowa kościoła polskiego w Detroit

Niedługo też stanął w Detroit wspinały gmach, dzieło wytrwałego kapłana-patrioty, a z murów nowej szkoły zaczęły po kilku latach rozchodzić się po polskich koloniach zastępy młodych polskich księży.

54. WÓZ DRZYMAŁY

Grunt bez domu. Michał Drzymała, człek zapobiegliwy i pracowity, kupił w Podgradowicach, w okolicy Wolsztyna w Księstwie Po-

znańskim, niewielki grunt i przyszedł do Spółki Zarobkowej po pożyczkę na postawienie budynków.

— Pożyczkę dostaniecie — usłyszał odpowiedź. — Na to zakładamy Spółki, aby polskim rolnikom i rzemieślnikom pomagać w ulepszaniu gospodarstw i warsztatów. Ale cóż z tego, kiedy wam nie pozwolą postawić domu. Stajnię, stodołę — tak, ale domu, to nie.

— Co ci Niemcy tacy na nas zawzięci — dziwił się Drzymała. — Swoich to tu napychają i dworski grunt dają i domy im budują, a nam nie wolno?

— Taką ustawę uchwalił Sejm pruski, że bez pozwolenia landrata (naczelnika powiatu) domu stawiać nie wolno. A pieniędzy na wykup polskiej ziemi mają dość, bo im rząd na to już kilkaset milionów marek wypłacił. Chcą nas zniszczyć, żeby ślad po Polakach w Poznańskim nie pozostał.

Pruskie prawo. Drzymała poszedł do miasta i opowiedział adwokatowi swoje strapienie.

— Napisać można — mówi adwokat. — Ale czy to co pomoże? Mówicie o prawie? Właśnie je tak Niemcy ułożyli, żeby nam wychodziło na szkodę. Swoim kolonistom dają grunta wielkie, na takich ustawa pozwala budować domy, a wasz grunt za mały. Ale, jak chcecie, napiszę.

Drzymała zamieszkał tymczasem w stajence. Nie było to wygodne mieszkanie. Nie było gdzie łyżki stawy zwarzyć. W stajni? Trzeba by ustawić piecyk, a to już mieszkanie; nie wolno. Na dworze? Także nie wolno. Żandarmi weszą, nawet sam ich komisarz, kiedy jedzie przez wieś, pilnie wypatruje, czy na obejściu Drzymały nie widać jakiego dymku. Niechby zobaczył! Zaraz przyjdzie żandarm: taki a taki zakaz palenia ognia między budynkami — i kara.

— W pole będę chodziła z garnkami? — gniewa się Michałowa ukradkiem rozniecając ognisko pod płotem swego obejścia.

A tu wójt, niedawno we wsi osiadły Niemiec, woła Drzymałę, pokazuje jakieś pismo i z niemiecka po polsku tłumaczy chłopu, że mu landrat nie pozwolił budować domu.

— No, będę ja też teraz miał z babą — mruknął Drzymała wychodząc z urzędu.

W stajence. Deszcz. Michałowa wchodzi do stajni z garnkiem krupniku ugotowanego w sąsiednim domu.

— Michał — powiada doprowadzona do rozpaczki kobieta. — Dwa lata kryję się we własnym obejściu jak złodziej albo żebrę łaski sąsiadów. Dwa lata śpimy w stodole, a w zimie w stajni. Ani po ludzku nie zjemy, ani odpoczniemy. Czy to psie życie nigdy się nie skończy? Lepiej na służbę pójść, bo choć izbę dostaniemy, albo jechać za morze. Mówił wójt, że Niemcy dobrze za grunt zapłacą. Michał!

Chłop siedząc na progu stajni karmił ze skopca cielę.

— Widzisz ją, jak nie mądrze gada — mówił, jak gdyby do cielęcia. Na służbę by szła, do Ameryki by jechała, grunt by sprzedawała. Tak ci tu źle? Nie jesteś to sobie swoją gospodynią? Kto ci tu ma co do rozkazu?

No, nie bec. Przebudujesz jeszcze z parę lat, to się oszczędzi tyle, że będzie za co kupić grunt z chałupą. Ale Niemcowi ziemi nie sprzedam. Wolę stracić na Polaku, jak zarobić na Niemcu. No, już nie płacz, bo nie masz czego. Widzisz, jak cielak kontentnie pije? A słyszałaś, co mówią, że komisarz zachorował na wątrobę? Pewnie ze złości na nas. Dajże mu, Panie Boże, lekką śmierć, byle prędko. Ja tam na niego niezawzięty.

Sława Drzymala. Aż zaniemówiła z radości Michałowa, kiedy pewnego wieczora zobaczyła męża wracającego z miasteczka. Szedł obok czwórkoni (trzy donajał) ciągnących ogromną budę, prawdziwy dom na kołach.

— Masz dom. Będzie kuchnia, pokój, komora. Czego ci trzeba więcej? — mówił Drzymala zajeżdżając na obejście.

— Michał! Nie powiadaj!

— U Cyganów w miasteczku kupiłem. Widzę, mieszkają, to i my tak mieszkać możemy. 350 marek zapłaciłem. Ale nie żałuj wody i mydła, bo czysty to on tam po Cyganach nie jest.



Wóz Drzymala

Zbiegła się cała wieś podziwiając chytrą Drzymalę.

— Patrzcie! Niby dom, a nie dom. Co teraz komisarz powie?

— A niech mówi, co chce. Jest wóz, czy nie jest? Jest. A wolno woz postawić na swoim obejściu? Wolno. Co mi kto zrobi?

Wóz trochę zaciekał, a trochę przewiewał, ale Michałowa była szczęśliwa. Tymczasem jednak w Poznaniu dowiedziano się o wozie Drzymala. Do Podgradowic zajechali panowie z miasta i wywiedziawszy się o wadach wozu obiecali Drzymale sprawić nowy.

— Ale żeby był trochę dłuższy. Tak na 8 metrów. I szerszy, choć 3—3½ metra.

— Będzie, będzie — mówili panowie. — Wewnątrz wyłoży się go korkami, to będzie cieplej. I piec będzie. A wóz wymalowany. Jak? Biało i zielono? Dobrze, będzie biały i zielony.

I w Poznaniu zawiązano Komitet, który ze składek zebranych w mieście kazał wybudować duży i ciepły wóz i ofiarował go Drzymale.

A niedługo się nim Drzymałowie cieszyli. Pisma polskie i zagraniczne podały o nim wiadomości, za czym zaczęto żartować i drwić z Niemców wyprowadzonych w pole przez prostego polskiego chłopca. W końcu zniecierpliwiony landrat, uważając mieszkanie Drzymały za „urągowisko powadze niemieckiego urzędu”, nakazał wóz opieczetować i odstawić go na podwórze urzędu gminnego. Stąd poznański Komitet odesłał go do Krakowa, gdzie go wystawiono na widok publiczny, a Drzymała, przemieszkawszy czas jakiś w stajence, sprzedał swój grunt Polakowi i zakupił w sąsiedniej wsi gospodarstwo wraz z prawdziwym, mieszkalnym domem.

55. WALKA O DUSZĘ NARODU

Tajna szkoła. W lesie pod Sosnowcem rozłożyła się gromadka chłopców, między którymi usiadł młody urzędnik sosnowieckiej stacji kolejowej.

— Podoba im się taka szkoła? — spytał chłopców.

— Jeszcze jak! Bardzo się podoba! Siedzą sobie na miękkim piasku jak na kanapie, nie tak, jak to było w pewnej szkółce, w której jeden z chłopców dawniej się uczył: musieli siedzieć na prostych deskach podpartych ceglami.

Inny znów uczył się na strychu: kiedy żandarmi zbliżali się do ich domu, wtedy uczniowie wydrapywali się przez otwór na dach, a potem zeskakiwali na podwórze i rozbiegali się na wszystkie strony.

Jeden z chłopców chwalił bezpieczeństwo innej szkoły. Była ona umieszczona w samotnym domu pod lasem. Przed domem czyste pole, za domem, niedaleko, las. Kiedy żandarmi nadchodzili, było ich już z daleka widać; był więc czas spokojnie schronić się w lesie.

Dlaczego, kto chciał się uczyć, musiał się ukrywać?

Bo chłopcy chcieli się uczyć po polsku, a polskie szkoły rząd carski, stłumiwszy krwawo powstanie styczniowe, zamienił na rosyjskie. A tak jak w szkole wprowadził język rosyjski i do wszystkich urzędów; nawet wójt i sołtys na wsi musieli urzędować po rosyjsku.

Jakże miło spędzili chłopcy kilka godzin w lasu pod sosnami!

— Jeszcze, jeszcze niech nam pan coś opowie! — prosili nauczyciela, a on snuł opowieści o sławie polskiej przeszłości i o ojczystych bohaterach, kiedy zaś uczniowie wracali do domów, to z takim zapałem opowiadali o lekcji, że przerażeni rodzice zatykali im usta, aby ich słów nie usłyszał przechodzący może ulicą szpieg.

Unia kościelna. Na wschodnim krańcu Królestwa wrzała walka o unicką cerkiew. Jeszcze Zygmunt III doprowadził był do zjednoczenia obu

kościółów na ziemiach Rzeczypospolitej; rzymskokatolickiego z grecko-słowiańskim, czyli prawosławną cerkwią ruską. Unia zostawiła cerkwi słowiański język w nabożeństwie, kalendarz i małżeństwo księży, cerkiew zaś, odtąd greckokatolicka, czyli unicka, poddała się zwierzchności rzymskiego papieża. Ale Rosja uważając unitów za odszczepieńców od cerkwi prawosławnej zniosła po rozbiorach Rzeczypospolitej unię kościelną w krajach za Bugiem i Niemnem, zaś po powstaniu styczniowym zamierzała to samo uczynić w Królestwie, gdzie w Chełmszczyźnie i na Podlasiu dochowało się jeszcze wiele unickich parafij.

Pratulin. Smutek panuje w Pratulinie, wsi nad Bugiem w okolicy Białej Podlaskiej. Unicki pleban skazany na Sybir, a parafianie nie wpuszczają do cerkwi przysłanego przez rząd batiuszki (prawosławnego księdza). Cerkiew pusta, mszy nikt nie odprawia, nieobszczyków grzebią sami. Czasem w sąsiednich lasach zjawia się katolicki kapłan, a wtedy matki milami niosą niemowlęta do chrztu i młode pary wędrują po ślub do swego księdza.

A tymczasem przychodzą coraz groźniejsze wieści.

— Czuli (słyszeli) wy? Do Terespoła przyjechał naczelnik powiatu z wojskiem i bili ludzi na śmierć. Ciało od kości odpadało.

Nie tylko w Terespolu. Wszędzie biją, aresztują, na Sybir wysyłają, ziemię zabierają.

Przyjdą i do Pratulina. Tylko co ich nie widać.

Mord u wrót cerkwi. W zimowy dzień wszedł do wsi oddział wojska z pułkownikiem i naczelnikiem powiatu i podążył ku cerkwi.

Ale tam, pod jej wrotami, stoi już zgromadzona cała wieś: mężczyźni i kobiety, starzy i dzieci.

Naczelnik przywołuje z plebanii batiuszkę i żąda od chłopów, by go wpuścili do cerkwi.

Nie wpuszczą — odpowiadają. — Cerkiew unicka, a nie prawosławna. Oni katolicy, chcą swego księdza.

Mówią wszyscy naraz. Naczelnik udaje, że nie rozumie. Niech lepiej wybiorą spośród siebie ludzi mądrych i ci niech powiedzą, czego sobie wieś życzy.

Ale chłopci wiedzą, co to znaczy; wybrańcy zostaną natychmiast uwięzieni. Chwila milczenia, a potem wybucha gwar.

Oni wszyscy mądrzy! Tak, tak! Wszyscy mogą rozmawiać.

— Wpuuszczą batiuszkę do cerkwi? — pyta się naczelnik.

— Nie wpuszczą. Cerkiew unicka, nie prawosławna.

Pułkownik zakomenderował. Zawarczały bębny. Wojsko nadstawiło dłoń do ataku. Chłopi usuwają kobiety za siebie.

— Wpuuszczą batiuszkę? — pyta się jeszcze raz naczelnik.

— Nie wpuszczą!

— Na sztyki (na bagnety)! — komenderuje pułkownik i wstęga bagnatów uderza w bezbronną gęstwę ludzkich ciał.

Zadrżała cierkiew od krzyku mordowanych i jęku kobiet stłoczonych za plecami mężczyzn. 13 trupów leży pod bramą cerkwi, 30 rannych ślania się nad nimi. Lecz już ktoś uniósł jedne zwłoki w górę jak chorągiew i zaintonował pobożną pieśń, pochwyconą przez resztę parafian. Pułkownik szaleje. Wyciąga z tłumu chłopca i pastwi się nad nim bijąc go i kopiąc, potem drugiego, trzeciego... A tłum śpiewa. Aż pułkownik opadł z sił i bezradny zakomenderował odwrót.

A pratulinianie i inni chełmscy i podlascy unicy, straciwszy jeszcze wielu ludzi przez zsyłkę na Sybir, zostawili batuszkom puste cerkwie, sami zaś przyjmowali Sakramenty święte w rzymskokatolickich kościołach, a gdy przerażeni pogroźkami rządu księża wzbraniali się ich udzielać, przekradali się lasami po chrzty i śluby do dalekiej Galicji, a nawet do Krakowa.

56. O JANIE MATEJCE

Młodość. Gromadka chłopców szła śpiesznie ulicami Krakowa. Jeden z nich niósł gruby i ciężki drządek, długości laski, zwany „palestrą”, inny podrzucał i chwycił niewielką odlaną z gumy piłkę. Po drodze dopędzili małego wątlego chłopca.

Pójdzie z nimi na Błonia? Brakuje im jednego do gry w piłkę, aby była równa ilość po obu stronach.

Ale chłopiec obojętnie popatrzył na nich wielkimi czarnymi oczyma, po czym wymówił się brakiem czasu i odszedł opuszczając zawiedzionych towarzyszy.

Był to młodzieńcy Jan Matejko. Nie bawiło go nic z tego, co zwykle cieszy dzieci. Zatapał się chciwie w licznych w Krakowie pamiątkach dawnych wieków. Przesiadywał tedy przed pomnikami w katedrze wawelskiej lub w grobach królewskich, a gdy w czasie jakiej uroczystości zadzwonił *Z y g m u n t*, wtedy przed oczyma chłopca przesunęły się obrazy z odległej przeszłości Polski, a widział je wyraźniej niż żywych ludzi, którzy go otaczali.

Zaprzagnął zostać malarzem, toteż ojciec odebrał go z gimnazjum i oddał na naukę do szkoły malarstwa w Krakowie, a po jej ukończeniu wybrał się młody Matejko na dalszą naukę do Niemiec.

Obrazy historyczne. Skoro wrócił do Krakowa, gdzie do końca życia mieszkał w rodzinnym domu przy ul. Floriańskiej, rzucił się do pracy. Ze zdumiewającą szybkością zaczęły się ukazywać ręką jego malowane obrazy z przeszłości Polski. Patrzyła na niego z podziwem i czcią najpierw Polska, potem cały świat. Mając lat 26 zdobył sobie na wystawie paryskiej najwyższe odznaczenie i powszechny podziw obrazem „*Kazanie Skargi*”. Odtąd co kilka lat opuszczał jego pracownię olbrzymich rozmiarów, bo wielkości np. ściany w sali szkolnej, obraz, którym pragnął utrwalić w pamięci narodu jakąś ważną chwilę dziejową, a zarazem przypomnieć światu, że Polska była niegdyś wielkim i potężnym państwem.



Stańczyk (obraz Jana Matejki)

Oto tytuły jego obrazów: „Bitwa pod Grunwaldem”, „Stańczyk”, „Unia Lubelska”, „Hołd pruski”, „Posłowie moskiewscy proszą króla Stefana Batorego o pokój”, „Odsiecz Wiednia przez Jana Sobieskiego”, „Konstytucja Trzeciego Maja” i „Kościuszko pod Racławicami”. To tylko najważniejsze z jego dzieł, a wszystkie tak wielkie rozmiarami, że trzeba by sporego kościoła, aby je w sobie mógł pomieścić. Są zaś te obrazy arcydziełami równymi największym dziełom sztuki wszystkich innych narodów, a jednak niepodobnymi do żadnego z nich: tak bardzo odrębny od innych był wielki, potężny duch Matejki.

Jeden z wielkich malarzy zagranicznych zapytany, co sądzi o Matejce, zdjął kapelusz z głowy i rzekł:

— O Matejce powinno się mówić tylko z kapeluszem w ręku.

Mistrz przy pracy. Zdumienie nas ogarnia nad ogromem pracy dokonywanej przez Matejkę, kiedy przygotowywał się do tworzenia nowego dzieła. Widać ją dziś w jego pracowni zamienionej po jego śmierci na muzeum; można w nim podpatrzeć, w jaki sposób wielki malarz tworzył swoje historyczne obrazy.

Dbał on o wierne przedstawienie wyglądu, stroju i broni historycznych postaci. Dlatego gromadził u siebie wszystko, co pochodziło z dawnych czasów, jak stare zbroje, szaty, czy choćby kawałki drogocennych, starożytnych jedwabów i aksamitów. Ale wielu takich przedmiotów nie mógł pozyskać dla swoich zbiorów; odrysowywał je więc starannie w muzeach i skarbcach, aby w każdej chwili mieć pod ręką podobizny wszystkiego, czym się

bohaterowie jego obrazów w życiu otaczali. Ich samych, bohaterów, królów i hetmanów, szukał na dawnych rysunkach, obrazach i medalach, nawet na pieczęciach, którymi odciskano w wosku podobizny władców. Odrysowywał je wszystkie z największą starannością, porównywał z sobą podobizny, poprawiał i potem pozostawało mu tylko w te rysy tchnąć duszę, co dla niego, który wiecznie przebywał myślą w ubiegłych wiekach, było pracą łatwą. Stąd pochodzi, że w obrazach Matejki wszystko jest prawdziwe, po prostu jakby wykradzione przeszłości.

Inne dzieła Matejki. Oprócz obrazów historycznych, których Matejko pozostawił blisko 100, sławnym jego dziełem jest także pokrycie całego wnętrza kościoła Mariackiego w Krakowie pięknymi malowidłami, które powstały w ten sposób, że Matejko malował swe pomysły na wielkich kartonach, a jego uczniowie stojąc na rusztowaniach odtwarzali je na ścianach kościoła. Poza tym malował także portrety, tj. obrazy przedstawiające współczesne mu osoby.

Wielkość mistrza. Taki mistrz byłby dla każdego narodu skarbem; dla Polaków będących w niewoli był błogosławieństwem. Toteż otaczano go nadzwyczajną czcią. Stworzono umyślnie Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, aby Matejce oddać jej kierownictwo, wybito na jego cześć medal, a gdy wykończył i w sali Sukiennic na widok publiczny wystawił swój wspaniały „Hołd pruski”, urządzono wielką uroczystość na cześć twórcy.

Bo też ogromna była zasługa mistrza Jana Matejki: oto do wielkiego skarbcza sztuki świata wprowadził on malarstwo polskie, dzięki niemu równe doskonałością najslawniejszym dziełom innych narodów.

Znalazło się tam obok poezji Mickiewicza i muzyki Szopena.

57. O HENRYKU SIENKIEWICZU

I BOLESŁAWIE PRUSIE

Sienkiewicz. Trylogia. Łatwiej czyta się powieści z dziejów niż naukowe dzieła historyczne, więc też od dawna pisano takie powieści za granicą, a potem i u nas. Z naszych powieściopisarzy największą sławę pozyskał sobie Henryk Sienkiewicz. Pisał językiem prostym, dla każdego zrozumiałym, a tak umiał przedstawiać czytelnikom czy ludzi, czy rzecz jakąś, że zdaje się czytającym, jakoby osoby opisywane znali, a bitwy widzieli na własne oczy i brali w nich udział. I drugi jeszcze dar miał Sienkiewicz: dowcip taki, że mógłby nim rozśmieszyć ludzi najbardziej ponurych, a postać starego szlachcica, Z a g ł o b y, tchórza i samochwała, ale przezorne go i dobrego człowieka, mówiącego ustawicznie dowcipy, musi się każdemu podobać. Jakoż trylogia Sienkiewicza, jak z grecka nazwano jego trzy powieści historyczne z czasów Jana Kazimierza i jego następcy, znalazła mnóstwo czytelników i to tak wśród ludzi oświeconych, jak i prostaczków, a przetłumaczona na wiele języków, jest czytana chętnie na całym świecie.

„Potop”. Spośród składających się na trylogię powieści najslawniejsza

nosi tytuł: „P o t o p”. Opisał w niej Sienkiewicz czasy wojen szwedzkich, kiedy to przybysze z północy zalali Polskę i kiedy zdawało się, że kraj nasz



Henryk Sienkiewicz

już nigdy nie wydzwignie się na swobodę. Wszystkie te zawody i triumfy, zdrady i poświęcenia, klęski i zwycięstwa, liczne bitwy, przedstawił Sienkiewicz tak żywo i tak barwnie, że pozostają w pamięci czytelnika na długie lata. Główną postacią opowiadania jest młody i dzielny szlachcic Kmicic, który początkowo obalamucony przez zdrajców, staje po ich stronie przeciw prawowitemu królowi, ale potem, przejrawszy, naprawia swój błąd bezgranicznym poświęceniem się dla ojczyzny.

Była trylogia pisana dla pokrzepienia serc w smutnych czasach po powstaniu styczniowym — i spełniła swe zadanie przypominając, jak to Rzeczpospolita, choć tonęła w zalewie nieprzyjacielskich najazdów, znalazła w sobie tyle sił, że zdołała swą niepodległość obronić.

Inne pisma Sienkiewicza. Po wydaniu trylogii napisał Sienkiewicz powieść z czasów prześladowania chrześcijan przez cesarza rzymskiego Nerona i dał jej łaciński tytuł: „Quo vadis?” co znaczy po polsku: Dokąd idziesz? Ta powieść, w której występuje także święty Piotr, przetłumaczona na obce języki zdobyła Sienkiewiczowi światową sławę.

Życie Polski w dawnych czasach, i to w czasach tak bardzo odległych, jak panowanie Jagiełły, maluje nam Sienkiewicz najdokładniej w powieści pt.: „K r z y ż a c y”, kończącej się wspaniałym opisem bitwy pod Grunwaldem.

Bolesław Prus. Równocześnie z Sienkiewiczem żył w Warszawie jego kolega szkolny i równie, jak on, znakomity powieściopisarz, Aleksander Głowacki, który utwory swoje ogłaszał pod nazwiskiem przybranym, czyli pseudonimem Bolesława Prusa. I on umiał pisać jasno, a dowcip miał nie mniejszy, a delikatniejszy niż Sienkiewicz, ale nie szedł z nim w zawody, bo zajmowały go sprawy zupełnie inne. Nie pojedynki, walki i bitwy pociągały Prusa, ale to, co się dzieje w głębi serca ludzkiego, przede wszystkim zaś dobroć. Więc w przepięknych drobnych opowiadaniach przedstawiał ciche, niezauważone przez nikogo poświę-

cenia i bohaterstwa. W jednym z nich np., chory student widzi we śnie niebo: najwspanialej wygląda w nim stara Żydówka, handlarka śledzi, której potargane, nędzne ubranie lśni jak drogocne kamienie w nagrodę za to, że nie mogąc więcej dawała raz na tydzień śledzia pierwszemu ubogiemu, którego spotkała, idąc z rana na targ.



Bolesław Prus

„Placówka”. Ale nie tylko dobroci serca żądał Prus od swoich rodaków: uczył ich także hartu woli. Oto w opowieści pt. „Placówka” przedstawił walkę chłopca polskiego, Ślimaka, z kolonistami niemieckimi, walkę o ziemię rodzinną. Niemcy, którzy od właściciela wsi nabyli duży kawał gruntu, chcą kupić jeszcze zagon od Ślimaka, bo wiatrak, który im jest konieczny, można postawić tylko na Ślimakowym pagórku. Ale chłop nie chce sprzedać ojczystej ziemi. Darmo próbują koloniści różnych sposobów i ofiarują mu wielkie sumy pieniędzy; odprawia ich z niczym i nie ustępuje, choć nieszczęścia jedne po drugich spadają na niego jak gromy. Wreszcie nadchodzi chwila, w której koloniści wynoszą się z Polski, a Ślimak dźwiga się z biedy i rozpozna szczęśliwsze od dotychczasowego życie.

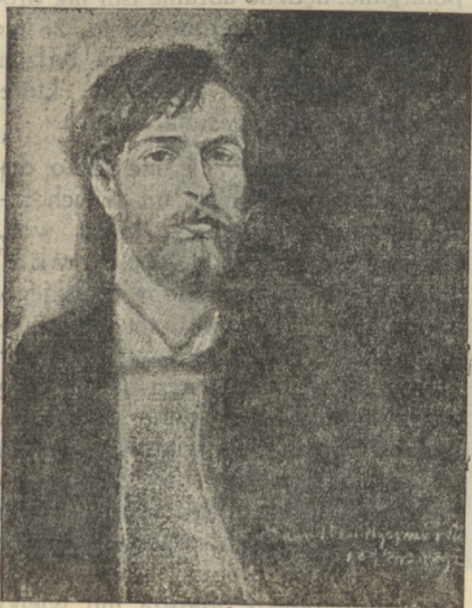
Dwa światła. Kto pragnie uradować się wspomnieniami dawnej chwały wojennej polskiej i widokiem żołnierzy gotowych w każdej chwili ofiarować życie za sprawę, dla której walczą, ten znajdzie to wszystko w powieściach historycznych Sienkiewicza. Kto zaś pragnie obrazów poświęceń cichych, codziennych, dobroci serca lub bohaterskiego wytrwania w spełnianiu pospolicich, ale ciężkich obowiązków, ten niech czyta dzieła Prusa.

Jakże szczęśliwa byłaby Polska, gdybyśmy w codziennym życiu naśladowali bohaterów Prusa, a w chwili niebezpieczeństw grożących Ojczyźnie umieli jej bronić tak dzielnie i niezłomnie, jak bohaterowie trylogii Sienkiewicza!

58. O STANISŁAWIE WYSPIAŃSKIM

Malarz. Z okien kamienicy pod Wawelem, która 400 lat przedtem należała do wielkiego historyka i wychowawcy Jagiellonów, ks. Jana Długosza, wpatrywał się mały Staś w katedrę. Widział ją już to w blaskach słonecznego dnia, już to w krwawej łunie zachodu, już wreszcie długimi zimowymi wieczorami w sinym świetle księżyca. Dostojne mury i kryjące

się w nich pamiątki dawnej polskiej sławy czarowały wrażliwą duszę chłopca podobnie, jak się to działo kilkadziesiąt lat przedtem z Matejką; nic więc dziwnego, że młody Stanisław, syn rzeźbiarza, został uczniem starego już Matejki. Był



Stanisław Wyspiański (autoportret)

jednym z tych, co według planów mistrza malowali kościół Mariacki; inny zaś kościół, Franciszkanów, chlubi się sławnymi, przepięknymi witrażami, które Wyspiański stworzył już sam po śmierci króla polskich malarzy.

Poeta. Ale Wyspiański nie potrafił wymalować wszystkiego, o czym marzyła jego dusza. Zaczął więc tworzyć dramaty, czyli dzieła poetyckie, przeznaczone do odgrywania w teatrze.

Tręścią ich były zawsze sprawy polskie: albo przedstawiały próby zrzucenia jarzma niewoli, jak np. „Noc listopadowa”, albo zawierały

myśli, jak zdobywać wolność i od czego odzyskanie niepodległości jest zależne. O tym też mówi najświetniejsze dzieło Wyspiańskiego — „Wesele”.
 „Wesele”. Na wsi pod Krakowem odbywa się wesele. Żeni się młody poeta z chłopką; zebrali się więc ludzie z wszystkich stanów. Są mieszczanie i szlachta i chłopci, jest ksiądz i Żyd-arendarz. Jedna z panien zaprasza żartem także chłopa, wiecheć słomiany, który pod oknem otula krzak róży — i, o dziwo, chochoł przychodzi i zapowiada nowych gości. Jakoż po chwili zajeżdża na białym koniu dawno, przed stu kilkadziesiąt laty, zmarły Wernyhora, sławny lirnik ukraiński, który marzył o zjednoczeniu panów z chłopami i podobno przepowiadał upadek i wskrzeszenie Polski; przyjmuje go gospodarz domu, a Wernyhora każe rozesłać wici (wezwanie na wojnę), bo mają się rozstrzygnąć losy Polski.

Gospodarz patrzy, słucha: sen to, czy jawa?

— Jako żywol Jako żywol

Wać mi takie dziwa prawi
 i to jako rzecz prawdziwą!
 — mówi zdumiony, na co Wernyhora wręczając mu złoty róg od-
 powiada:

— Wszystko święte! Wszystko żywe!

Waszność rękę miej szczęśliwą —

daję wami z ł o t y r ó g!

A złoty róg ma cudowną siłę zniewalania ludzi do wielkich czynów; uszczęśliwiony gospodarz wręcza go parobkowi, by z nim obiegł chaty i zwołał naród. Ale wysłaniec schylając się po pawie piórko, które mu z czapki odpadło, gubi róg i wskutek tego, gdy zebrali się chłopci z kosami, zabrakło hasła mogącego ich zaprowadzić w bój. A wtedy zjawia się znowu słomiany chochoł, a wszyscy zebrani tańczą sennie, tak jak on im przygrywa na dwu patykach, jakby na wiejskich skrzypcach.

W Polsce po ukazaniu się „Wesela” zawrzało. Jedni poetę wysławiali — inni burzali się na niego. Zarzucali mu, że obraża cały naród. Bo cóż znaczy ten złoty róg? To przecie nieugięta woła wydobycia Ojczyzny z jarzma zaborców. I tę wolę, tę niezłomną chęć, jak twierdzi Wyspiański, naród utracił, zgubił ją, troszcząc się więcej o rzeczy tak blahe, jak kolorowe piórko. Mało tego: zgubivszy złoty róg, tańczy posłusznie według muzyki chochoła — czyli słucha nakazów swych przewodców, marnych jak pusta słoma!

Nie jesteście to obraza narodu?

Tak mówili przeciwnicy autora „Wesela”. Ale „Wesele” jest dziełem tak pięknym i potężnym, że i oni musieli przyznać, iż w Wyspiańskim przybył Polsce prawdziwy, wielki poeta.

Do czynu! Tymczasem w Rosji wybuchła rewolucja. W Polsce znaleźli się ludzie, którzy postanowili skorzystać z osłabienia państwa carów i przygotowywać wskrzeszenie niepodległości Ojczyzny. Jeli się tedy tworzenia zawiązków polskiego wojska. Wydali do narodu odezwę, by nie szedł na ten cel składek. Podpisał ją, między innymi, jeden z największych polskich pisarzy, Stefan Żeromski i poszedł z nią do Wyspiańskiego, by go również do jej podpisania zaprosić.

Wyspiański wpatrywał się długo w twarz gościa, a potem zaczął pisać prośbę o zwolnienie z posady profesora Akademii Sztuk Pięknych, gdyż uważał, że nie może podpisywać odezwy wzywającej do powstania i pozostać płatnym austriackim urzędnikiem.

A potem wstał i zaczął mówić:

— Daję jedenaście obrazów, które mam na wystawie w Warszawie. Niech je sprzedadzą jak najdrożej. A tu mam rysunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Zaraz odbiję ją na swój koszt w stu tysiącach egzemplarzy. Jeżeli je sprzedadzą po rublu (rosyjska moneta = około 2 zł.), będą mieli sto tysięcy.

Nazajutrz zapukał do mieszkania Wyspiańskiego Józef Pił-

su d s k i.

59. MŁODOŚĆ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Dzieciństwo. W Ziemi Wileńskiej, niedaleko Święcian, w pięknej, pagórkowatej okolicy, pełnej lasów i jezior, w majątku Zułowie, urodził się w parę lat po powstaniu styczniowym Józef Piłsudski. Pochodził z bogatej, prawie magnackiej rodziny. Miłość wzajemna licznych rodzeństwa, dostatek w domu mogły były sprawić, by lata dzieciństwa, jak nazywano Józefa, płynęły wśród spokoju i niezamąconego szczęścia. A jednak smutek panował w dworze zułowskim, zbyt bowiem świeża była pamięć niedawnej klęski. Więc jak w każdym polskim domu na Litwie, tak i w Zułowie płynęło życie na opowieściach o bohaterach powstania, o ukrywanym w r. 1863 we dworze przed carskimi siepaczami powstańcu, o gwałtach żołnierskich, o szubienicach, na których ginęli najlepsi synowie Ojczyzny z rozkazu okrutnego generała Murawiewa, którego sami Moskale przezwali *Wieszatielem* (wieszającym) i o męczennikach zagrzebanych za życia w kopalniach Sybiru. Upływały lata, a ludzie ciągle jeszcze drżeli z przerażenia i nienawiści na widok czynowniczego (urzędniczego) munduru i bledli, gdy pod dworem zabrzmiał dzwonek u wózka nadjeżdżającego żandarma moskiewskiego.

Matka. Mimo to Polska żyła w sercach Polaków. „Matka, — pisał później Józef — nieprzejednana patriotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu i zawodów z powodu upadku powstania; owszem, wychowywała nas robiąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem ojczyzny. Od najwcześniejszego dzieciństwa zaznajamiano nas z utworami naszych wieszczów, uczono historii polskiej, kupowano książki wyłącznie polskie”. Wieczorem gromadziła się cała rodzina i domownicy, by słuchać utworów wieszczów, głośno czytanych przez matkę. Wieczorne te zebrania zawsze kończono słowami, wyjętymi z utworu polskiego poety: „Będzie Polska w Imię Pana!”

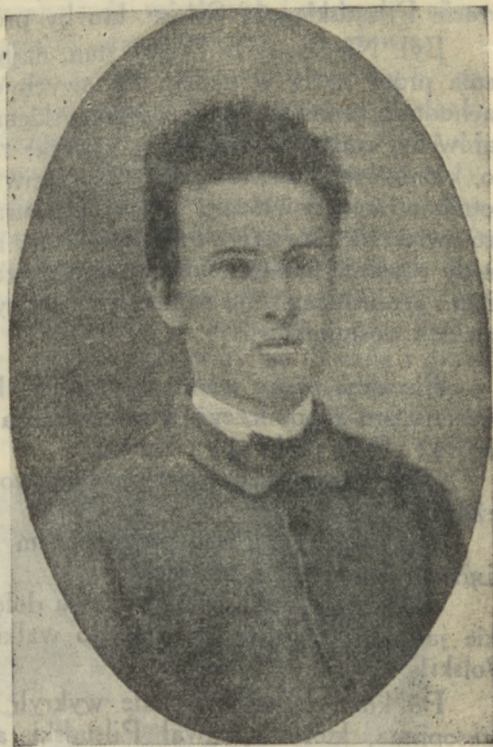
O wpływie matki na wychowanie swoich dzieci dowiadujemy się z późniejszych pism Józefa. „Gdy jestem w rozterce ze sobą, gdy wszyscy są przeciwko mnie, gdy w koło podnosi się burza oburzenia i zarzutów, gdy okoliczności nawet są pozornie wrogie moim zamiarom, wtedy pytam się samego siebie, jakby matka kazała mi w tym wypadku postąpić i czynię to, co uważam za jej prawdopodobne zdanie, za jej wolę, już nie oglądając się na nic”.

W szkole. W siódmym roku życia małego Ziuka nawiedził Zułowo straszliwy pożar. Stan majątkowy państwa Piłsudskich pogorszył się; musieli wyzbyć się reszty majątku i przenieśli się do Wilna. Tu zapisali synów do gimnazjum mieszczącego się w starych murach dawnego polskiego uniwersytetu, w którym kształcił się niegdyś Mickiewicz i filomaci.

Były to najprzykrejsze lata dla małego Ziuka. Na każdym kroku dziecko polskie było podsłuchiwane i szpiegowane przez nauczycieli rosyjskich. Musiał się uczyć po rosyjsku, musiał wysłuchiwać pogardliwych słów o Polsce. Nieraz burzył się z tego powodu, ale wtedy uspokajała go matka:

— Cóż robić, synu? Wyrośniesz. **pomścisz. A teraz ucz się, ucz! Nie daj najmniejszego powodu do zaczę** **ci.**

Tak upłynęło kilka lat. Mały Ziuł nauczył się wiele. Zrozumiał, że naród podbity, aby odzyskać wolność, musi potajemnie do tego się przygotować. Doprowadziło to młodych Piłsudskich do założenia tajnego **Kółka samokształcenia** wśród młodzieży gimnazjalnej, podobnego do Towarzystwa Filomatów: na tajnych zebraniach zajmowano się historią Polski, omawiano pojawiające się utwory literackie Sienkiewicza i inne i poruszano zagadnienia społeczne, zwłaszcza toczono rozmowy o socjalizmie, nauce, głoszącej, że tylko praca wytwarza wartość i że wszystko, co przyczynia się do wytworzenia wartości, np. ziemia, kopalnie, fabryki, powinny być wspólną własnością pracujących, a nie należeć do tego lub innego człowieka.



Józef Piłsudski jako uczeń

„Poza książkami tyczącymi się Polski czytałem dosyć dużo najróżnorodniejszych książek, wszystko, co mi tylko nawinęło się pod rękę — mówi o sobie Józef Piłsudski. — Najżywsze wrażenie sprawiały na mnie książki opisujące byt narodów klasycznych (starożytnych), Greków i Rzymian. Prawdopodobnie dlatego, że były przepełnione szczegółami walk o ojczyznę i opisani bohaterskich czynów. Oprócz tego byłem rozkochany w Napoleonie i wszystko, co się tego mego bohatera tyczyło, przejmowało mnie wzruszeniem...”

Na Sybir. Ukończywszy gimnazjum został Józef Piłsudski uwikłany w proces o spisek na życie cara. Piłsudski wiedział o spisku, ale go potępiał.

Twierdził, że Polacy nie powinni się mieszać w takie sprawy. Cóż Polsce przyjdzie z tego, że jeden car zginie, a drugi przyjdzie na jego miejsce. Zresztą nie sam car jest największym wrogiem Polski.

Jakoż i sam nie chciał słyszeć o spisku i innym radził, by w nim nie brali udziału.

Mimo to, ponieważ wiedząc o spisku nie doniósł o nim rosyjskim władzom, został razem z bratem skazany na zesłanie do wschodniej Syberii, gdzie spędził kilka lat swego życia.

60. DO BRONI!

Robotnik w walce z caratem. Czy był kto w Polsce w czasach po powrocie Piłsudskiego z Sybiru, kto by prowadził walkę z carskim rządem?

Był. Niedawny w Polsce stan, najbiedniejszy, nie mający nic do stracenia prócz życia w nędzy. W owych czasach robotnik — w państwach zachodnich broniony już przed wyzyskiem przez prawo — pod panowaniem carów był ciągle jeszcze zdany na łaskę fabrykanta, zwykle człowieka obcego, którego rząd zawsze popierał przeciw robotnikom. Rosło więc wśród robotników niezadowolenie, wybuchały strajki, tłumione krwawo przez wojsko, wreszcie powstały tajne stowarzyszenia robotnicze, dążące do obalenia caratu. Nowego wroga rząd zwalczał po staremu — więzieniem i szubienicami, na co znów robotnicy odpowiadali zamachami na życie carskich dostojników.

Pierwsza próba walki zbrojnej, r. 1905. Piłsudski zgłosił się do najliczniejszego robotniczego stowarzyszenia, Polskiej Partii (stronnictwa) Socjalistycznej.

— Może z tych ludzi da się stworzyć zbrojną siłę na wojnę z najeźdźcą?

Tak rozważał i pod pseudonimem Wiktora głosił robotnikom w pismach, odezwach i mowach:

— Jeżeli chcecie polepszyć swą dolę, to musicie naprzód zrzucić rosyjskie jarzmo! Gotujcie się więc do walki z bronią w ręce o niepodległość Polski!

Po kilku latach Moskale wykryli w Łodzi drukarnię „Robotnika”, czasopisma, które wydawał Piłsudski, a jego samego uwięzili. Piłsudski zdołał jednak zmylić czujność straży i przy pomocy towarzyszy zbiec z więzienia, po czym schronił się do Galicji, skąd kierował dalszą walką przeciwko caratowi.

Wtem wybuchła wojna między Rosją a Japonią. Wojna skończyła się w r. 1905 klęską Moskali. W państwie carów wybuchła rewolucja. W Królestwie młodzież samorzutnie przestała uczęszczać do rosyjskiej szkoły; Towarzystwo „Macierz Szkolna” zaczęło zakładać szkoły polskie; unicy jawnie ogłaszali się katolikami; zarządy gminne wprowadzały do urzędowania język polski zamiast nakazanego rosyjskiego.

Te zdobycze zadowalały wielu Polaków, ale Piłsudski nie przestawał nawoływać do rozpoczęcia zbrojnej walki o niepodległość. Tłumaczył, że niepodległości Polski „nikt nam nie podaruje, ani nikt za nas nie wywalczy”, że o nią musimy walczyć sami „i to nie na języki, nie za pomocą bibuły zadrukowanej, lecz z bronią w ręku. Musimy przeciwstawić zorganizowanej sile najazdu — siłę zbrojną mas ludu polskiego”!

Ale masy nie garnęły się do Organizacji Bojowej, którą założył przeważnie z robotników Królestwa Polskiego, a wtedy sam twórca organizację rozwiązał i zajął się tworzeniem wojska polskiego w najswobodniejszym wówczas z zaborów, w Galicji.

Związki Strzeleckie. Nagle po całym tym kraju rozległo się między młodzieżą hasło: Wstępować do Strzelca! Do polskiego wojska!

I wkrótce na ulicach miast widywano ludzi młodszych i starszych, ubranych w szaroniebieskie kurtki, w krągłych „maciejówkach” na głowie.

Byli to strzelcy, członkowie Związku Strzeleckiego, organizacji kierowanej przez Józefa Piłsudskiego. Główna kwatera Związku była we Lwowie; tam też mieszkał Komendant. Przyjmowano do Strzelca, jak zwykle tę organizację nazywano, każdego Polaka liczącego przynajmniej 16 lat życia; jego obowiązkiem było uczyć się musztry, strzelania, patrolowania, wszystkiego, co potrzebne żołnierzowi. Czynili to strzelcy, gdy miasto jeszcze spało; o 5 rano wyruszali w pole, by po paru godzinach ćwiczeń wrócić do swoich codziennych zajęć: fabryki, warsztatu, sklepu czy biura. Ich podoficerowie i oficerowie kształcili się w osobnych szkołach założonych przez Związek Strzelecki; w lecie odbywały się dzienne i nocne ćwiczenia w obozach letnich, a w Zakopanem miał siedzibę utworzony ze składek społeczeństwa Polski Skarb Wojskowy.



Przeгляд oddziałów Strzelca w r. 1913 we Lwowie

Liczba strzelców rosła; w końcu nie było w Galicji miasteczka, gdzieby nie było strzeleckiej organizacji. Powstawały nawet po wsiach. Nadto do szkół i letnich obozów zjeżdżali się strzelcy z Królestwa, Litwy, Ukrainy, a nawet z głębi Rosji, Niemiec, Belgii i Francji.

Tylu ludziom Polski Skarb Wojskowy nie mógł dostarczyć broni. Pożyczały jej Strzelcom austriackie wojskowe komendy: Austria bowiem, któ-

ra spodziewała się lada dzień wybuchu wojny z Rosją, chciała mieć Polaków po swej stronie.

61. WYBUCH WOJNY ŚWIATOWEJ

Beczka prochu. Jak Polska długa i szeroka, wszędzie mówiono o niechybnej, bliskiej wojnie.

W Niemczech jej zarzewie — twierdzili jedni. — Tam się ludzie po prostu duszą. Jest ich prawie połowa tej liczby, która zamieszkuje Rosję, a mają 40 razy mniejszy kraj. Ich ogromny przemysł rośnie i coraz trudniej im znaleźć zbyt dla swoich wyrobów. Wciskają się więc z nimi do kolonij, zwłaszcza angielskich. To drażni Anglików. W dodatku rośnie ilość niemieckich okrętów wojennych i Anglicy zaczynają się obawiać o swoje panowanie na morzach. Oto, dlaczego wojna jest nieunikniona.

A Francja? — przypominali inni. Rządzą tam ludzie, którzy w młodości patrzyli na straszliwą klęskę zadaną ich ojczyźnie przez Niemców. Tam od 40 lat gotują się do odwetu.

Czy dadzą Niemcom radę? — Niektórzy powątpiewali. — Niemcy, to naród wielki, drugi co do liczebności po Rosji. Mają największą armię. I podobno najlepszą. Nadto pomogą im Austro-Węgry.

Austro-Węgry? Nie. Austriacy i Węgrzy będą mieli co innego w głowie, niż pomagać Niemcom — sądzili niektórzy. — Spadnie na nich lawina rosyjska. Od dawna Moskale głoszą się opiekunami Słowian, których tyle w Austro-Węgrzech; będą ich chcieli oswobodzić od jarzma austriackiego, aby im nałożyć moskiewskie.

Takie były zwykle wówczas rozmowy w Polsce.

A rządy zbroiły się na wyścigi, tak na lądzie i morzu, jak i w powietrzu, budując niedawno przedtem wynalezione samoloty, narody zaś ugiwały się pod brzemieniem podatków na zbrojenia.

Europa była jak beczka prochu: lada iskra mogła wywołać straszliwy wybuch

Strzały w Sarajewie. W Bośni, kraju należącym wówczas do Austro-Węgier, a zamieszkałym przez prawosławnych Serbów i tylko katolicką religią od nich różniących się Chorwatów, odbywały się w czerwcu r. 1914 manewry (ćwiczenia wojskowe), na które przyjechał następca austriacko-węgierskiego tronu. Towarzyszyła mu żona. Kiedy auto wiozące arcyksiążęcą parę wjechało do stolicy Bośni, Sarajewa, na przód wybuchła rzucona pod nie bomba nie wyrządzając zresztą żadnej szkody jadącym, ale później, na innej ulicy, padło parę strzałów, od których zginął arcyksiążę i jego żona.

Austriackie ultimatum. Zamieszkujący południowe kraje Austro-Węgier Chorwaci i Serbowie tym boleśniej odczuwali ucisk obcych rządów, że tuż za granicą, na półwyspie Bałkańskim, cieszyło się niepodległością, małe zresztą, królestwo serbskie. Jakoż wśród młodzieży serbskiej

w Austro-Węgrzech powstała tajna organizacja, której celem było połączenie wszystkich ziem serbo-chorwackich z rodzinnym królestwem, i jej to dziełem był zamach w Sarajewie.

— Oto, jaki tam w Austro-Węgrzech ucisk narodów — mówiono w Europie po zamachu.

— Ten zamach, to knowanie Serbów z królestwa. Narody w Austro-Węgrzech są zadowolone — odpowiadali Austriacy zgoła w to nie wierząc.

I z Wiednia przychodzi do Serbii ultimatum, tj. ostateczne żądanie, którego odrzucenie oznacza wojnę: Austro-Węgry żądają prawa prowadzenia na ziemiach serbskiego królestwa śledztwa w sprawie zabójstwa arcyksięcia.

Rząd serbski po dokładnym rozważeniu ultimatum wielkiego sąsiada odpowiada:

Chociaż żądanie uwłacza godności niepodległego państwa, to jednak Serbia zgadza się na nie, jeżeli na takie naruszenie jej niezawisłości zgodzą się inne państwa europejskie.

Kiedy do Wiednia przyszła odpowiedź serbska, generałowie zażądali wojny.

— Ależ Serbowie nie odrzucili austriackiego ultimatum — tłumaczyli im niektórzy. — Jakże tu wzbudzić w kraju zapal do wojny, skoro Serbia chce pokoju?

— Więc trzeba ogłosić, że Serbia odrzuciła ultimatum — nalegają generałowie.

I cesarz austriacki, zarazem król węgierski, uczynił to i, podniecany zresztą przez swego potężnego sprzymierzeńca, niemieckiego, cesarza Wilhelma II, zaczął z Serbią wojnę.

Początki wojny. Ale przeciw Austro-Węgom i Niemcom stanęła Rosja, Francja, Anglia i Japonia, a później jeszcze Włochy i Rumunia, a do Niemiec przyłączyła się znów Bułgaria i Turcja — i zaczęła się wojna, jakiej nie zaznała ludzkość od początku swego istnienia. Nie tysiące bowiem, ani nawet setki tysięcy ludzi wyprowadzał rozkaz wodzów na pole bitwy, ale miliony, które były się na lądzie, na morzu i pod jego powierzchnią, i w powietrzu, bronią, dawnej niesłyszalną, bo nawet trującymi gazami, których używanie na wojnie wprowadzili pierwsi Niemcy przeciw murzyńskiemu wojskom francuskim.

Działania wojenne zaczęli Niemcy i szybko dotarli aż prawie pod Paryż, lecz po kilku tygodniach ponieśli klęskę i cofnęli się, a wtedy oba nieprzyjacielskie wojska stanęły na długi czas i okopały się naprzeciw siebie. Również i wojska austro-węgierskie, pobite przez Moskali, musiały się cofać, a armia rosyjska dotarła aż pod Kraków, na południu zaś przekroczyła Karpaty i zajęła północną część Węgier.

Na ziemiach polskich walczyli trzej zaborcy w dwu wrogich sobie obozach i paląc wsie i miasta, burząc historyczne budowle, rabując dobytek, w ruinę zamieniali polski kraj.

Ostatnie manewry. Znojne to były dnie owego lipca r. 1914, kiedy brać strzelecka, zjechała się na manewry, które odbywały się pod Krakowem. Więc z lubością, złożywszy karabiny w kozły i zrzuciwszy plecaki na ziemię, kładli się strzelcy na nocny spoczynek pod gołym niebem. Ale długo nikt nie zasypiał, długo w nocy toczyły się gawędy, zwłaszcza o dokonanym przed kilku dniami zabójstwie w Sarajewie.

Zastanawiano się, czy może z tego wyniknąć wojna. O jednego człowieka, choćby arcyksięcia, Austria miałaby wysyłać tysiące ludzi na śmierć? — Nie. Wielu strzelcom zdawało się to niemożliwe.

Na to otrzymywali odpowiedź, że wprawdzie zabójstwo w Sarajewie samo nie wywoła wojny, ale może ją przyspieszyć. Bo, że na nią się zanosi, to pewne. Wojna musi wybuchnąć, bo za dużo ludzi jej pragnie.

— W Królestwie Polskim niewielu — twierdzili Królewiaacy. — Tam boją się zwycięstwa Niemców. Wołą już jarzmo Moskali.

Wreszcie zgodzono się na to, że najlepiej dla Polski było by, gdyby Niemcy pobili Rosjan, a potem zostali pobici przez Francuzów. Byłby to cud!

Wszyscy zaborcy pokonani — to po prostu zmartwychwstanie dawnej Rzeczypospolitej! Ale nie można beczynnienie czekać cudów; trzeba pamiętać, że musi się stworzyć silne polskie wojsko, aby, jak wojna wybuchnie, armie zaborców staną przeciw sobie, bić z Niemcami Rosję, a po jej pokonaniu — z Francuzami Niemców.

Mobilizacja związków strzeleckich. Wtem pewnego dnia w parę tygodni po strzeleckich manewrach Kraków zawrzał niebывалым gwarem.

— Wojna! — krzyczą roznosiciele gazet. Wojna! — mówią znajomi czy nieznajomi spotykając się ze sobą. — Wojna między zaborcami!

Na ulicach, w biurach, w warsztatach, kawiarniach, wszyscy mówią o wojnie. Fabryki pustoszeją, a ulicami przeciągają zbrojne oddziały w marcjówkach i śpiewają:

„Wnet z naszych strzelb piorunne zagrzmią strzały,
a lotem kul kieruje zbawca Bóg!”

— Strzelcy! Nasi strzelcy! Wojsko polskie! Komendant Piłsudski ogłosił mobilizację (wezwanie do broni) związków i drużyn strzeleckich!

W tzw. Oleandrach, na łąkach pod miastem, rojno i gwarno. Strzelcy obozują pod gołym niebem, palą ogniska, odbywają musztrę, wychodzą z obozu na dalsze ćwiczenia. W mieście zapal rośnie. Na jeden z placów wpada wóz z chłopem w białej sukmanie. Chłop zeskakuje na ziemię, całuje ją i klęcząc, rozkłada ręce i woła w radosnym zdumieniu:

— O Jezu Najświętszy! O Matko Boska! Moskali już na granicy nie ma ani jednego. Precz odeszli!

Otoczyła go publiczność. Skąd jest? Spod Miechowa. Jechał do Krakowa, a tu na granicy nie ma komu oddać przepustki. Nie ma granicy!

136

Rozkaz Komendanta z 3 sierpnia 1914 r. Zanim Austriacy zaczęli kroki wojenne przeciw Rosji, ruszył do Królestwa Polskiego pierwszy oddział polskiego wojska, tzw. kompania kadrowa, która na wydartej Moskalom polskiej ziemi miała tworzyć nowe oddziały wojska. Kadrowka liczyła 152 ludzi; stojąc na baczność, słuchali idący na wojenny trud żołnierze rozkazu Komendanta:



Józef Piłsudski

„Żołnierze! Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie Ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie nazywam szarż (stopni), każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje (czynności) dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było!

„Patrzę na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska i pozdrawiam was jako pierwszą kadrową kompanię!”

Przed świtem 6 sierpnia 1914 roku kadrowka ruszyła z Krakowa do Królestwa. „Złoty róg” Wyspiańskiego zagrzmiał słowami rozkazu Komendanta Piłsudskiego.

Legiony. Za tą kompanią poszły inne. Wtedy zebrali się w Krakowie przedstawiciele polskich stronnictw zaboru austriackiego i po naradach z Komendantem utworzyli Naczelny Komitet Narodowy jako najwyższą polską władzę, a z oddziałów walczących w Królestwie stworzyli, na wzór Dąbrowskiego, nowe polskie Legiony. Na czele departamentu Wojskowego Komitetu stanął pułkownik Władysław Sikorski, który werbował ochotników do Legionów i starał się dla nich o broń. Wkrótce Naczelny Komitet Narodowy zawarł z naczelną komendą austriacką umowę, która pozostawiając Legionom polską komendę i polskie odznaki, zapewniła im jednocześnie, jako współwalczącym z Rosją, uzbrojenie i umundurowanie. Zaczęły się dla żołnierza polskiego lata krwawych walk i ciężkich ofiar.

63. WŚRÓD KARPACKICH WIERCHÓW

Z Królestwa w Karpaty. Po klęsce, której doznała armia austriacka w okolicy Lublina, prawie całe Królestwo Polskie zostało znów zajęte przez wojska rosyjskie. Nadto przeszły one na południe od Wisły przez Dunajec i zagroziły Krakowowi; a na zachód od Nowego Sącza posunęły się nieco za L i m a n o w ę. Tam naprzeciw Rosjan stanęła austriacka kawaleria, której dano do pomocy wycofane z Królestwa 2 pułki piechoty polskich Legionów, zrazu tylko po 2 bataliony każdy — i stu kilkudziesięciu konnych.



Orzełek legionowy

Pułkami tymi dowodził Komendant Józef Piłsudski; dwa inne były się we Wschodnich Karpatach.

Mroźnym wieczorem nadeszli legionści do wsi przeznaczonej dla nich na kwatery. Ale wieś pełna wojska. Natomiast w dwu sąsiednich małych wioskach nie ma Austriaków; tylko w jednej z nich, Chyżówk a c h, rano byli Moskale. Czy są tam jeszcze? — Zapytywani górale nie widzieli ich odchodzących.

Chyżówki leżały o parę kilometrów w bok od austriackiego frontu. Był to błąd, popełniony przez Austriaków, że pozwolili wrogowi usadowić się tak blisko ich prawego skrzydła. Ale Komendant przekonał się już w poprzednich bojach, że Austriacy często popełniali błędy. Postanowił ich tedy zabezpieczyć, a zarazem zdobyć nocleg dla jednego ze swych pułków.

Chyżówki. Była już ciemna noc, kiedy pułk przyszedł pod Chyżówki i otoczył wioszczynę dokoła. Nocował tam spory oddział rosyjskich ułanów pod wodzą 7 oficerów. Tworzyli go najdzielniejsi żołnierze, ze swego pułku umyślnie wybrani i zaopatrzeni w najlepsze konie. Mimo to oddział źle spełniał obowiązki. Oficerowie nie wiedząc o nadejściu polskich pułków, a lekceważąc austriacką konnicę, nie wysłali patroli i rozstawiwszy kilka wart, ułożyli się do spoczynku. Tymczasem Polacy otoczywszy wieś zaczęli się podsuwać ku budynkom. Jakaś warta zauważyła ten ruch i nagle w ciszy nocnej pada kilka strzałów. Zrywa się z łóżka rosyjski dowódca, wybiegają z chat i stodoł ułani i zaczynają strzelać w ciemności, nie trafiając zresztą nikogo. Ale w ciemności odzywają się rosyjskie przekleństwa, tak dokładnie wygłaszane przez legionistów z Królestwa, że Moskale, przekonani o zbliżaniu się swoich, przestają strzelać. Wtem jak piorun spadają na nich polskie bataliony i ułani rosyjscy poddają się.

Była to prawdziwie „mistrzowska sztuka” żołnierskiego rzemiosła: cały oddział z końmi i bronią wzięty bez wystrzału do niewoli. Austriacy zwy-

kle woleli trzymać się od nieprzyjaciela z daleka, toteż wielka była ich zazdrość, zmieszana z podziwem, z powodu czynu legionowej braci. Generał dowodzący pod Limanową przyjechał do Komendanta, aby zobaczyć wstawione już zresztą przedtem Legiony; dowiedziawszy się zaś, że nie mają ani jednego szybkostrzelnego maszynowego karabinu, czyli kulomiotu, oddał pod rozkazy Komendanta dwu swoich oficerów z dwoma kulomiotami, czterema działami i ich obsługą.

Przekleństwo niewoli. Ale nie zawsze odważne czyny legionowe wywoływały zadowolenie Komendanta. Czasem zamiast radości duszę jego przepełniał ból. Działo się to wtedy, gdy naocznie dostrzegał bolesne skutki rozdarcia Ojczyzny. Raz schwytano paru jeńców i przyprowadzono ich do niego. Działo się to w tych samych Chyżówkach. Jeden z jeńców był ciężko ranny w piersi. Pokazało się, że to Polak z Litwy i że pochodzi ze znanej Komendantowi rodziny. Jeniec miał łzy w oczach, a i Komendant Piłsudski niedaleki był od łez, jak sam o tym kiedyś później pisał.

Nowy Sącz. Jeden pułk Legionów, wywieńczony i przerzedzony niedawnymi bojami w Królestwie, odszedł z Chyżówek za front bojowy, tak że Komendant, wysunąwszy się przed Austriaków aż do sąsiadującej z Sączem wsi, znalazł się pewnej grudniowej nocy z dwoma tylko batalionami, tj. z niespełna 2.000 ludźmi i 12 działami, w czym 4 austriackie, wobec 12.000 niespodzianie do Sącza nadeszłych Moskali.

Kilkadziesiąt rosyjskich dział grzmiało przez cały dzień s z r a p n e l a m i, roztrzaskującymi się nad głowami polskiej garstki; przez cały dzień terkotały rosyjskie kulomioty i strzelały ręczne karabiny podsuwających się ku wsi Moskali; przez wiele długich godzin Komendant spoglądał w bok, skąd, przez górę, powinna była nadejść spod Limanowej pomoc austriackich oddziałów.

Ale Austriaków nie widać; zamiast ich posiłków na górze pokazują się Moskale.

Polskiej garstce grozi oskrzydlenie.

Komendant, próbując wycofać się, przesuwa część swego oddziału w bok, ku Limanowej. Czy dojdzie nie przerywając ognia na nowe stanowiska, zanim je zajmą Moskale?

Mała nadzieja. Komendant rozgląda się i widzi za sobą płonąca wieś, a na pagórku kościół murowany i murem opasany.

Trzeba iść pod kościół — postanowił. — Tam, za murem można się jeszcze czas jakiś bronić.

Był gotów na śmierć.

Ale i Moskale, podobnie jak Austriacy, nie lubili pośpiechu. Zamiast szybko odciąć Polakom odwrót, rozciągali się powoli coraz dalej ku Limanowej dając Komendantowi czas na przenoszenie swego oddziału częściami ku zachodowi, tak że gdy po dniu nieustannej, ciężkiej walki zapadł wieczór, Polacy straciwszy zaledwie 100 ludzi w rannych i zabitych znaleźli się niedaleko Limanowej.

Tymczasem Moskale zatrzymani przez legionowy pułk cały dzień, pozwolili Austriakom ściągnąć tyle sił, że wkrótce wojska rosyjskie poniosły na tym odcinku frontu bojowego ciężką klęskę.

64. WŚRÓD MOKRADEŁ WOŁYNIA

Rozrost Legionów. Na początku wojny zapowiedział cesarz niemiecki swemu wojsku, że zanim liście z drzew opadną, Niemcy wrócą jako zwycięzcy do domów. Ale od tego czasu drzewa już dwa razy straciły liście i dwa razy pokryły się świeżą zielenią, a wojna się nie kończyła.

Tymczasem Legiony polskie rozrastały się. Liczyły już 7 pułków piechoty, podzielonych na 3 brygady, nadto brygadę konnicy, razem kilkanaście tysięcy ludzi z artylerią i kulomiotami. Była to już więc cała mała armia, która z końcem drugiego roku walczyła nad rzeką Styrem na Wołyniu.

Dwie brygady tej armii stały pod *K o s t i u c h n ó w k ą*.

Wojna okopowa. Już rok przedtem bowiem Niemcy, przełamawszy rosyjski front nad Dunajcem, odrzucili Moskali daleko na wschód, aż za Bug, w dorzecze Prypeci. Ale siły przeciwników były tak liczne, że czoło każdego z nich stanowił jeden nieprzerwany szereg oddziałów, oparty jednym bokiem o Morze Bałtyckie, a drugim sięgający aż do granicy rumuńskiej. Nie podobna więc już było wroga ani oskrzydlić, ani otoczyć; można było tylko przełamać. Aby do tego nie dopuścić, oba nieprzyjacielskie fronty zabezpieczyły się rowami, wałami i ustawionymi na nich płotami z kolczastego drutu; w rowach czuwały stale wojskowe posterunki, a reszta żołnierzy czekała z tyłu gotowa do odparcia wroga, gdyby się pokusił o zdobycie umocnień. Tam też, z tyłu za rowami, kopało sobie wojsko miejsc a noclegowe, zwane *z i e m i a n k a m i*, pokryte pniami drzew i ziemią, przed wielkimi zaś pociskami armatnimi, granatami, chowano się do głębszych od ziemianek i grubiej od nich pniami i ziemią pokrytych *g r a n a t n i k ó w*.

Spokój na froncie. Długo już stoi I i III brygada Legionów pod spaloną i pustą *K o s t i u c h n ó w k ą* na *P o l s k i e j G ó r z e* i w *P o l s k i m L a s k u*. Tak nazwali Austriacy parumörgowy lasek nad sporym bagnem i piaszczysty pagór niedaleko lasku. I góra i lasek zryte, okopane kilku szeregami rowów i odrutowane; z tyłu ziemianki i granatniki.

Spokój. Tylko czasem, raz na kilka dni, odzywają się działa i przechrzykują się ponad linie okopów, wałów i drutów. I czasem tylko, kiedy armaty umilkną, odnosi brać legionowa na ramionach kolegę na założony za ziemiankami cmentarzyk, na którym też rośnie powoli ilość mogił i krzyżów, zbitych z białych brzoźowych konarów.

Przyjechał też raz w piękny majowy dzień wielki przyjaciel legionowej wiary, ks. biskup Bandurski, który się zjawił w okopach polskich, by ich obrońcom przynieść pozdrowienie od rodaków i zachęcić do wytrwania w walce o wyzwolenie Ojczyzny.



Ks. biskup Bandurski zwiedza okopy nad Styrem

Spokój. Legionowa wiara chodzi a raczej pełza na wywiady ku rosyjskim okopom, kopie obronne rowy, poprzeczne do nich dojścia, czyli g a n k i, naprawia ziemianki, a wolni od zajęć czytają, grają w piłkę nożną, a nawet urządzają przedstawienia teatralne i inne zabawy.

Wielka bitwa. Świt letniego dnia. W ziemiankach wszystko śpi. Nagle pada strzał jeden, drugi, coraz częstsze. Drży ziemia, do ziemianek wpadają kłęby dymu.

Wiara zrywa się na równe nogi.

— Kufarki! — „Kuferkami” nazywano wielkie g r a n a t y, tj. armatnie pociski, które wybuchają dopiero po zetknięciu się pocisku z ziemią.

Co żyje, wybiega z ziemianek i patrzy. Za ziemiankami kapliczka na cmentarzu, zbudowana przez żołnierzy, zniknęła; cmentarz zorany granatami; trupy, dawno pogrzebane, wyrzucone z grobów, poszarpane w strzępy, rozrzucone na wszystkie strony.

Przed ziemiankami okopy. Ale ich nie widać. Schowały się w jednej nieprzejrzanej chmurze białego dymu. A z chmury co chwila, prawie co sekunda, wylatują tumany szarego piasku, wyrzucanego wysoko przez wybuchy „kuferków”.

— Obywatelu plutonowy! Melduję, że naszej ziemianki już nie ma.

— Niewielka szkoda! Idźcie do „lisiej jamy”.

Lisią jamą nazywało się silnie zbudowane schronisko.

Ciężkie granaty dziurawią wszystko, las, bagno, ziemianki; strumienie czarnego błota, tumany piachu, całe drzewa z korzeniami wylatują w powietrze. Huk taki, że aż w uszach kłuje. Paru żołnierzy popada w obłęd.

Ogień uspokajał się na chwilę, potem znów się wzmagał, aż nagle wieczorem umilkł.

— Do okopów! — brzmi komenda.

Nieprzyjaciel, ostrzelawszy tysiącami pocisków polskie stanowisko, ruszył do ataku.

Wróg pośród drutów. Zaroił się w Polskim Lasku rów przed kolczastym drutem. Wiara opiera się piersiami o ścianę okopu i wysuwa karabiny ku nadchodzącym Moskałom. Idą już? Nie widać ich w dymie. Nagle pokazują się o 20 kroków, przy odrutowanych kołkach przed rowem.

„Ur-raa!” — wyrwał się przeciągły krzyk z tysięcy piersi. Lunął w nich ogień kulomiotów, karabinów i ręcznych granatów. Wrogów jak mrowia; pełzają popod druty, inni kładą się na kolce, jeszcze inni wspinają się na druty. Kołki poddają się ciężarowi ich ciał, pochylają się ku ziemi. Coraz bliższe czerwone, spocone twarze. Tnie je ulewa kul; ludzie giną w milczeniu, często nie wystrzelivszy nawet, nie rzuciwszy granatu, który każdy z nich ma przygotowany. Rośnie wał trupów między drutami, na drutach, tuż nad rowem.

Polakom mdleją ręce. Pot zalewa oczy. W uszach tętni.

Nagle w rowie krzyk:

— Moskale na Polskiej Górze!

Polską Górę zajmowali od jakiegoś czasu Austriacy. Teraz nie wytrzymali ataku i uciekli. Polski Lasek będzie opasany. Obrońcom opadają ręce. Korzysta z tego hurma Moskali i nagle staje na brzegu okopów.

— Bić w nich! — rozlega się w okopach dziki krzyk i jak piorun zagrzmiąły karabiny, w jednej chwili oczyszczając brzeg rowu.

Tymczasem jeden batalion Legionów odebrał Moskałom Polską Górę, ale nie otrzymawszy pomocy od Austriaków został opasany i musiał się przebijając z bagnietem w rękę przez mrowie Moskali, przy czym zginął jego dowódca.

Frontowemu okopowi w lasku zagroziło znów opasanie; znużonym obrońcom kazano się wycofać do drugich, przygotowanych poprzednio okopów.

A potem zapadła krótka lipcowa noc, po której nastąpił podobny poprzedniemu okropny dzień i po nim jeszcze jeden: trzeci.

I każdego dnia sąsiedni Austriacy opuszczali swoje okopane stanowiska na Polskiej Górze odsłaniając atakującym Moskałom bok polskiego frontu i narażając Polaków na otoczenie przez wroga.

W tych strasznych dniach jeden pułk I brygady stracił więcej niż połowę oficerów i prawie połowę żołnierzy. Polegli dwaj dowódcy batalionów, a komendant pułku, podpułkownik *Berbecki*, został ciężko ranny.

65. NAD STOCHODEM

Odwrot. Front austriacki nad Styrem przerwany. Na nic się nie zdały krwawe polskie wysiłki pod Kostiuchnowką. Bohaterowie Polskiego Lasku

idą, śmiertelnie zmęczeni, na nowe stanowiska. Przygotowano je nad Stochodem, o 50 km na zachód od Styru.

Świt. Idą całą noc. Bolesnie wrzynają się w karki rzemienie. Jak ołów cięży broń i plecak. Oczy się kleją. Zwidują się majaki: trupy, strzępy ciała, twarze wśród drutów, a wszystko to leci, zbliża się płynąc jak ptak nie poruszający skrzydłami.

Żołnierz wzdryga się. Otwiera oczy. Przez szeregi przebiega szept: — Równaj krok! Dziadek patrzy na nas.

Dziadkiem zwano Komendanta.

A Komendant stoi przed chatą przy drodze i smutnie uśmiecha się do swej wiary.

— Bardzoście pomęczeni, chłopcy? — pyta.

— Nie, nie bardzo — zapewnia wiara, prostując plecy.

Nareszcie postój. Trzy godziny spoczynku. Spać!

Popłoch. Po krótkim niespokojnym śnie, marsz. Obok kolumny Legionów, drugą stroną drogi, ciągnie austriacka artyleria. Nagle pęka kilka rosyjskich szrapneli. Austriacy zrywają się do ucieczki. Przerazona ciżba wpada na maszerującą polską kolumnę.

— Stać! — krzyczy jakiś legionowy porucznik i chwyta za cugle konia austriackiego kapitana, a drugą ręką przykłada mu lufę do czoła.

— Bagnet na broń! — brzmi polska komenda i kolumna staje naprzeciw pędzącej ciżby. Ta uspakaja się, a Polacy przepuszczają ją obok siebie. Ale za nią pędzi druga fala Austriaków, a za nimi uciekają Niemcy.

Przelatują na koniach oficerowie, wozy, armaty, oddziały kulomiotów. Wpadają na siebie, potracają się, tratują. Uciekają całe szwadrony huzarów, ułanów. Ich świetni oficerowie rzucają po drodze szable, pistolety. Wylatują z wozów skrzynki amunicji, granaty, szrapnele, wory jęczmienia, owsa, sucharów. Wreszcie fala mija; nadlatuje trzecia i czwarta.

Wtem ze stojącej spokojnie polskiej kolumny buchnął śpiew:

„Hej strzelcy wraz! Nad nami Orzeł Biały!”

Zdumieli się dowódcy austriaccy, zawstydzili się niemieccy, słysząc śpiew polskiego żołnierza pośród burzy ogólnego popłochu. Zaczynają zdzielać swoje przerażone konie, popłoch ustaje i wraca spokój dzięki dzielności wycieńczonego legionowego oddziału.

Druga rocznica. Nad Stochodem doczekały się Legiony drugiej rocznicy wymarszu kadrówki. Świącono ją uroczysto, ale nie bez rzewnego smutku.

Na obszernej polanie rozpięto namiot. W nim ustawiono ołtarz. W zło-cisty ornat przybrany kapelan odprawia uroczyste nabożeństwo. Podłużnym czworobokiem stoją delegacje oddziałów I brygady i zaproszeni z dwóch innych brygad. Przed ołtarzem grupka wyższych oficerów, między nimi Komendant, jego szef sztabu, czyli doradca, Sosnkowski, i pułkownik

Haller. Na lewo od nich pierwsza patrol, która z Galicji udała się do Królestwa, dalej kadrówka sprzed dwu lat. Ale mało kto z niej został. Ze 152 ludzi, którzy o świcie 6 sierpnia r. 1914 wyszli z Krakowa do Królestwa, jest ich na polanie nad Stochodem trzydziestu kilku kapitanów, poruczników, podporuczników, sierżantów, kaprali i szeregowców różnych rodzajów broni.



Odznaka I Brygady

Od ołtarza padają słowa:
— Modliłem się o to, by Bóg zachował nam Komendanta naszego; modliłem się o urzeczywistnienie naszego celu: niepodległego Państwa Polskiego, za które już tyłu zginęło... A teraz wzywam was do wspólnej modlitwy za spokój dusz poległych naszych kolegów.

Ku ziemi chylą się kornie postacie dowódców, oficerów, żołnierzy. Kłęk Komendant. Modlący się wspominają poległych towarzyszy broni. Tyle krwi przelanej! A ile jej jeszcze przelać trzeba, aby wywalczyć Niepodległą Polskę?

Po nabożeństwie Komendant przypina obecnym żelazny Krzyż I Brygady, a oficerowie wręczają mu honorową szablę. Orkiestra gra: „Jeszcze Polska nie zginęła!”

W końcu odczytano rozkaz, w którym Komendant żądał od wojska, aby zawsze strzegło honoru żołnierskiego munduru i życzył małej polskiej armii, aby w następną rocznicę rozkaz był odczytany już na wolnej polskiej ziemi.

Rozkaz ten obszedł wszystkie trzy brygady, a był pożegnaniem się Komendanta z Legionami, gdyż niedługo potem otrzymał na własne żądanie zwolnienie z dowództwa i wyjechał do Warszawy budować niezależną od nikogo, polską siłę zbrojną.

66. O POLSKIEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ

Listopadowa demonstracja. Przykro było wyjrzeć na ulicę w Warszawie jesienią r. 1914. Wszędzie pełno rosyjskiego wojska, dążącego na front, zewsząd dolatują dźwięki rosyjskiej mowy. Żalana wrogą powodzią publiczność potulnie ustępuje z drogi butnym carskim oficerom, a tajna, po cywilnemu dla niepoznaki ubrana policja, kręcąca się wśród tłumu, raz po raz rzuca okrzyki:

— Niech żyje rosyjska armia!

I obafamucony ludzki tłum powtarza bezmyślnie okrzyk, a pod kopyta kozackich koni padają wiązanki kwiatów, rzucane przez policyjnych służowników.

Wtem rozeszła się po Warszawie wieść, że w rocznicę listopadowego

powstania ma się odbyć w kościele św. Krzyża demonstracja, przygotowana przez jakąś tajną organizację. Publiczność pośpieszyła do kościoła. Nagle nad jej głowy wznosi się spory biało-czerwony sztandar przyniesiony przez kogoś w kieszeni i w kościele zatknięty na łaskę. A tam już drugi taki sam powiewa nad głowami i trzeci i dziesiąty, a z tysiąca piersi grzmia chórem słowa pieśni:

Boże, Coś Polskę przez tak liczne wieki.....

„Cudny, wzniosły nastrój opanował dusze — opowiada naoczny świadek demonstracji. — Wszystkie oczy zalane łzami, wszystkie twarze pobladłe z uniesienia”.

Po chwili u wejścia wszczął się zgiewk. Do kościoła wpadają żandarmi i wyprowadzają aresztowanych, a opornych biją i kopią.

Utajone wojsko. Owa demonstracja była dziełem tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Powstała ona za plecami rosyjskiego frontu na rozkaz Komendanta Józefa Piłsudskiego, zaczynającego wtedy ozięne boje na czele garści strzeleckiej wiary. Oficerowie legionowi, przysyłani przez Komendanta, uczyli członków organizacji rzemiosła wojskowego, po czym jedni z tych tajnych żołnierzy przechodzili przez front do Legionów, a inni zostawali za plecami wroga i przyprawiali go o dotkliwe straty zrywając połączenia telegraficzne, niszcząc magazyny i uszkadzając kolejowe tory.

Była to praca trudna i niebezpieczna. Polacy z Królestwa, żywo pamiętając popowstaniowe prześladowania, wyrzekali się nawet myśli o zbrojnej walce z Rosją; mimo to jednak i mimo licznych szpiegów i grozy szubienicy organizacja, zwana krótko P. O. W., zjednywała sobie, zwłaszcza między młodzieżą, coraz liczniejszych członków.

Z końcem pierwszego roku wojny zajęli Królestwo Niemcy i Austriacy. Organizacja rosła. Wstępowali do niej Polacy ze wszystkich zaborów po obu stronach bojowego frontu; należało do niej wiele kobiet, które przewoziły tajne rozkazy komendy organizacji i przy współpracy Ligi Kobiet opiekowały się żołnierzem polskim, dostarczając mu bielizny, mundurów, pielęgnując rannych; wstępowali też do niej niektórzy Polacy, służący w armiach austriackiej, niemieckiej, a nawet rosyjskiej.

Polska Organizacja Wojskowa rosła tworząc coraz liczniejszą, tajną, niezależną od nikogo polską armię.

Miał więc czym zająć się Komendant, kiedy na początku trzeciego roku wojny złożywszy dowództwo przybył do Warszawy.

Ogłoszenie niepodległości Królestwa Polskiego. Tymczasem siły przeciwników wyczerpywały się. Znużeni już byli wojną Rosjanie, a i Niemcy z trudem tylko wytrzymywali na zachodnim froncie napór Francuzów i Anglików.

Z placów boju dochodzą do Niemiec wołania generałów o więcej ludzi. Skąd ich wziąć? Chyba z Królestwa Polskiego. Może ono dać setki

tysięcy doskonałego żołnierza. Ale Polacy nie pójdą za darmo na wojnę. Trzeba im dać niepodległość.

I aby sobie zjednać Polaków z Królestwa, Niemcy i Austria wydały akt, w którym ogłosiły niepodległość tego kraju i utworzyły dla Królestwa tymczasowy rząd, nazwany *R a d ą S t a n u*, do której jako referent spraw wojskowych, więc jakby ich minister, powołany został Józef Piłsudski.

— Teraz Królestwo ma niepodległość — mówili Niemcy. — Niech więc da jak największą armię pod niemiecką komendę! Niech Rada Stanu zarządzi pobór rekruta!

— Owszem, Królestwu potrzebna wielka armia — odpowiada Piłsudski. — Ale musi ona słuchać komendy polskiej, nie obcej.

Na to Niemcy się nie godzą. Któż wie, czy ta armia nie wystąpiłaby przeciw nim? Werbują (zaciągają) więc ochotników do Legionów. Ale Komendant przez Polską Organizację Wojskową ogłasza rozkaz: nie dawać ochotników! — i z całego kraju zgłasza się zaledwie paruset, zamiast pożądanych przez Niemców setek tysięcy.

Uwięzienie Komendanta, upadek I brygady. Tymczasem w Rosji wybuchła rewolucja. Carat upadł, armia rozprzęgła się. Stało się to, na co liczył Komendant. Teraz, po klęsce jednego zaborcy, trzeba przyspieszyć upadek dwu innych.

— Nie mamy takiej siły, aby Niemców „zarznąć”, ale mamy jej dość, by ich „dorznąć” — mówił do swych pomocników z Polskiej Organizacji Wojskowej. A Niemcom, kiedy coraz natarczywiej wołali o pobór rekruta, odpowiadał, że zarządzi pobór, ale dopiero wtedy, gdy obce wojska opuszczą kraj.

Wtedy Niemcy zaczęli z Legionów i owych nielicznych ochotników tworzyć Polską Siłę Zbrojną i zażądali od żołnierzy przysięgi na wierność nie tylko Ojczyźnie, ale także na „braterstwo broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier”. Na to Polska Organizacja Wojskowa ogłasza rozkaz Komendanta: nie przysięgać — i z 6 pułków tylko 2 złożyły przysięgę, a 4, tj. I i III brygada, odmówiły jej.

— To jawny bunt! — krzyczą Niemcy — i rozbijają oporne brygady, a ich żołnierzy umieszczają pod strażą w obozach jeńców, Komendanta zaś i pułkownika Sosnkowskiego wywożą jako więźniów do Niemiec, gdzie w twierdzy *M a g d e b u r g u* Piłsudski przebywał już do końca wojny.

67. POLSKIE WOJSKA NA OBCZYŻNIE

Bajonczycy. Pierwsze tygodnie wojny. W Paryżu popłoch. Wielu mieszkańców ucieka z zagrożonego miasta. Rząd opuszcza stolicę.

Przebywający we Francji Polacy podają sobie wiadomość, że związki *S o k o ł ó w* (towarzystw gimnastycznych) organizują oddziały ochotników na wojnę z Niemcami. Słyszy to *S z a f r a n i e c*, tułacz z Galicji, człowiek w sile wieku, ale z wargą zapadłą na bezzębną szczękę. Chciałby się

zgłosić do polskiego oddziału, ale wie, że go francuski lekarz nie uzna za zdolnego: nie ma zębów. Więc trzeba je sobie wprawić. Ale to kosztuje, a on nie ma pieniędzy. Tedy Szafraniec pożyczwszy sobie ubrania sprzedał swoje, jedyne, jakie miał, a potem pobiegł do dentysty wprawić sobie zęby. Za parę dni jechał już z innymi ochotnikami do Bayonne (Bajon) w południowo-zachodniej Francji, gdzie z nich zorganizowano polską ochotniczą kompanię, którą niedługo wysłano na front.

Ale rosyjskie poselstwo sprzeciwiło się tworzeniu dalszych polskich oddziałów i wkrótce kompania bajończyków, nie zasilana nowymi ochotnikami, została w ustawicznych bojach tak przerzedzona, że jej resztki wcielono w końcu do oddziałów francuskich.

Szafraniec zginął w trzecim roku wojny jako porucznik francuskiej piechoty.

Pokój brzeski. Brygada II, czyli karpacka, którą dowodził Józef Haller, składała się przeważnie z Polaków zaboru austriackiego. Złożyli oni przysięgę żadaną przez Niemców, ponieważ sądzili, że wytrwanie przy Austrii może sprawie polskiej przynieść jakiś pożytek.

Tymczasem stało się, że ta resztką Legionów przeżyła I i III brygadę tylko o kilka miesięcy.

W Rosji wybuchła rewolucja. Wywołała ją socjalistyczna partia robotniczo-chłopska, zwana bolszewicką. Front rosyjski rozsypał się; bolszewicy, opanowawszy rządy, prosili Niemców o pokój.

Ujarmione narody państwa carów podniosły głowę; w Kijowie Ukraińcy utworzyli osobny rząd, a ten ogłosił niepodległość Ukrainy i zawarł w Brześciu nad Bugiem pokój, w którym Austria i Niemcy odstąpiły Ukrainie Chełmszczyznę i Podlasie, ziemie niedawno uświęcone krwią unickiego ludu.

Hallerczycy. Ten nowy rozbiór Polski popchnął II brygadę do rozpaczliwego kroku. Stała ona na Bukowinie, za południowo-wschodnim kątem dzisiejszej Rzeczypospolitej. Po gorączkowych naradach postanowiono porzucić Austrię i pod komendą pułkownika Hallera udać się na Ukrainę i do Rosji, skąd przychodziły wieści o tworzeniu się oddziałów polskich z Polaków rozbitej armii rosyjskiej. Ale tylko część II brygady zdołała przebić się przez front austriacki; część zatrzymali Austriacy i wywieźli do więzień i obozów jeńców. Oddziały, które przeszły granicę, dotarły aż do Kaniowa nad Dnieprem, i tam, osaczone przez Niemców, musiały po całodziennej uporczywej walce złożyć broń.

Pułkownik Władysław Sikorski przebywał wówczas w Przemyślu ja-



Odnaka II Brygady

ko komendant Polskiego Korpusu Posiłkowego. Na wieść o zawarciu pokoju brzeskiego wysłał on ze swoimi oficerami, uroczysty protest na ręce naczelnego wodza Austrii przeciw nowemu rozbiorowi Polski oraz list do pułkownika Hallera pochwalający jego stanowisko. Za czyny te został aresztowany i wywieziony na Węgry.

Smutny więc był koniec II brygady. Ale żołnierz legionowy nie spoczął. Rozprószywszy się po Ukrainie, przedzierał się do różnych polskich oddziałów, nawet na daleki, lodowaty *M u r m a n*, leżący na skraju północnej Europy, gdzie pułkownik Haller zbierał resztki swej brygady, by z nimi wyjechać morzem do dalekiej Francji.

Tam też, mianowany generałem, skupił wokół siebie tych Polaków z wojsk niemieckich i austriackich, którzy jako jeńcy przebywali we Francji i we Włoszech, a kiedy do nich przyłączyli się liczni rodacy, rozsiani po Ameryce i Azji, stanęła z Francuzami przeciw Niemcom nowa, kilkunastotysięczna polska armia.



Wręczenie sztandarów armii polskiej we Francji

Polskie oddziały wojskowe na Wschodzie. Tymczasem za rosyjskim frontem powstały już przedtem liczne polskie wojskowe oddziały. Po wybuchu rosyjskiej rewolucji i po upadku carskiego tronu między Polakami służącymi w armii rosyjskiej rozbrzmiało hasło: „Tworzyć własne, polskie wojsko!” Nawoływali do tego przede wszystkim członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej i ich to głównie dziełem były te coraz liczniejsze polskie oddziały za rosyjskim frontem. I tak w Kijowie zebrała się cała dywizja strzelców pod dowództwem pułkownika Żeligowskiego — w Mińsku utworzył generał Dowbor Muśnicki I korpus pol-

ski, na który złożyły się 3 dywizje piechoty, a także konnica i artyleria, razem około 10.000 żołnierzy — niedługo potem powstał na Ukrainie II, później III polski korpus, a nawet na dalekiej Syberii uzbierała się dywizja, zwana syberyjską.

68. ZMARTWYCHWSTANIE

Upadek potęgi niemieckiej. Chociaż Niemcy wojnę z Rosją wygrali, mimo to jednak zbliżali się szybko do upadku. Zaczęli ponosić klęski na froncie zachodnim, gdzie obok Francuzów i Anglików stanęły teraz, jako ich sprzymierzeńców, także Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Amerykanie wysyłali nie tylko coraz więcej wojsk, ale także nowych, nieznanych przedtem przyrządów wojennych, jak np. czołgi, potężne opancerzone wozy, uzbrojone w działa i karabiny maszynowe, miazdzące wszystko po drodze i przechodzące łatwo przez takie przeszkody, jak kolczaste druty i strzeleckie rowy. Jakoż niedługo po zawarciu zwycięskiego pokoju z bolszewikami zaczęła się armia niemiecka wycofywać z Francji, w której od czterech lat walczyła, a w jesieni r. 1918 tak Niemcy, jak i Austriacy złożyli broń i poddali się zwycięzcom. Wtedy w Niemczech i Austrii wybuchły rewolucje, a ich władcy uciekli za granicę.

Spełniły się nadzieje więzionego przeszło od roku Komendanta: wszystkie trzy zaborcze potęgi leżały w gruzach.

Najcudowniejszy, śniony przez tyle pokoleń polskich sen stał się rzeczywistością: rozdartą przed laty Niepodległa Polska wstała z martwych.

Wyzwolenie Krakowa. Pierwszy w Polsce uwolnił się od zaborcy Kraków. Stało się to w chmurny jesienny dzień r. 1918. Na ulicach pokazały się niewidziane od pół roku mundury polskich legionistów, którzy zatrzymują austriackich żołnierzy i zdzierają im z czapek tzw. „bączki”, tj. odznaki z początkową literą cesarskiego imienia. Wtem na ulicach zjawia się muzyka kolejowych pracowników i wygrywa dziarskiego marsza; za nią postępuje oddział Polaków w austriackich mundurach, ale już z polskimi kokardkami na czapkach. Na czele kroczą oficerowie z podobnymi odznakami. Pochód dąży ku rynkowi. Publiczność wpada w zapał.

— Do koszar! — rzuca ktoś hasło. — Uwolnić naszych chłopców!

I publiczność wpada do koszar, w których władze austriackie więziły legionistów. Tylko jakiś jeden porucznik stawia tłumowi opór, ale za chwilę wyrzucony wylatuje nagle na ulicę z gołą głową, bez szabli.

Tymczasem w budynku magistratu odbywają się narady komendy miasta z polską komisją żądającą oddania władzy nad wojskiem w jej ręce.

Austriacki generał opiera się: mówi, że nie otrzymał od swoich władz rozkazu oddania komukolwiek komendy nad miastem.

Wtem u drzwi zjawia się spora garść oficerów z polskimi kokardkami na czapkach. Są gotowi uwięzić całą austriacką komendę.

Ale do tego nie przyszło. Do pokoju wchodzi legionowy pułkownik Roja. Ma na sobie mundur polski.

— Jako najwyższy stopniem oficer polski — mówi do Austriaków — obejmuję nad miastem komendę.

Przerażony generał tłumaczy, że mu nie wolno oddawać komendy, że musi na to otrzymać pozwolenie od ministra wojny, a przynajmniej od naczelnego dowództwa.

— Za późno, panie generale — odpowiada Roja. — Jeżeli mi pan nie odda komendy, za pół godziny nastąpi nasz atak na magazyny broni!

Widząc swą bezsilność Austriacy poddają się. Tymczasem w rynku na odwachu zajętym przez polskie wojsko powiał sztandar z Białym Orłem. Muzyka kolejowa gra „Boże, Coś Polskę”. Tłumy wzruszonej publiczności stoją w skupieniu z odkrytymi na drobnym deszczu głowami. Przez cały czas odgrywania polskiego hymnu stoi jakiś austriacki generał wyprężony trzymając rękę przy daszku pozbawionej bączka czapki.

Na drugi dzień cała zachodnia część Galicji, nazywanej odtąd Małopolską, była aż po San wolna od obcego panowania.



Powrót J. Piłsudskiego, 11 listopada r. 1918

Dzień 11 listopada w Warszawie. Niespełna w dwa tygodnie po ucieczce z Krakowa przyjechał do Warszawy wypuszczony przez Niemców Magdeburga Józef Piłsudski i objął naczelne dowództwo nad tworzącym się z byłych Legionów wojskiem polskim. Tymczasem Niemców w Warszawie rozbrajała P. O. W. przy pomocy publiczności; po przyjeździe Komendanta resztki przynębionej załogi oddały mu broń prosząc, by im pozwolono spokojnie powrócić od domu. Stało się to 11 listopada r. 1918 i tego dnia Warszawa, a za parę dni całe Królestwo, były wolne od wojennego najeźdźnika.

Uwolnienie Wielkopolski. Tylko w Wielkopolsce Niemcy próbowali oporu. W czasie świąt Bożego Narodzenia Poznań oczekiwał przyjazdu wielkiego naszego rodaka, Ignacego Paderewskiego, sławnego w całym świecie artysty-muzyka i gorącego patrioty, który przebywając podczas wojny za granicą i żyjąc w przyjaźni ze znakomitymi cudzoziemcami, zdołał ojczystej sprawie oddać wielkie usługi i uzyskać uznanie niepodległości Polski przez rządy zwycięskich państw.

Kiedy w drugi dzień świąt pociąg przywiózł Paderewskiego i towarzyszących mu angielskich oficerów do Poznania, panowali tu jeszcze Niemcy. Był wieczór. Od dworca kolejowego aż do środka miasta ustawiła się szpalierem (dwoma rzędami) młodzież szkolna, skauci, liczne towarzystwa i cechy. Nagle, kiedy pociąg nadjechał na dworzec, zgasły wszystkie światła.

Była to sprawka Niemców, dziedzinny figiel, który miał zepsuć Polakom ich uroczystość. Ale chybił celu, bo oto przed dworcem w rzędach młodzieży szkolnej trzymającej w rękach pochodnie zachygotały się setki świateł i młodzież podbiega, by rozjaśnić dworzec.

Ku pociągowi zbliża się gromada żołnierzy w niemieckich mundurach i porywa gości na ramiona.

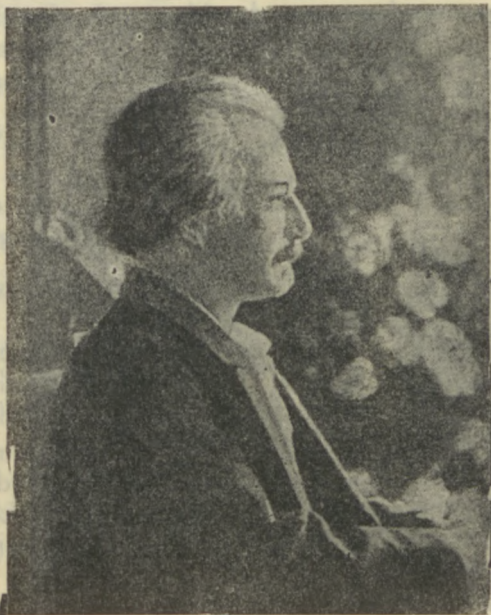
— Czego chcą ci Niemcy?

— pytają zaniepokojeni Anglicy.

— To nie Niemcy — słyszysz odpowiedź — to Polacy, niedawni niemieccy żołnierze!

Niemcy pokazali się dopiero następnego dnia. Z nabitą bronią wkroczyli do środka miasta zrywając po drodze i deptając sztandary zwycięskich państw, po czym padły strzały i zaczęła się walka. Nie trwała ona jednak długo; skończyła się już po paru dniach: odzyskał wolność Poznań, a wkrótce potem cała prawie Wielkopolska.

Przemózny dotąd wróg, który panował w tej ziemi przez sto kilkadziesiąt lat, ustąpił.



Ignacy Paderewski,

69. WALKI O DZIELNICE KRESOWE

Lwów. W skład nowego Państwa Polskiego weszły początkowo zaledwie drobne części dawnej Rzeczypospolitej. Poza obrębem Polski pozo-

stały: Śląsk Cieszyński i Górny, Pomorze, ziemie na wschód od Niemna i Bugu, a nadto dawna Ruś Czerwona, czyli Galicja Wschodnia, zwana dziś Wschodnią Małopolską.

Jakoż zaraz po upadku Austrii rozpoczęły się walki o Lwów, oddany przez ostatniego namiestnika austriackiego Ukraincom. Trzy tygodnie trwały ciężkie walki staczane nie tylko przez legionistów i polskich żołnierzy z armii austriackiej, ale także przez ludność cywilną, wśród której nie brakło młodzieży, kobiet a nawet dzieci.

Raz zdarzyło się, że pułkownik zwiedzający polskie stanowiska zastał w pewnym budynku 12-letniego chłopca, odbywającego wartę przy rannych ukraińskich żołnierzach.



Z obrony Cytadeli we Lwowie

Po trzech tygodniach bohaterskich walk Polacy opanowali Lwów, ale pół roku upłynęło, zanim polskie wojska wyparły Ukraińców za Zbrucz i Karpaty.

Śląsk Cieszyński. Niespodziewanie przyszło też do walki z Czechami o Śląsk Cieszyński. Zaraz po rozpadnięciu się Austrii Polacy zawarli z Czechami umowę, według której prawie cały Śląsk Cieszyński miał przypaść Polsce. Graniczną stacją kolejową miał być *Bogumin*, który też został obsadzony przez jeden polski batalion.

Nagle pewnego dnia na sąsiednią polską stację wpada jakaś niezapowiedziana lokomotywa.

Chłopiec miał krótkie dziecięce spodenki i długie loki na głowie, ale zapytany z żartów przez pułkownika, czy był już w ogniu, odpowiedział śmiało, stając na bacznosc, jak nakazuje żołnierska karność — że był w 12 potyczkach, że przez 2 tygodnie bronił jednej z ulic i że razem z trzema starszymi kolegami zdobył karabin maszynowy.

Pułkownik, nie dając wcale poznać po sobie rozrzewnienia, które go ogarnęło, pochwalił chłopca i żartując zapytał go, dlaczego nie da sobie ostrzyć włosów: przecie to nie po żołniersku nosić takie długie loki.

Na te słowa znikła dziarska mina 12-letniego żołnierza: zawstydzony, z trudem wykrztusił wreszcie odpowiedź, że on — nie śmie pójść sam do fryzjera, bo bez tatusia nigdy tam nie był...

Podbiega ku niej zdziwiony urzędnik ruchu.

— Skąd ta lokomotywa? — pyta się maszynisty.

Z Bogumina. Wpadł tam silny oddział Czechów, Polski batalion wycofał się. A lokomotywa stała w ogrzewalni, w której ją przygotowywano do drogi, paląc pod kotłem, aby wytworzyć potrzebną ilość pary. Jeszcze nie była nawet dobrze ogrzana, kiedy maszynista wskoczył na nią i wyjechał ze stacji wśród gradu kul padających gęsto w ślad za nim z czeskich karabinów. Strzelano za nim gwałtownie, ale on cieszy się, że mu się udało sprzątnąć maszynę Czechom spod nosa.

Zajęcie Bogumina przez Czechów wszczęło zacięte walki o Śląsk Cieszyński, przerwane wkrótce pośrednictwem zwycięskich rządów europejskich, czyli koalicji (związku państw), która obiecała sprawę bezstronnie rozstrzygnąć. Ale Polska źle wyszła na tym sądzie: koalicja przyznała jej bowiem tylko mniejszą część Śląska Cieszyńskiego po rzekę Olzę, tak że nawet miasto Cieszyn zostało podzielone na 2 części: polską i czeską. Podobnie też niekorzystnie dla Polski rozstrzygnęła koalicja sprawę Spiżu i Orawy przydzielając nam tylko drobne ich skrawki, resztę zaś oddając Czechom. W ten sposób bardzo wielu naszych rodaków pozostało poza granicami Państwa Polskiego.

Górny Śląsk. Najdłużej przewlekały się spory o los Górnego Śląska. Ludność, nie mogąc doczekać się złączenia swej dzielnicy z Polską, parę razy chwyciła za broń. Wtedy państwa koalicyjne uspokajały ją obietnicami rychłego załatwienia sprawy, zwłokę zaś wyzyskiwali Niemcy i niezmordowanie przedstawiali rządowi koalicyjnym Śląsk jako kraj czysto niemiecki.

W społeczeństwach zachodnich niewiele wiedziano o tym kraju. Raz, kiedy w parlamencie angielskim była mowa o Śląsku, jeden z posłów zapytał ministra, dlaczego rząd Wielkiej Brytanii troszczy się tylko o los śląskich Polaków i Niemców, zapominając o tamtejszych Ormianach. Nazwa bowiem Śląska brzmi po angielsku podobnie, jak Cylicji, kraju w Małej Azji, w którym wówczas właśnie Turcy bez litości wycinali chrześcijańskich Ormian.

Niewiele też o Śląsku wiedziały koalicyjne rządy i wydawały różne rozstrzygnięcia, które następnie cofały, aż wreszcie, po powszechnym głosowaniu ludności śląskiej, czyli plebiscycie, i po jeszcze jednym, zwycięskim powstaniu śląskim przyznały ostatecznie Polsce dwa powiaty całe i części kilku innych, w czym znalazł się południowo-wschodni, najbogatszy obszar przemysłowo-górnicy.

Traktat wersalski. Układ pokojowy między państwami koalicyjnymi a Niemcami zawarty został w Wersalu pod Paryżem. Z wyjątkiem Górnego Śląska wyznaczył on Polsce takie mniej więcej granice, jakie Polacy zdobyli w walkach z Niemcami, a nadto Pomorze. Zajął je generał Halle, który następnie, dotarłszy na czele polskich wojsk do Bałtyku, wjechał ze swym otoczeniem konno w morze, biorąc je w posiadanie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

70. O PIERWSZYM NACZELNIKU NIEPODLEGŁEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Nowe trudy. Nie na odpoczynek wrócił z magdeburskiego więzienia wódz Legionów do Warszawy i zamieszkał w Belwederze: czekał go tu ciężki trud piastowania najwyższej władzy w kraju, którą mu naród powierzył jako Naczelnikowi Państwa, a raczej jako budowniczemu, co z gruzów miał je na powrót dźwignąć do życia. Zaczął tedy Naczelnik obliczać wszystko, co zostało po wojennej pozodze, a co by się dało użyć do nowej budowy.

Rachunek, jak potem opowiadał, wprawiał go w rozpacz.

— Cóż miałem rachować? — mówił. — Czy łachmany, w które ubierałem żołnierza posyłając go na bój pod Lwowem? Czy liczyć dziury w butach żołnierza stojącego na warcie w mróz trzaskający? Czy obliczać niedoświadczenie młodego żołnierza, posłanego na boje często bez znajomości karabinu, z którego miał strzelać? Czy liczyć depesze donoszące spod Lwowa o braku amunicji, o tym, że wystarczy jej zaledwie na dwie godziny boju?

Mijały tygodnie, a trudności przybywało coraz więcej. Do wojny z Ukrainami przybyła druga: z Czechami o Śląsk Cieszyński, potem trzecia: z Niemcami o Wielkopolskę, a tymczasem na wschodzie, na dawnym wojennym froncie, znajdowała się kilkaset tysięcy licząca armia niemiecka, mogąca każdej chwili zagrozić świeżo wskrzeszonemu państwu.

Pierwszy Sejm. Najbardziej jednak niecierpiącą zwłoki była sprawa stworzenia rządu i władz państwowych.

Zaraz po objęciu swej nowej godności Naczelnik Państwa wezwał do siebie jednego z legionowych oficerów, Jędrzeja Moraczewskiego, który stanął przed Komendantem wyprężony na baczność i stuknął ostrogami w żołnierskim ukłonie.

— Panie Jędrzeju! — rzekł Naczelnik Państwa. — Trzeba stworzyć rząd Rzeczypospolitej. Mianuję pana jego prezesem. Ma pan 24 godzin czasu do złożenia Rady Ministrów, po czym trzeba natychmiast przygotować zwołanie Sejmu.

— Rozkaz, Panie Naczelniku! — rzekł pierwszy w odrodzonej Rzeczypospolitej prezes Rady Ministrów i natychmiast wyszukał ludzi, którym porodził czynności ministrów, a następnie wraz z nimi obmyślił sposób wybierania posłów do Sejmu i zarządził wybory.

Jakoż już w parę miesięcy potem zgromadził się w Warszawie wybrany przez powszechne głosowanie Sejm. Naczelnik Państwa otworzył go, czyli ogłosił początek jego obrad, a kiedy przedstawicielstwo narodu się ukonstytuowało, tzn. urządziło, wybierając marszałka i jego zastępców a także sekretarzy, za parę dni później znów zjawił się w Sejmie i wstąpiwszy na mównicę odczytał oświadczenie, że skoro zebrał się już pierwszy Sejm polski, tedy on, Naczelnik Państwa, oddaje swą władzę w ręce marszałka Sejmu.

Odczytawszy to oświadczenie Józef Piłsudski opuścił salę obrad; Sejm

jednak wśród burzliwych oklasków postanowił jednomyślnie powierzyć mu nadal władzę Naczelnika Państwa.

Władza Naczelnika Państwa. Nie była ona wielka. Tak zwana „mała konstytucja”, którą Sejm niebawem uchwalił, głosiła, że władzą ustawodawczą i zwierzchnią w Państwie Polskim jest Sejm, że Naczelnik Państwa jest tylko przedstawicielem Rzeczypospolitej i najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu, że wprawdzie należy do niego mianowanie ministrów, ale że bez zgody Sejmu nie może tego uczynić, i wreszcie, że tak Naczelnik Państwa, jak i ministrowie są odpowiedzialni przed Sejmem za to, jak wykonują rządy. Sejm zagarnął więc prawie całą władzę w swoje ręce, choć, niewprawny w rządzeniu, nie zawsze był zdolny do skutecznej pracy nad budową państwa.

Polska w rzędzie innych państw. Najważniejszą sprawą narodową była teraz walka o nie złączone jeszcze z Rzeczpospolitą ziemie dawnej Polski i o utrwalenie jej granic. Dwie drogi wiodły do załatwienia tych spraw: jedna dyplomatyczna, tj. przez układy z innymi państwami, drugą była wojna. Naczelnik Państwa użył ich obu. Zaraz na początku swych rządów zawiadomił wszystkie państwa o wskrzeszeniu Rzeczypospolitej i o przystąpieniu jej do koalicji, której przedstawiciele zgromadzili się w Wersalu, aby radzić nad ustaleniem nowego porządku świata. Pięć zwycięskich mocarstw, tj. Francja, Anglia, Włochy, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i Japonia, zaprosiło Polskę na odbywającą się właśnie konferencję pokojową, na którą to rząd wskrzeszonej Rzeczypospolitej wysłał 2 delegatów.

Byli nimi: Ignacy Paderewski i Roman Dmowski.

Organizowanie armii polskiej. Wśród krwawych walk ze wszystkimi prawie sąsiadami organizowała Polska swoją siłę zbrojną. Początkowo było to zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy żołnierzy różnorodnych formacyj wojskowych, powstałych w różnym czasie i w różnych krajach. Ale nawet tej garści nie było w co odziać, ani czym uzbroić. Wiele więc nabiedził się Naczelnik Państwa, zanim wydobyl tyle pieniędzy, by nie tylko utrzymać to szczupłe początkowo wojsko, lecz aby je także znacznie powiększyć.

Wydany przezeń w parę tygodni po objęciu władzy rozkaz mobilizacyjny powołał pod broń członków Polskiej Organizacji Wojskowej, legionistów i dawniejszych wojskowych Polaków z armij zaborczych. Niedługo potem zaczęły do kraju wracać różne inne rozprószone po świecie formacje: przybyła z Francji armia Hallera, z Rosji wróciła dywizja Żeligowskiego, zamianowanego już generałem, z Syberii brygada syberyjska i wreszcie inne oddziały, a każdy z nich był uzbrojony inaczej, w karabiny to francuskie, to rosyjskie, to niemieckie, to wreszcie austriackie. Wszystkie formacje, choć pomazały armię polską, przysparzały niemało trudu Naczelnemu Wodzowi, który musiał myśleć nawet o tym, jak pogodzić rozmaite rodzaje broni, wymagające rozmaitej amunicji.

Požoga. Jak kiedy czasem pożar bezmiernego amerykańskiego stepu pędzi przed sobą wszelkie żywe stworzenie, a ono ucieka, w zgodzie obok siebie ptactwo, czworonogi, gady i płazy, tak owego lata nadbiegła do Warszawy fala wozów, bryczek i powozów uwożących ludzi i garść ich mienia przed ciągnącą od wschodu bolszewicka pożoga.

Za uchodźcami cofał się polski front, który jeszcze parę tygodni temu stał mocno długą linią od Dżisny nad Dźwiną na północy, aż gdzieś poza Kijów na południu.

— Gdzież nasze wojska? — pytali warszawianie uchodźców.

Nie wiedzą. Dawno ich nie widzieli. Przez polski front przedarł się G a j - C h a n na czele konnicy i idzie przed nim, siekąc, rabując i paląc. Dość, bywało, nocą z bryczki oglądać się za siebie, by dojrzeć łuny pożarów. — Boże, zmiłuj się nad Polską! — wzdychali przerażeni przybysze spod Mińska, Wilna czy Grodna.

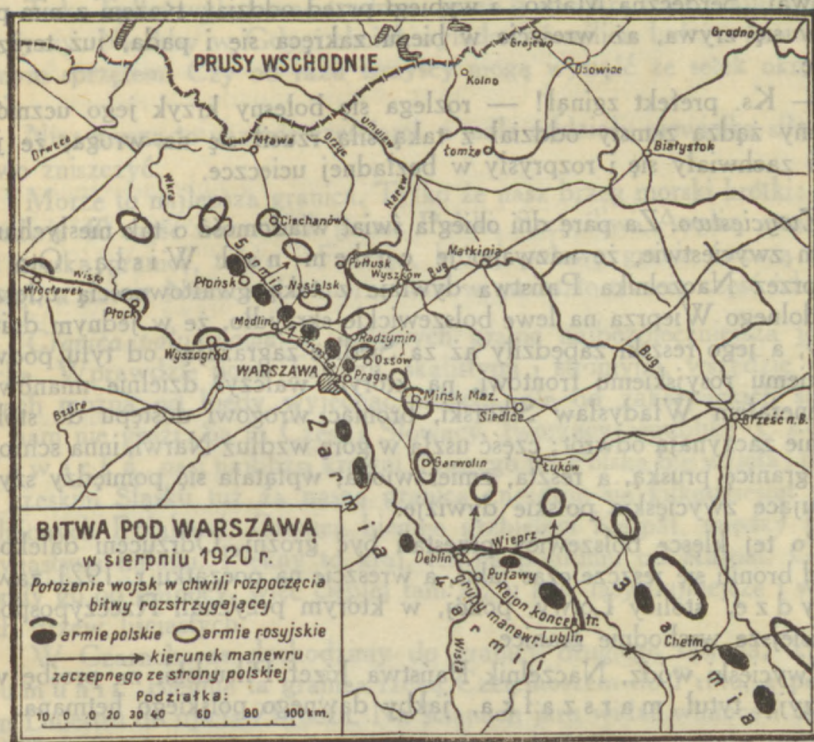
Ale nie tylko Polsce zagrażali bolszewicy zalewem krwi i ognia. Chcieli oni „przez trupa Polski” przejść do Niemiec, by stamtąd ogniem rewolucji podpalić całą Europę. Taki rozkaz wydał ich naczelny wódz. Jeżeli ich Polska nie zatrzyma, jeżeli Warszawa padnie, nie będzie już miejsca w Europie, gdzieby się schronić. Wszędzie będzie to samo: koniec ładu, prawa, bezpieczeństwa życia i mienia, po prostu koniec świata.

Przygotowanie do czynu. Upływa połowa lipca. W Warszawie pracuje rząd z Wincentym Witosem i Ignacym Daszyńskim na czele. Wydali oni odezwy do całego kraju wzywające naród do walki. Ze wszystkich stron napływają świeże oddziały żołnierzy. W krótkim czasie powstaje nowa armia licząca 400.000 ludzi, w tym 80.000 ochotników, przeważnie młodych chłopców. Sztaby opracowują nowe plany działań wojennych przy współpracy francuskiego generała Weyganda.

Naczelnik Państwa, zarazem Naczelnny Wódz, zadowolony. Te świeże siły podnoszą nastrój armii, nadwątlony przez kilkutygodniowy odwrót. Także i w kraju nie widać upadku ducha. Zwątpiały żołnierz nabiera śmiałości widząc, że naród nie opuszcza rąk. Tylko Warszawa sprawia Naczelnikowi Państwa kłopot. Na co jej tych 10 dywizyj, które tu stoją, i taka potężna artyleria? Połowa tych sił wystarczyłaby na obronę stolicy, a drugą należałoby zabrać na południowe skrzydło, na rozstrzygające uderzenie. Jest tam tylko 5 dywizyj: śmiesznie to wygląda przeznaczyć tu, na obronę, dwa razy tyle sił, co tam, na działanie zaczepne. A inaczej postąpić nie podobna, bo gdyby zabrać spod Warszawy część wojsk, powstałby w mieście popłoch.

I Naczelnik Państwa wydał rozkazy, wybierając się do Dębłina, skąd za 4 dni później uderzył na lewe rosyjskie skrzydło.

Ks. Skorupka. Tylko przez jeden rok pracował w pewnym gimnazjum warszawskim młody ks. Ignacy Skorupka, a tak pokochał swoich uczniów, że gdy wszyscy jego wychowankowie z dwu najwyższych klas wstąpili do



browalnie do wojska, ks. prefekt przyłączył się do nich i niedługo znalazł się na froncie, o kilkanaście kilometrów na wschód od Warszawy.

O świcie oddział zerwał się na nogi. Powietrze drgało od huku armat. Oddział w żelaznych hełmach stanął w szeregach. Obok niego inne, ochotnicy i dawniejsi żołnierze. Ks. Ignacy odmówił modlitwę i przeżegnał swoich chłopców. Nadjechał dowodzący podwarszawskim frontem generał Haller, krótko przemówił i wydał komendę.

— Marsz! — powtórzyli oficerowie i oddział za oddziałem ruszał w las, w kierunku Ossowa. Ks. prefekt czytając brewiarz (modlitewnik księdza) maszerował obok swoich uczniów. Skończył się las. Komenda i oddział staje, ładuje broń i nakłada bagnety. Znowu komenda i chłopcy rozsypują się w rzadką tyralierę. Przed nimi Ossów, a z Ossowa rozlega się grzechotanie karabinów i wylatują gwizdzące roje kul. Chłopcy bledną, postępują coraz nieśmielej. Wtem zaterkotały kulomioty. Krzyk komendy i oddział pada na ziemię. Kulomioty milkną. Chłopcy zrywają się i pędzą kilkanaście kroków; znowu ten okropny terkot i znowu przypadanie na ziemię. Ale za każdym podrywem kilku z nich bez komendy pada, by się już nigdy nie podnieść. Wtem ze wsi bucha wrzask wybiegających do ataku bolszewików. Na ten widok oddział staje i nagle poczyna uciekać.

W lesie oprzytomniał. Wtedy, jak opowiadają, ks. Ignacy, podtrzymując sutannę lewą ręką, z krzyżykiem w prawej wysoko wzniesionej, za-

intonował „Serdeczna Matko” i wybiegł przed oddział. Razem z nim pada i znów się zrywa, aż wreszcie w biegu zakręca się i pada, już teraz na zawsze.

— Ks. prefekt zginął! — rozlega się bolesny krzyk jego uczniów i zapalony żądzą zemsty oddział z taką siłą rzucił się na wroga, że jego szeregi zachwiały się i rozprysły w beładnej ucieczce.

Zwycięstwo. Za parę dni obiegła świat wiadomość o tak niesłychanym polskim zwycięstwie, że nazwano je cudem nad Wisłą. Oto rzucone przez Naczelnika Państwa dywizje z taką gwałtownością uderzyły znad dolnego Wieprza na lewe bolszewickie skrzydło, że w jednym dniu je rozbiły, a jego resztki zapędziły aż za Siedlce zagrażając od tyłu podwarszawskiemu rosyjskiemu frontowi, na którym walczył dzielnie mianowany już generałem Władysław Sikorski, broniąc wrogowi dostępu do stolicy. Rosjanie zaczynają odwrót; część uszła w górę wzdłuż Narwi, inna schroniła się za granicę pruską, a reszta, zmierzwiona, wplątała się pomiędzy szybko następujące zwycięskie polskie dywizje.

Po tej klęsce bolszewicy przestali być groźni. Odrzuceni daleko na wschód bronili się jeszcze czas jakiś, a wreszcie na początku r. 1921 zawarli w Rydze, stolicy Łotwy, pokój, w którym przyznali Rzeczypospolitej jej dzisiejsze wschodnie granice.

Zwycięski wódz, Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, na prośbę wojska przyjął tytuł marszałka, jakby dawnego polskiego hetmana.

72. O GRANICACH POLSKI I JEJ SĄSIADACH

Rodzaje granic. Na ścianie zawisła karta Polski z podwójnymi granicami: przedrozbiorowymi i dzisiejszymi. Widać z nich, że dawna granica Rzeczypospolitej sięgała na wschodzie i północy dalej niż dzisiejsza. Częściowo także na zachodzie. Ale na Śląsku dzisiejsza wybiega nieco poza dawną: to przysądzony nam przez państwa koalicyjne ułamek tego kraju odpadłego od Polski jeszcze za Kazimierza Wielkiego. A i koło Tatr widzimy zmiany: dziś należy do Polski część Orawy, której nie było w granicach dawnej Rzeczypospolitej, i zmieniła się także granica na Spiszu.

Ale dalej na wschód, Karpatami, biegnie ta sama linia, co dawniej. To granica naturalna. Nie łatwo ją przesunąć: to nie kopce, które trzeba było sypać na sztucznych granicach: zachodniej i wschodniej.

Jeszcze jednak lepszą od gór granicą jest morze. Żadne góry nie mogą się z nią równać. Bo albo są niedostępne i wtedy dają wprawdzie podczas wojny bezpieczeństwo przed sąsiadami, ale podczas pokoju zamykają do nich dostęp naszym towarom, są więc niekorzystne, albo są łatwe do przebycia, więc korzystne, ale wtedy znów nie dają bezpieczeństwa.

Powiedziałby ktoś, że przecie czy z towarami, czy z wielkim wojskiem, każdemu łatwo przyjechać do nas morzem?

Tak. Tylko wylądować trudniej, jeżeli gospodarz tego kraju sobie tego nie życzy. Niechby w Gdyni chciał wylądować milion ludzi z bronią i wojennym sprzętem. Czy od razu wszyscy mogą wysiąść ze setek okrętów na ląd?

Nie; muszą to uczynić częściami, a małe oddziały niewielką siłą można łatwo zniszczyć.

Morze to najlepsza granica. Tylko że nasz brzeg morski krótki; tworzy zaledwie 40 część wszystkich granic Polski. Szczęśliwa Anglia, mająca tylko morską granicę, także i Francja, której połowę granic tworzą morskie brzegi, a nawet Niemcy, bo morze stanowi przeszło trzecią część ich granic.

Granica południowa. Z lądowych granic najbezpieczniejsza jest karpacka. Wprawdzie poza Tatrami, skalistymi i strmymi, wszędzie w Karpatach można od biedy wyjechać wozem, ale od zakarpaccich sąsiadów nic nam nie grozi. Są to Czesi i Słowacy, tworzący republikę C z e c h o - S ł o w a c k ą, nasi najbliżsi krewni. Niczego im Polska nie wzięła; owszem, na czeskim Śląsku tuż za naszą granicą znajduje się kilkadziesiąt wsi zaludnionych Polakami. Granica biegnie grzbietem Karpat, między lasami i trawiastymi halami. Piękny to kraj, ten na południu od Karpat. Góry zasłoniły go od północy, więc cieplej tam niż u nas, lasy bujniejsze i więcej w nich drzew liściastych.

W Czarnohorze dochodzimy do granicy drugiego sąsiada, królestwa R u m u n i i. Biegnie ta granica rzeką Czeremoszem do Prutu, a potem jarem Dniestru do ujścia Zbrucza. Na ścianach jaru widać winnice i morelowe sady, za granicą pola, obsiane kukurydzą, choć żyzna ziemia rodzi także wiele pszenicy. To nasi sprzymierzeńcy, pokrewni Włochom i Francuzom, połączeni z Polską niebezpieczeństwem grożącym obu państwom wspólnego wschodniego sąsiada.

Wschodnia granica. Jar Zbrucza wżarł się głęboko w płytę podolską i towarzyszy granicy polskiej aż prawie do źródeł tej rzeki. Za nią, na wschodzie, reszta tej samej płyty, tak samo pociętej równoległymi jarami dopływów Dniestru, i tak samo bezleśnej. Dopiero na północnej krawędzi płyty zjawiają się lasy. Tam w okolicy Krzemieńca i Ostroga przecinamy dwa razy Horyń, potem raz Słucz; kraj, zrazu pagórkowaty, staje się płaski, wilgotnieje, porasta olszyną, brzozą i łożyną, aż wreszcie spada w bagna, przez które między suchszymi lesistymi kępami leniwie snuje się Prypeć i jej dopływy. Tu woda panuje nad ziemią. Często wytryska spod nóg przechodnia i biada mu, gdy zlekceważy przestrogę: po kilku krokach zapadnie się bez śladu w bezdni grząskiego bagna.

Na północ kraj znów się podnosi i porasta sosną. Przechodzimy przez źródłiska Niemna, omijamy obrębione szuwarami jeziora płyty litewskiej i dochodzimy do Dźwiny, północnego krańca naszej długiej wschodniej granicy.

Za nią państwo, jedno z największych na świecie. Zaległo prawie pół Europy i całą północną Azję, razem przestrzenie dwa razy większe od naszej części świata, a liczy 5 razy tyle ludności, co Polska. Jest to dawna

Rosja, dziś Związek Socjalistycznych Republik Rad (Z.S.R.R.), bo według tamtejszego ustroju republikami należącymi do związku, rządzą rady chłopskie i robotnicze. Polska sąsiaduje z dwiema z nich: na północy od Prypeci z Białorusią, na południu z Ukrainą.

Granica północna i zachodnia. Od Dźwiny ku południowemu zachodowi graniczymy z pokrewną Litwinom Łotwą. Granica niegroźna; z Łotwą, jak i z Rumunią, łączy nas wspólny przeciwnik, Związek Socjalistycznych Republik Rad. Nie można tego powiedzieć o Litwie, rezydys stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego, i uważa się za pokrzywdzoną przez Polskę.

Ale najwięcej trosk przysparza naszym politykom i wodzom granica niemiecka, przecięta przez nasze Pomorze na dwie części. Północna, stara nasza granica od Prus jest oddalona od Warszawy mało co więcej niż o 100 km, zaś zachodnia, tylko na płycie Pomorskiej wzmocniona nieco jeziorami, przedstawia dla nas duże niebezpieczeństwo, obejmując jak kleszczami całą zachodnią Polskę. Za niemiecką granicą mieszka wielu Polaków.

73. ODBUDOWA POLSKI. GDYNIA

Odwrot Rosjan. Przez kilka lat szalejąca na ziemiach polskich wojna szerzyła nie tylko śmierć, ale i zniszczenie. Niszczyły zaś kraj zarówno wojska rosyjskie, jak austriackie i niemieckie.

„Palić, wysiedlać, zostawić tylko pustynię!” — taki rozkaz wydały władze rosyjskie swojej cofającej się przed Niemcami armii. Jakoż Rosjanie opuszczając Królestwo starali się zostawić po sobie kraj pusty i zniszczony. Przemocą usuwano ludność wsi i miast z domów i z dymem puszczano całe osady ludzkie, ich mieszkańców zaś wysiedlano w głąb Rosji. W pewnym miasteczku podpalono kościół, a gdy się go ogień nie chwycił, trzykrotnie podsycano go naftą, byle tylko nie zostawić za sobą nie zniszczonego budynku.

Rządy okupantów. Nie lepiej było, gdy ziemie polskie opanowali Niemcy. Kraj podzielono na dwie części: większą niemiecką i mniejszą austriacką. Granica między nimi biegła mniej więcej Pilicą, tak więc, jak niegdyś po trzecim rozbiore między zaborem austriackim a niemieckim. Rządy w nich objęli dwaj generał-gubernatorzy (główni zarządzający) i zaczęli ogołacać kraj ze wszystkiego, co miało jakąś wartość. Rekwirowali tedy, czyli zabierali, żywność nie tylko dla wojska w kraju, ale i na wysyłkę do Niemiec, wycinali lasy i wywozili drzewo, zabierali wszelkie miedziane i mosiężne przedmioty, nawet kłamki od drzwi i kościelne dzwony, potrzebne im jako materiał do odlewania dział, niszczyli przemysł polski rozbierając na części maszyny, wywożąc je z kraju i unieruchamiając w ten sposób fabryki, i opanowywali handel oddając go w ręce niemieckich spółek.

Do tego umyślnego pustoszenia kraju przez Moskali, Austriaków i Niemców należy dodać zniszczenie spowodowane działaniem wojennym. Znikały od pożarów całe wsie, niszczały uprawne pola ryte przez armatnie pociski, armie nieprzyjacielskie opuszczając kraj psuły drogi i wysadzały mosty. Setek milionów sięgała wartość zniszczonych i spalonych budynków mieszkalnych i zabudowań gospodarczych, a wszystkie straty i szkody wojenne obrachowano w Polsce na kilkadziesiąt miliardów złotych!

Odbudowa. Po wyrzuceniu wrogów i ustaleniu granic zajęły się władze polskie odbudową kraju. Naprawiono drogi i mosty, odbudowano spalone albo zrujnowane gmachy urzędów i władz państwowych, a uboga ludność otrzymała kredyt i drzewo na odbudowę zniszczonych domów mieszkalnych i zabudowań gospodarczych.

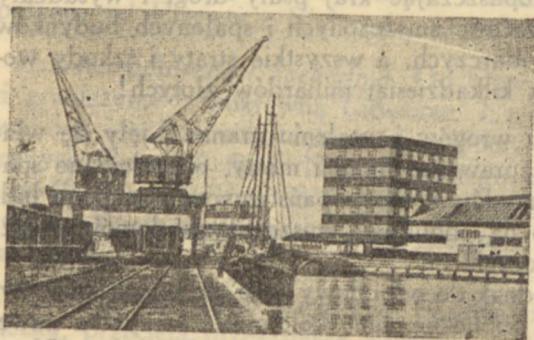
Naród nie ograniczył się jednak do odbudowy tego, co wojna zniszczyła, lecz budował nowe gmachy publiczne, linie kolejowe i fabryki a nawet całe nowe miasta. Największymi z tych są: Gdynia i Centralny Okręg Przemysłowy.

Port w Gdyni. Na podstawie wersalskich układów pokojowych i późniejszych umów Polska miała prawo korzystać z portu Wolnego Miasta Gdańska. Ale port gdański za mały, aby mógł pomieścić wszystkie okręty, które już to wywożą polskie towary za granicę, już to przywożą cudze do kraju. Gdy zaś nadto ludność gdańska odnosiła się do Polaków wrogo, tak że podczas wojny z bolszewikami nie przepuszczono nawet przez Gdańsk amunicji przeznaczonej dla Polski, tedy nasz rząd, chcąc krajowi na zawsze zapewnić wolną morską drogę, wcześniej przystąpił do budowy własnego wielkiego portu. Pracę rozpoczęto uroczystie 23 marca 1923 r. w obecności generała Sikorskiego jako ówczesnego premiera rządu.

Zaroiło się więc pewnego dnia od ludzi i ciężarowych samochodów w Gdyni, małej wówczas, cichej rybackiej osadzie, i zawrzała tam gorączkowa praca. Umyślnie na ten cel zbudowane statki zaczęły wydzierać dno płytkiego wybrzeża, aby przygotować kotliny, czyli *baseny*, do których by mogły zawijać największe oceaniczne okręty — rzuconymi naprędce kolejkami potoczyły się wózki z materiałem na budowę potężnego muru zwanego *ł a m a c z e m f a l*, którego zadaniem jest ochrona spokojnego zwierciadła portu przed wściekłością wzburzonego morza — zakrzętnęły się gromady robotników około budowy pomostów ułatwiających dostęp do okrętów, a na lądzie wyrastały potężne składy, magazyny i przemysłowe zakłady, jak wielka *ł u s z c z a r n i a r y ż u* sprowadzanego z ciepłych krajów w stanie nie przygotowanym do handlu i dopiero u nas uwalnianego od przyrosłych do ziarna łusek.

Niemало więc natrudził się inżynier *Eugeniusz Kwiatkowski*, przez kilka lat piastujący urząd ministra handlu i przemysłu, którego to głównie dziełem jest wyrosła jak spod ziemi Gdynia. Wygodne baseny, osobne dla statków rozwożących węgiel, dla rybaków, dla okrętów wojennych i innych, potężne dźwignie i żurawie przenoszące całe kolejowe wozy razem z ładunkiem z brzegu na statki, liczne wspaniałe budynki i kilkadzie-

siąt tysięcy mieszkańców — oto dzisiejsza Gdynia, 3 port co do wielkości na Bałtyku, a 14 w świecie, ciągle rozszerzający się i wzrastający z każdym rokiem.



Gdynia, basen portowy i łuszczarnia ryżu,
na lewo u góry 2 żurawie

Gdynia, basen portowy i łuszczarnia ryżu, na lewo u góry 2 żurawie

gaty w kopaliny, zwłaszcza w rudę żelazną (Kieleckie), w płody roli (żywna Ziemia Lubelska) i w ropę naftową, gaz ziemny i siłę wód spadających z gór (Podkarpacie). Jakoż w kilkanaście lat po wojnie zaczęto budować nowe fabryki. Tak więc w R o ż n o w i e (między Tarnowem a Nowym Sączem) podjęto budowę ogromnej, wysokiej na 30 m. zapory (tamy na Dunajcu); woda bowiem spadająca z takiej zapory, obraca maszyny wytwarzające elektryczność, a elektryczność jest siłą popędową dla fabryk. Koło Sandomierza znów wśród lasów powstało w krótkim czasie całe nowe fabryczne miasto, S t a ł o w a W o ł a, i odezwało się grzmotem potężnych młotów, pracujących nad wytwarzaniem broni dla naszej armii. Ponadto też zaczęło w Okręgu powstawać wiele innych fabryk, jak amunicji, gumy, przetworów ropy naftowej itd.

Ogromne to dzieło zwane w skróceniu C. O. P., ma niezwykle ważne zadania.

Po pierwsze, ma ono Polskę wzbogacić przez wyzyskanie naturalnych bogactw naszej ziemi.

Po drugie, ma dostarczać pracy przeludnionym okolicom Polski, gdzie jest największa ilość małorolnych, a więc nie mających warsztatów pracy.

Po trzecie, ma rozpowszechnić używanie wyrobów przemysłowych na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej; przedtem bowiem, zwłaszcza wyroby żelazne, (przeważnie z fabryk śląskich) nie dochodziły nawet do Bugu.

74. POLSKA I INNE PAŃSTWA ŚWIATA

Stosunki międzynarodowe. Kiedy Polska odzyskała niepodległość, zaczęły do Ministerstwa Spraw Zagranicznych napływać pisma z całego świata-

Centralny Okręg Przemysłowy. Późniejszym, ale jeszcze większym od Gdyni dziełem Polski, jest Centralny Okręg Przemysłowy. Obejmuje on duże obszary czterech województw: kieleckiego, krakowskiego, lwowskiego i lubelskiego. Sięga ten Okręg na zachód aż za Dunajec i Nidę — na północ do Pilicy i za Lublin — na wschód do Bugu i za San, a na południe do grzbietu Karpat. Obszar ten jest bo-

ta. Pochodziły one już to od Polaków przebywających gdzieś daleko za granicami swego państwa, którzy ministra prosili o opiekę nad sobą — już to od rządów obcych państw, pragnących uregulować handel z Polską i prawa ich obywateli przebywających w Rzeczypospolitej.

Jakoż Polska pozawierała z licznymi państwami przymierza i układy, a nasz rząd potworzył w wielu obcych stolicach przedstawicielstwa Rzeczypospolitej, zwane ambasadami względnie poselstwami, które tam chronią naszych obywateli i nasze interesy handlowe i strzegą zgodnego współżycia między narodami.

Przymierza i układy. Pierwsze państwa, z którymi porozumiała się wskrzeszona Polska — to Francja i Rumunia.

Z Francją od dawna łączyła nas przyjaźń, toteż, gdy Polska odzyskała niepodległość, oba państwa zawarły ze sobą przymierze, aby zapewnić sobie wzajemną pomoc przeciw wspólnemu sąsiadowi, Niemcom. Przez kilka lat bowiem Niemcy często i dosadnie głosili roszczenia do krajów utraconych po wielkiej wojnie na rzecz Polski i Francji i uparcie domagali się tzw. rewizji (ponownego badania i zmiany) granic: chcieli mianowicie oderwać od Polski Górny Śląsk, a zwłaszcza Pomorze, zwane przez nich „gdańskim korytarzem”. Te zaborcze dążenia niemieckie sprawiły, że Francja i Polska zawarły ściśle przymierze zabezpieczające obu państwom ich granice.

W Rumunii znalazła Polska poparcie przeciwko Związkowi Republik Rad. Między Rumunią bowiem a Związkiem trwa spór o Besarabię, która przez dłuższy czas należała do Rosji, a którą po ostatniej wojnie zajęli Rumuni.

Zawarła też Polska przyjaźń z Łotwą, Estonią i Finlandią, młodymi państwami nad Morzem Bałtyckim, które powstały na gruzach cesarstwa rosyjskiego, a którym także grożą zaborcze dążenia wielkiego wschodniego sąsiada.

Poza tym pozawierała Polska układy handlowe z największymi potęgami świata: Wielką Brytanią, Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej, Włochami, Japonią i prawie wszystkimi innymi państwami na kuli ziemskiej.

Pakty o nieagresji. Ale nie zaniedbywała Polska również sposobności, aby porozumieć się z Niemcami i Rosją i dzięki zabiegom naszego ministra spraw zagranicznych zawarła układ z Niemcami, zwany paktem o nieagresji (układem o nie napadaniu na siebie), w którym oba państwa zobowiązały się wszelkie spory i zatargi załatwiać między sobą pokojowo.

Podobny pakt o nieagresji zawarła przedtem Polska z Rosją, z którą w ostatnich latach weszła w porozumienie.

Liga Narodów. Spowodowane wojną światową nieobliczalne straty, owe dziesiątki milionów trupów i kalek, zniszczenie niesłychane wielu wartości przeraziło narody i opamiętało je. Rządy ich zaczęły się naradzać nad sposobami zapobiegania wojnom w przyszłości i wreszcie na wniosek prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Wilsona, powstał związek państw, zwany Ligą Narodów.

Ma ona na celu, jak głosi jej statut uchwalony wraz z traktatem pokojowym w Wersalu, „współdziałanie narodów i zapewnienie im pokoju i bezpieczeństwa”. Toteż państwa, które wchodziły w skład Ligi Narodów, przyrzekły sobie, że wszelkie spory i zatargi między sobą będą załatwiałe pokojowo i będą szanowały „wszystkie zobowiązania przyjęte w układach międzynarodowych”.

Ogólne Zgromadzenie Ligi, w którym biorą udział przedstawiciele wszystkich państw do niej należących, zbiera się rzadko, ale parę razy do roku zbiera się Rada Ligi Narodów, złożona z delegatów kilkunastu państw, która rozpatruje i załatwia wszystkie sprawy dotyczące pokoju świata.

Zdawało się, że świat, ciężko doświadczony straszliwymi klęskami wielkiej wojny, wszedł na drogę upragnionego przez całą ludzkość pokoju.

Polska w Lidze Narodów. Polska od początku należała do Ligi Narodów. Polscy delegaci wchodziłi w skład Rady Ligi i pilnie pracowali nad zabezpieczeniem pokoju całemu światu, a na jednym z posiedzeń Rada Ligi oddała przewodnictwo w obradach naszemu ministrowi spraw zagranicznych. Przez swego delegata zgłosiła też Polska w radzie wniosek, który domagał się, aby wszystkie spory, nawet między państwami nie należącymi do Ligi, były pokojowo przez Ligę załatwiane, po czym wniosek ten został przez Zgromadzenie Ligi uchwalony.

Słabość Ligi Narodów. Ale wielkie nadzieje, które świat pokładał w Lidze Narodów, zawiodły. Już w niewiele lat po jej utworzeniu wystąpiły z Ligi niektóre państwa, obrażone na nią za to, że nie otrzymały tego, czego żądały (np. ziem utraconych w wielkiej wojnie). Dalej opuściły Ligę Narodów te państwa, które wbrew postanowieniom Ligi wszczywały wojny i to nawet z tymi państwami, które również należały do Ligi Narodów.

Toteż ludzkość przestała wierzyć, by Liga Narodów mogła zapewnić światu pokój. Ostatnie zebranie Ligi odbyło się na wiosnę 1939 r.

75. WIOSNA ROKU 1939

Zaborczość nowych Niemiec. W kilkanaście lat po wielkiej wojnie objął w Niemczech władzę Adolf Hitler, przewodca stronnictwa narodowo-socjalistycznego. Celem nowego rządu stało się przywrócenie Niemcom potęgi, obalonej w wielkiej wojnie, i rozszerzenie granic Rzeszy czyli państwa niemieckiego. Zaczęły się więc w Niemczech zbrojenia i już po paru latach była tam armia większa niż przed wielką wojną. Wtedy Niemcy, zapewniwszy sobie przyjaźń Włoch, zagarnęły (w roku 1938) Republikę Austriacką, resztkę dawnej potężnej Austrii, a niedługo potem okroili Republikę Czesko-Słowacką, zabierając jej pas ziemi, okalający Czechy i Morawy od północy, zachodu i południa.

Państwa europejskie nie sprzeciwiały się tym zaborom: szło tu bowiem o ziemię, zamieszkałą przez ludność niemiecką. Gdy jednak na wiosnę roku 1939 wojska niemieckie nagle wkroczyły do Czech i Moraw i opanowały Republikę Czesko-Słowacką, wtedy w wielu krajach, zwłaszcza w Polsce,

Francji, Anglii i Stanach Zjednoczonych wybuchło gwałtowne oburzenie na zaborczy rząd Rzeszy. Mimo to Niemcy, zwiększywszy swą potęgę zaborem Austrii, Czech i Moraw, spróbowali dokonać nowej zdobyczy i to kosztem Polski. Oto zażądali, aby Polska zgodziła się na włączenie do Rzeszy Gdańska i pasa ziemi o powierzchni kilkuset kilometrów, przecinającego Pomorze, jako połączenie Gdańska i Prus z ziemiami niemieckimi, położonymi na zachód od Polski.

Gdańsk i Pomorze. Wolne miasto Gdańsk, zajmujące z okolicą obszar blisko 2000 km², ma wprowadzić własny rząd, ale jest złączone z Polską wielu węzłami. Jest on bowiem drugim (po Gdyni) portem, łączącym nas ze światem, a w dodatku Polska ma w Gdańsku prawa, które Wolne Miasto czynią zależnym od naszej Rzeczypospolitej. I tak do Polski oprócz wielu innych uprawnień należy: obowiązek zbrojnej obrony Gdańska — załatwianie spraw zagranicznych wolnego miasta i opieka nad Gdańszczanami za granicą — nadzór nad gdańskimi urzędami celnymi — nad Wisłą w Gdańsku jako drogą wodną — nad kolejami na obszarze Wolnego Miasta, nad wszystkimi okrętami w porcie gdańskim itd. itd.

Ale włączenie Gdańska do Niemiec byłoby nie tylko utratą naszych praw na obszarze Wolnego Miasta; byłoby także odcięciem Polski od ujścia Wisły, czyli zamknięciem nam naszej najważniejszej wodnej drogi ku morzu.

Gdyby zaś nadto Niemcy zapanowali nad pasem ziemi przecinającym w poprzek Pomorze, wtedy Polska zostałaby odcięta nie tylko od ujścia Wisły, ale także od Gdyni i w ogóle od Bałtyku.

Toteż Rząd nasz żądanie niemieckie stanowczo odrzucił.

Sojusz z Anglią. Pokój z bronią u nogi. Odrzucenie żądań niemieckich zjednało Polsce wielu przyjaciół, a co więcej, nowego potężnego sprzymierzeńca. Stała się nim Anglia. Patrzyła ona z niechęcią na wzrost potęgi Niemiec i w końcu zapragnęła położyć tamę zaborom niemieckim. Ale gdy został zawarty sojusz angielsko-polski, Niemcy wypowiedziały Polsce *p a k t nie agresji*, tj. układ, który kilka lat przedtem zawarły o nie wszczęciu z nią wojny przez lat 10.

Tak więc nad Europą zawisło niebezpieczeństwo wybuchu wojny. Przeciw Niemcom i sprzymierzonym z nimi Włochom stanął sojusz angielsko-polsko-francuski; przeciwnicy dozbrajali się, a żaden z nich nie zaniebdywał starań o pozyskanie dla swej strony nowych sojuszników.

76. NOWA WALKA O NIEPODLEGŁOŚĆ

Wrzesień 1939 r. Nad ranem 1 września wojska Hitlera bez wypowiedzenia wojny przekroczyły granice Polski od Zachodu, Północy i Południa. Równocześnie samoloty niemieckie rozpoczęły bombardowanie miast i wsi, strzelanie do bezbronnych kobiet i dzieci. Wojska polskie walczyły niezwykle dzielnie. Ale przewaga broni i żołnierzy po stronie niemieckiej sprawiła, że armie nasze gorzej o wiele uzbrojone, nie mogły powstrzymać

wroga na granicach kraju. Dowodów niezwyklej odwagi i bohaterstwa poszczególnych oddziałów i żołnierzy nawet zliczyć nie można. Mały półwysep Hel, atakowany z morza, lądu i powietrza bronił się odważnie przeszło miesiąc, biorąc do niewoli 4.000 Niemców. Dwie kompanie naszego wojska na Westerplatte w Gdańsku odpierały nieustraszenie przez 7 dni kilkakrotnie silniejszego nieprzyjaciela i poddały się dopiero na rozkaz naczelnego dowództwa. Nasza flota wojenna otoczona w Gdyni wymyka się po śmiałej walce z okrętami niemieckimi i po licznych przygodach na morzu dociera do Anglii, aby dalej prowadzić wojnę. Port wojenny w Gdyni walczy do 21 września aż do całkowitego wyczerpania amunicji. Mimo że Anglia i Francja zgodnie z zawartymi z Polską układami wypowiedziały Niemcom wojnę w dniu 3 września, tragiczne nasze położenie nie uległo zmianie. Nasi sojusznicy nie byli do wojny przygotowani. Nie mogli nam więc posłać na pomoc ani broni, ani brakujących nam samolotów, czy czołgów.

Armie polskie atakowane z trzech stron równocześnie musiały się cofać wśród niezwykle zaciętych walk. Do największej bitwy doszło pod Kutnem. Przez kilka dni zwycięstwo przechylało się raz na naszą, drugi raz na niemiecką stronę. Ale wojskom naszym brakowało czołgów i lotnictwa, którego Niemcy posiadali bardzo dużo. Dlatego pokonali naszych żołnierzy.

Wystąpienie Rosji. Wśród ciągłych, ciężkich walk odwrotowych powstaje plan zorganizowania trwałej linii obronnej nad Dniestrem. Nad rzekę tę poczęły się gromadzić oddziały wojskowe. Zdawało się, że na tej linii armia nasza zatrzyma pochód Niemców przez parę miesięcy, do czasu nadejścia pomocy angielskiej i francuskiej. Nagle w dniu 17 września spadła jak grom z nieba wiadomość, że wojska Związku Sowieckiego przekroczyły na całej linii naszą granicę wschodnią. Kroku takiego ze strony Związku Sowieckiego, z którym zawarliśmy pakt nieagresji, nikt się nie spodziewał. Pokrzyżował on całkowicie nasze plany dalszej walki z armią niemiecką. Rząd polski na wiadomość o wkroczeniu wojsk rosyjskich udał się do Rumunii.

Obrona Warszawy. Mimo zajęcia przez Związek Sowiecki, na podstawie tajnego układu z Hitlerem wschodnich ziem polskich aż po rzekę Bug i San, Polacy nie zaprzestali walki z Niemcami. Resztki armii broniły się jeszcze długo na Podlasiu oraz w Warszawie. Stolica Polski, mimo opuszczenia jej przez rząd i naczelne dowództwo nie uległa się wroga. Na wezwanie prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego chwycili za broń robotnicy, urzędnicy, młodzież, a nawet kobiety. Obroną kierował prezydent Starzyński. Razem z przybywającymi z różnych frontów żołnierzami postanowili mieszkańcy Warszawy bronić stolicy do ostatka. Mimo okrutnych artyleryjskich i powietrznych bombardowań miasta, załoga Warszawy przez trzy tygodnie odpierała niezwykle dzielnie ataki niemieckie. Prezydent Starzyński dwoił się i troił. Ochrypłym ze zmęczenia głosem wydawał przez radio zarządzenia, śpieszył w dzień i w nocy na każdy, najbardziej zagrożony odcinek walki, ratował z robotnikami zagrzebanych pod ruinami domów. Po dwu tygodniach niezwykle zaciętych walk zaczęło w Warszawie brakować żywności. Zjadano konie zabite pociskami niemieckimi. Ale nikt nie myślał o poddaniu się. Sytuacja pogorszyła się znacznie, gdy zabra-

kie wody, a wzniesione przez pociski i bomby niemieckie pożary przenosiły się z jednej dzielnicy na drugą. W dodatku kończyła się już amunicja. I to ostatecznie zdecydowało, że Warszawa po trzytygodniowej bohaterskiej walce poddała się w dniu 28 września.



Lomy Warszawy zburzone przez Niemców.

Okrutne prześladowania w Polsce. Niemcy opanowawszy całą zachodnią i środkową Polskę, zaczęli się mścić w okrutny sposób nie tylko na żołnierzach, których zamknęli w obozach, ale i na ludności cywilnej. Rozpoczęli od profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Pod pozorem specjalnego wykładu zaprosili ich wszystkich na Uniwersytet, a następnie wywieźli do obozu karnego w Niemczech. Bicie aż do utraty przytomności, głodzenie, trzymanie w czasie największych mrozów w nieopalanym pomieszczeniu oraz szereg innych najbardziej potwornych prześladowań zastosowali Niemcy wobec profesorów krakowskich jedynie za to, że szerzyli naukę polską. Wielu z katowanych profesorów zmarło, inni kiedy ich Niemcy wreszcie wypuścili, wrócili do Krakowa zupełnie fizycznie złamani.

Po uczonych przyszła kolej na innych Polaków. Po wsiach i miastach rozstrzeliwali hitlerowcy starców, kobiety i dzieci. Z Poznania i innych miast zachodnich wypędzono wszystkich niemal Polaków w czasie największych mrozów, nie pozwalając im zabrać ze sobą nawet najpotrzebniejszych rzeczy. Polakom zakazano chodzić po chodnikach, wyznaczono dla nich osobne tramwaje i sklepy. Równocześnie rozpoczęli Niemcy masowe wywożenia Polaków na roboty przymusowe do Niemiec. Ponieważ nikt się ochotniczo nie zgłaszał, organizowali łapanki na ulicach. Zdarzało się często, że ktoś wyszedłszy do sklepu po chleb lub do apteki po lekarstwo, już nigdy do domu nie wrócił. Wywieziono go do Niemiec, nie pozwalając nawet pożegnać się z rodziną.

Z czasem założyli Niemcy karne obozy na ziemiach Polskich. Do Oświęcimia, Majdanku i Tremblinki, gdzie się te obozy znajdowały, wysyłali hitlerowcy tysiące Polaków. Tylko nielicznym udało się z tych obozów powrócić. Reszta poniosła śmierć męczeńską.

Najbardziej okrutnie postępowali Niemcy z polskimi Żydami. Początkowo zamknęli ich w każdym mieście w osobnych dzielnicach, nazywanych gettami. Nieopisany głód i nędza panowały wśród Żydów, ponieważ Niemcy nie pozwalali im dostarczać żywności. Później władze niemieckie rozpoczęły masowe mordowanie Żydów w specjalnie zbudowanych do tego celu komorach gazowych. Żydzi w Warszawie nie mogąc znieść prześladowań chwycili za broń. Długo trwała ich bohaterska walka. Niemcy musieli zdobywać dom za domem, lub bombardować dzielnicę żydowską z samolotów. Wreszcie zamilkły strzały. Z Żydów warszawskich ocaleni tylko ci, którzy zdołali się ukryć w domach polskich.

Powstanie nowego rządu i armii we Francji. Rząd polski internowany w Rumunii nie mógł sprawować swoich obowiązków. Zgodnie jednak z Konstytucją naszą ówczesny Prezydent Ignacy Mościcki przekazał swoją władzę następcy Władysławowi Raczkiewiczowi przebywającemu wówczas we Francji. Nowy Prezydent mianował w dniu 30 września 1939 r. prezesem Rady Ministrów generała Władysława Sikorskiego, który w ciągu kilku dni stworzył nowy legalny rząd polski z przedstawicieli wszystkich najpoważniejszych polskich stronnictw politycznych. One też dostarczyły członków do stworzonej w styczniu 1940 r. Rady Narodowej, która objęła obowiązki rozwiązanego Sejmu i Senatu. Pierwszym prezesem Rady Narodowej był Ignacy Paderewski.

Generał Sikorski — jak sam oświadczył — nie przybył do Francji dla robienia polityki, lecz dla dalszej walki w obronie honoru polskiego. Dlatego pierwsze jego czynności poświęcone były organizowaniu nowej armii. Wielkiej ilości ochotników dostarczyli emigranci polscy we Francji, którzy mimo długiego pobytu na obczyźnie nie stracili przywiązania do Ojczyzny. Ponadto z Rumunii i Węgier, a nawet z Kraju napływali ciągle nowi kandydaci do szeregów odradzających się oddziałów. Dzięki temu już w parę miesięcy później liczba żołnierza polskiego we Francji dochodziła niemal do 100.000.

Udział Polaków w walce o wolność Norwegii. Kiedy Hitler na wiosnę 1940 r. uderzył na Norwegię, praca nad organizacją wojska polskiego we Francji była już niemal na ukończeniu. Zgodnie z dawnym hasłem polskim „za naszą wolność i waszą” część oddziałów zorganizowanych w Brygadę Podhalańską wyjeżdża w kwietniu 1940 r. na rozkaz generała Sikorskiego do Norwegii, aby nieść pomoc zbrojną mieszkańcom tego dzielnego kraju. Niemcy, którzy się wyśmiewali z żołnierzy polskich, nazywając ich „turystami Sikorskiego”, poczuli dotkliwie na własnej skórze siłę ich strasznego uderzenia. Mimo bardzo ciężkich warunków walki górskiej doskonale uzbrojona Brygada Podhalańska uderza śmiało na Niemców i przyczynia się w dużej mierze do zdobycia ważnego portu norweskiego, Narviku.

Upadek Francji. Tymczasem Hitler po krótkiej walce z Belgią i Holandią rozpoczął ofensywę na Francję. Po przełamaniu pierwszych francuskich linii obronnych na północy, rozpoczyna się na całym froncie zamieszanie. Żołnierz francuski przerażony wyższością uzbrojenia niemieckiego cofa się w coraz większym nieladzie, a często rzuca broń i ucieka do domu z

pola walki. W takim momencie wyruszają na front dwie polskie dywizje. Rozpoczyna się rozpaczliwa walka o obronę Francji. Polacy dwoją się i troją. Spieszą na każdy, najbardziej zagrożony odcinek. Uda im się kilkakrotnie powstrzymać o wiele silniejszego nieprzyjaciela, a nawet odnosić mniejsze zwycięstwa. Mimo to muszą się ciągle cofać, bo Niemcy przełamują łatwo linie bronione przez Francuzów i grożą często naszym dywizjom otoczeniem ze wszystkich stron. Wielu Polaków ginie, wielu dostaje się do niewoli. Ale mimo to pozostali walczą do końca.

Druga dywizja polska rzucona do walki w środkowej Francji wycofywała się na południe wśród ciągłych, bohaterskich starć z Niemcami. Nawet po zawieszeniu broni przez Francję w dniu 17 czerwca 1940 r. nie zaprzestała walki. Przeszła wreszcie wraz z całym uzbrojeniem granicę Szwajcarii, gdzie została internowana, budząc swoją postawą zachwyt ludności szwajcarskiej. Na bohaterskie walki żołnierzy polskich we Francji spoglądał z najwyższym podziwem cały świat. Jeden z dzienników angielskich pisał, że gdyby we Francji wojsko polskie zamiast 4 dywizji liczyło 40, Francja uniknęłaby klęski.

Przeniesienie walki na ziemie angielskie. W chwili gdy Francja zwróciła się do Hitlera z prośbą o zawieszenie broni, po opustoszałych lotniskach francuskich krążył bombowiec angielski, poszukując generała Sikorskiego.



Generał Sikorski i premier Churchill.

Tymczasem rząd polski i Rada Narodowa odbywała gorączkowe posiedzenia w jednym z miast francuskich niezajętych jeszcze przez Niemców. Wynik narad był jednomyślny: pomimo klęski Francji Polska będzie walczyła przy boku Anglii dalej aż do ostatecznego zwycięstwa. Zawiadomiony o tym premier angielski Churchill wysłał właśnie ten dziwny bombowiec, który miał przywieść generała Sikorskiego do Londynu dla porozumienia się z rządem angielskim. W dniu 18 czerwca samolot przybywa wreszcie do miejsca pobytu rządu polskiego i po krótkim postoju odlatuje z generałem Sikorskim do Londynu.

Rozmowy z rządem angielskim trwają całą noc. Ustala się gorączkowo sposoby przewiezienia przez okręty angielskie rządu i wojska polskiego do Anglii. Przebieg ich najlepiej charakteryzuje historyczna rozmowa generała Sikorskiego z premierem Churchilllem. „Panie Premierze — powiedziało generał Sikorski — Polska pragnie walczyć dalej. Chcę oddać do dyspozycji Wielkiej Brytanii, jako naszego sprzymierzeńca, polskie siły zbrojne. Wiem, że Wielka Brytania będzie walczyła dalej, ale chcę to jeszcze raz usłyszeć z Pańskich ust”. Premier Churchill odpowiedział krótko: „Panie Generale! Anglia idzie z Wami na życie i śmierć”.

Na drugi dzień generał Sikorski jest już z powrotem we Francji, aby osobiście dopilnować załadowania na statki angielskie polskich żołnierzy. W kilka dni później może już przez radio angielskie powiedzieć do ludności w Kraju. „Nasze miejsce jest tam, gdzie nadal trwa walka. Polskie wojsko jest małe liczbowo, ale bardzo wielkie duchem”.

Bitwa o Anglię. Wojska polskie uzbrojone na nowo w Anglii zajęły wyznaczone im miejsce na wybrzeżu, oczekując spodziewanego najazdu Hitlera na wyspę angielską. I przedzało go olbrzymie bombardowanie. Przez dwa ostatnie tygodnie sierpnia i cały wrzesień tysiące samolotów niemieckich krążyło nad Anglią, szerząc olbrzymie zniszczenie, przeważnie wśród ludności cywilnej. Walkę z bombowcami Hitlera prowadziło początkowo tylko angielskie lotnictwo myśliwskie. Kiedy jednak po krótkim czasie okazało się, że siły jego są za małe, pozwolono wystąpić lotnikom polskim. Zaraz na drugi dzień dzienniki angielskie pełne były opisów bohaterstwa lotnictwa polskiego. Każdy niemal z naszych lotników miał na sumieniu już w pierwszym dniu walki jeden bombowiec niemiecki. W ciągu miesiąca sama tylko eskadra im. Tadeusza Kościuszki straciła 118 samolotów niemieckich. Po upływie roku liczba zestrzelonych przez Polaków samolotów niemieckich wyniosła już prawie 500.

Lotnicy polscy mszcząc się za Warszawę oraz inne miasta polskie zadali razem z lotnikami angielskimi w jesieni 1940 r. taką klęskę samolotom niemieckim, że Hitler przerażony olbrzymimi stratami nie miał już odwagi próbować najazdu na Anglię. Niebawym bomby zaczęły się sypać na głowę Niemców. Lotnictwo angielskie początkowo tylko w czasie długich nocy, a później przy świetle dziennym rozpoczęło bombardowanie fabryk, koszar i dworców kolejowych w Niemczech, zrzucając za każdym razem po kilkaset ton bomb. Polacy w tych nalotach biorą poważny udział.

Walki Brygady Karpackiej. Generał Sikorski, przewidując upadek

Francji, polecił na wiosnę 1940 r. generałowi Stanisławowi Kopańskiemu zorganizować w Syrii większą jednostkę wojskową. Nazwano ją Samodzielną Brygadą Karpacką. Ochotnicy do niej przybywali z Rumunii i Węgier, gdzie były jeszcze resztki obozów polskich żołnierzy, oraz z Kraju. Po upadku Francji Brygada Karpacka połączyła się z wojskami angielskimi na terenie Palestyny. Tymczasem Włosi wspomagani przez armię niemiecką rozpoczęli ofensywę na Egipt. Anglia mająca w Egipcie niewielkie tylko siły



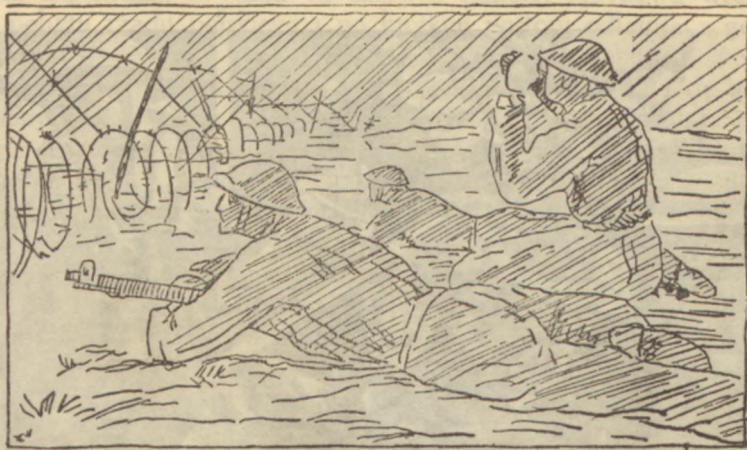
Król, królowa angielska oraz generał Sikorski wśród wojsk polskich w Anglii.

zatrzymała z trudnością pochód nieprzyjaciela na granicach Egiptu oraz przed portem Tobrukiem otoczonym dokoła przez Niemców i Włochów. Położenie wojsk angielskich w Tobruku było niezwykle ciężkie. W razie silnego naporu nieprzyjaciela nawet nie mogłyby się wycofać. Jediną drogą odwrotu było morze Śródziemne, na którym samoloty niemieckie topiły bardzo dużo angielskich okrętów, dowożących do Tobruku amunicję i żywność.

W sierpniu 1941 r. wyjechała do Tobruku na pomoc wojskom angielskim Samodzielna Brygada Karpacka. Po raz pierwszy miał żołnierz polski walczyć w warunkach pustynnych. Olbrzymie burze piaskowe, podczas których nie widać nic na kilka metrów, trudne do zniesienia upały, brak wody słodkiej, a często i ciepłego pożywienia, ukryte miny niemieckie wybuchające na każdym kroku, nie złamały odwagi oddziałów generała Kopańskiego. Przez cztery niemal miesiące leżała Brygada Karpacka w płytkich rowach zasypywanych ciągle piaskiem, broniąc dzielnie przed Niemcami twierdzy tobruckiej.

Aż przyszła wielka ofensywa angielska. Brygada Karpacka wychodzi z Tobruku, ażeby ścigać uciekające wojska niemieckie i włoskie. Ale nieprzyjaciel nie ustępował łatwo. Część jego wojsk zamknęła się w obwarowanej twierdzy pustynnej Gazali. General Kopański postanawia tę twierdzę

zdobyć. Brygada biegnie przez cztery kilometry do ataku, zasypywana gradem pocisków artyleryjskich, moździerzy i karabinów maszynowych. Włosi i Niemcy wierzyć nie chcą własnym oczom. Mimo, że strzelają ze wszystkich broni, jakie posiadają, Polacy biegą ciągle naprzód. W liniach nieprzyjacielskich powstaje popłoch. Mniej odważni twierdzą, że Polacy ubrani są w stalowe pancerze, które chronią ich od kul. Gdy okazało się, że po-



Żołnierze polscy pod Gazalą.

głoska nie była prawdziwa, przerażenie odbiera wrogom dalszą chęć walki. Poddają się. Szczupła garstka Polaków bierze do niewoli 1700 jeńców.

Nowy układ ze Związkiem Sowieckim. Niemcy nie mając odwagi po klęsce ich lotnictwa uderzyć na Anglię, skierowali swe siły w czerwcu 1941 r. przeciw Związkowi Sowieckiemu. W ten sposób Rosja z przyjaźni



Wojsko polskie w ZS.R.R.

z Hitlerem przeszła na stronę jego wrogów i stała się naturalnym sprzymierzeńcem narodów, walczących od dwu lat z Niemcami. Zmienił się też jej stosunek do Polski. Wyrazem tego było oświadczenie Związku Sowieckiego, że układ niemiecko-rosyjski dotyczący podziału Polski pomiędzy Rosję i Niemcy przestał istnieć. Nic już więc nie stało na przeszkodzie dla zawarcia nowego układu pomiędzy Polską a Związkiem Sowieckim. Na podstawie niego oba państwa zobowiązały się do udzielenia sobie wszelkiej pomocy w wojnie z Niemcami, a Związek Sowiecki zgodził się na stworzenie wojska polskiego na terenie Z.S.R.R. oraz przyrzekł zwolnić z więzień wszystkich obywateli polskich. Układ ten został następnie uroczystie potwierdzony w czasie wizyty generała Sikorskiego w Moskwie.

Pierwszym i najważniejszym skutkiem nowego układu było ulżenie ciężkiej doli olbrzymiej ilości zesłańców polskich, przebywających w głębi Związku Sowieckiego. Drugim, ściśle z pierwszym związanym było utwo-

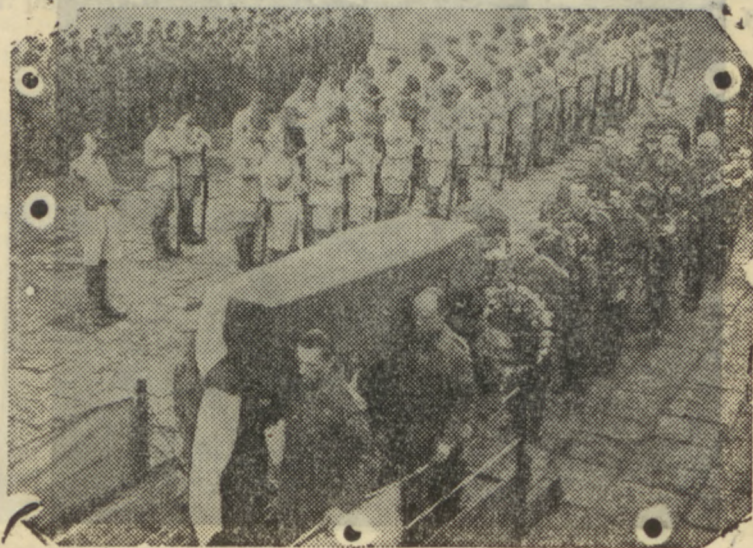


Generał Sikorski wśród żołnierzy na Wschodzie.

rzenie pod dowództwem generała Andersa około stutysięcznej armii polskiej na terenie Rosji, przeniesionej później na Środkowy Wschód wraz z kilkudziesięcioma tysiącami dzieci, kobiet i starców.

Śmierć generała Sikorskiego. Armia polska na Wschodzie złożona z żołnierzy przybyłych z Rosji i należących do dawnej Brygady Karpackiej przygotowuje się w pustyni Iraku do nowych zadań wojennych. Codziennie, mimo olbrzymich upałów, odbywają się ćwiczenia czołgów, piechoty, artylerii, kawalerii, saperów. Żołnierze wyężdżają wszystkie siły, aby zasłużyć na uznanie Naczelnego Wodza, generała Sikorskiego, który ma przyjechać na inspekcję z Londynu. Wreszcie w czerwcu w czasie największych upałów przylatuje samolot z Naczelnym Wodzem. Rozpoczynają się wielkie ćwiczenia, w czasie których żołnierze nasi zdają egzamin ze swojej sprawności bojowej. Naczelny Wódz uśmiecha się z zadowoleniem. Z serdeczną troskliwością wypytuje żołnierzy o losy ich rodzin, interesuje się każdym szczegółem ich życia. Na zakończenie przyrzeka im, że osobiście poprowadzi ich do walki na ziemi polskiej. Nikt nie przeczuwa, że generał Sikorski nie będzie mógł dotrzymać radosnej obietnicy.

Ostatnie godziny na Środkowym Wschodzie spędza generał Sikorski wśród młodzieży w obozach junackich. Z ojcowską, serdeczną życzliwością przysłuchuje się ich śpiewom, udziela rad, wzywa gorąco do przygotowania się do pracy w zniszczonej wojną Polsce. Z obozów junackich odlatuje do Londynu. W dniu 4 sierpnia samolot koło Gibraltaru wpada do morza, a na cały świat idzie straszna wiadomość o śmierci polskiego Prezesa Rady Ministrów i Naczelnego Wodza. W dniu pogrzebu premier Churchill wygłasza wzruszającą mowę, w której między innymi stwierdza: „Od pierwszego dnia polskiej klęski i tryumfu niemieckiej maszyny wojennej, aż do



Pogrzeb generała Sikorskiego

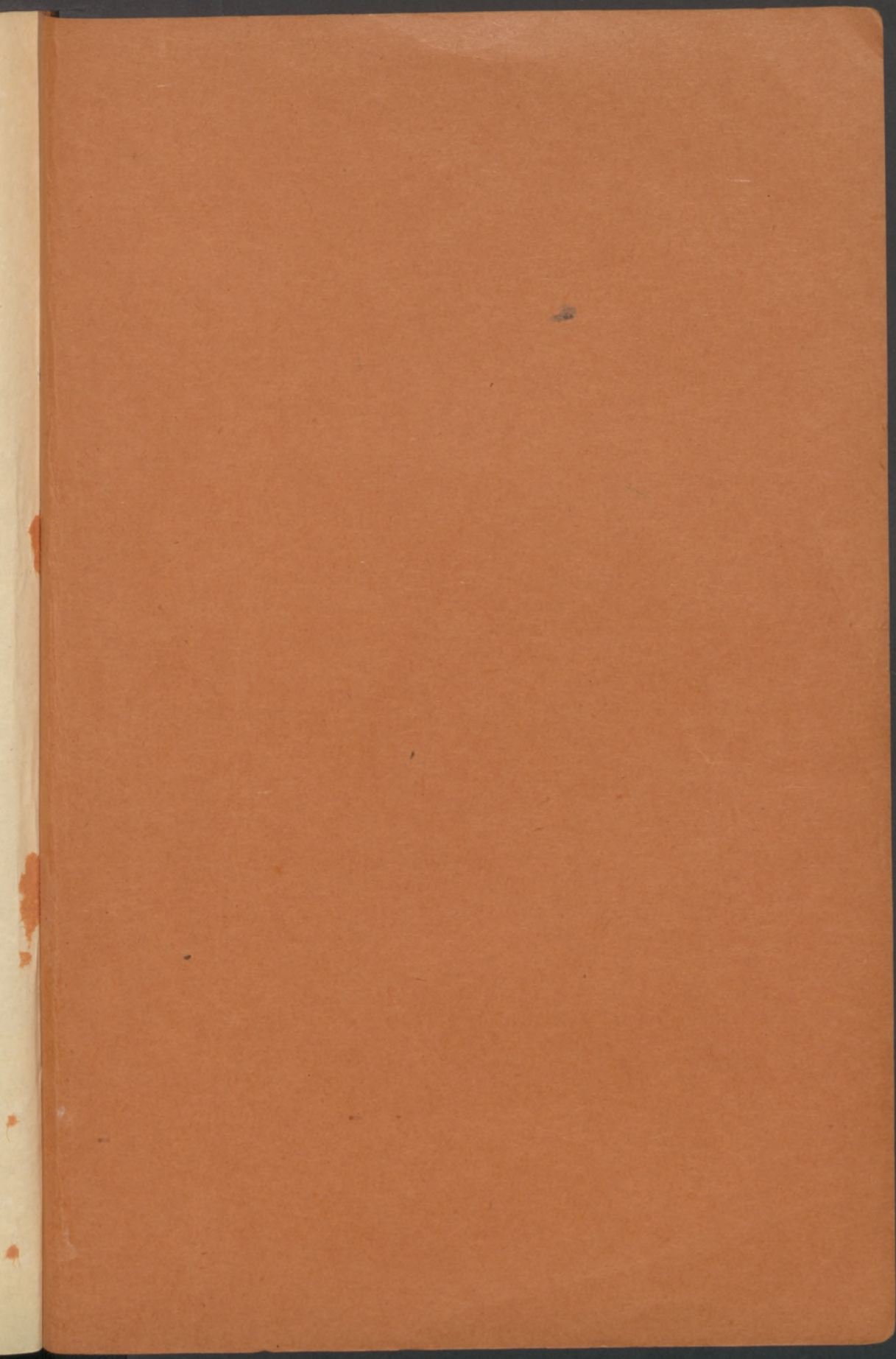
chwili śmierci w nocy ostatniej niedzieli, był generał Sikorski przedstawicielem i wcieleniem tego niezłomnego ducha polskiego, który zrodził się w ciągu wiekowych nieszczęść". Wyliczywszy wszystkie zasługi zmarłego Generała zapewnił premier Churchill przy końcu przemówienia, że praca wielkiego Zmarłego jako Premiera i Naczelnego Wodza nie pójdzie na marne.

Po śmierci generała Sikorskiego obowiązki prezesa rady ministrów objął zasłużony działacz Stanisław Mikołajczyk, a naczelne dowództwo zostało powierzone generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu.

Walki Polaków we Włoszech. Żołnierze polscy na Środkowym Wschodzie, zdawszy egzamin z gotowości bojowej przed generałem Sikorskim, wyruszają niebawem do walki z Niemcami we Włoszech pod dowództwem generała Andersa. Wyznaczono im odcinek frontu pod bardzo wysoką górą, zwaną Monte Cassino, na szczycie której znajdował się bardzo stary klasztor



Monte Cassino z powiewającą flagą polską.



15-1370/86 D

Archiwum

Główna
UMK Toruń

1398388

Biblioteka Główna UMK



300021054141